

CZARNA SERIA

**HÅKAN
NESSER**

NIESZCZELNA SIEĆ

Śledztwa komisarza Van Veeterena

HÅKAN NESSER

NIESZCZELNA SIĘĆ

przełożył Wojciech Łygaś

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2012

Tytuł oryginału

DET GROVMASKIGA NÄTET

Redakcja

Małgorzata Denys

Projekt okładki

Magda Kuc

Zdjęcia na okładce

Magda Kuc

Denis Rozan/Shutterstock

Korekta

Ewa Jastrun

DTP

Marcin Labus

Copyright © Håkan Nesser, 1993

First published by Albert Bonniers Förlag, Stockholm, Sweden

Published in the Polish language by arrangement with Bonnier Group Agency, Stockholm, Sweden

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2012

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

ISBN 978-83-7554-462-6

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

e-mail: wydawnictwo@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. (22) 616 29 36; faks (22) 433 51 51

Zapraszamy do naszego sklepu internetowego:

www.czarnaowca.pl

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Motto](#)

[I](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

18

19

20

21

22

23

24

II

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

III

37

38

39

40

41

42

43

44

45

Kiedy w końcu znajdujemy to,
czego szukaliśmy w mroku,
zawsze okazuje się, że jest to tym,
czym jest.

C.G. Reinhart, inspektor policji

I

Sobota 5 października
– piątek 22 listopada

1

Ocknął się i nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa.

Odczuwał silny ból. Ogień palił go w głowie i przełyku, w żołądku i klatce piersiowej. Próbował przełknąć ślinę, ale utkwiała mu w gardle. Język go swędział, piekł i szczypał. Oczy pulsowały mu z bólu i miał wrażenie, że za chwilę wyskoczą mu z oczodołów.

Jakbym się rodził, pomyślał. Jestem nikim. Jednym wielkim cierpieniem.

W pokoju panowała ciemność. Po omacku przesuwając wokół siebie wolną ręką, tą, która mu nie ścierpła i nie była przygnieciona jego ciałem.

Wyczuł dłonią nocny stolik, telefon i szklanke. Potem gazetę i budzik.

Podniósł go, ale chwilę potem budzik wyślizgnął mu się z ręki i spadł na podłogę. Przez moment go szukał, w końcu znalazł, wziął do ręki i przysunął do twarzy.

Tarcza budzika błyszczała w ciemnościach lekko fosforyzującym światłem. Odczytał godzinę.

Dwadzieścia po ósmej. Chyba rano.

Nadal nie mógł sobie przypomnieć, kim jest.

Wcześniej chyba mu się to nie zdarzało. Wprawdzie czasami po

przebudzeniu nie wiedział, gdzie się znajduje albo jaki jest dzień, ale żeby zapomnieć imię i nazwisko... Czy kiedykolwiek wcześniej mu się to przytrafiło?

John? Janos?

Nie, jakoś tak podobnie.

Zaraz sobie przypomni nie tylko imię, ale także całe swoje życie i wszystkie okoliczności łągodzące. Wszystko to gdzieś istnieje i czeka. Jak za cienką powłoką, którą trzeba przebić, jak coś, co jeszcze nie zbudziło się ze snu. Właściwie stan, w jakim się znajdował, nie za bardzo go niepokoił. Pewnie zaraz wszystko sobie przypomni.

A może nie było sobie czego przypominać?

Nagle za okiem, wewnątrz, poczuł dotkliwy ból. Być może pojawił się na skutek intensywnego myślenia. Zupełnie niespodziewanie. Palący, straszliwy. Jak krzyk ciała.

W tej chwili już nic innego nie miało znaczenia.

Kuchnia znajdowała się po lewej stronie i wydała mu się znajoma. Pewność, że jest we własnym domu, rosła z każdą chwilą. To oczywiste, że lada moment wszystko się wyjaśni.

Ponownie poszedł do ciemnego przedpokoju i potracił stopą jakąś butelkę leżącą przed regałem z książkami. Potoczyła się po parkiecie i zatrzymała pod kaloryferem. Wreszcie dotarł do toalety. Nacisnął kłamkę.

Drzwi były zamknięte.

Pochylił się do przodu, oparł dłonie na kolanach i spojrzał na zatrzask.

Czerwony kolor. No tak, zajęte.

Było mu coraz bardziej niedobrze.

– Otworzyć... – chciał powiedzieć, ale z jego ust wydobył się tylko syk. Oparł głowę o drewnianą okleinę.

– Otworzyć drzwi! – spróbował ponownie, ale tym razem wypowiedział to nieco głośniej. Żeby zaś podkreślić powagę sytuacji, poparł słowa uderzeniami pięści.

Żadnej odpowiedzi. Żadnego odgłosu. Bez względu na to, kto znajdował się w środku, nie zamierzał go tam wpuścić.

Nagle poczuł, jak wszystko podnosi mu się do gardła. Zrozumiał, że to tylko kwestia kilku sekund. Szybko pokuśtykał z powrotem do kuchni.

Tym razem wydała mu się bardziej znajoma niż przedtem.

To na pewno moje mieszkanie, pomyślał, wymiotując do zlewu.

Używając śrubokrętu, odblokował zasuwkę przy klamce w drzwiach do łazienki. Był przekonany, że nie robi tego pierwszy raz.

– Przepraszam, ale naprawdę musiałem...

Przeszedł przez próg i w chwili, gdy zapalał światło, przypomniał sobie, kim jest.

Natychmiast rozpoznał też kobietę spoczywającą w wannie.

Nazywała się Eva Ringmar i od trzech miesięcy była jego żoną.

Jej ciało zastygło w dziwnie skróconej pozycji. Prawe ramię zwisało nad brzegiem wanny i było nienaturalnie wygięte. Wypięłgnowane paznokcie prawie dotykały glazury podłogowej. Ciemne włosy unosiły się na wodzie. Leżała z głową zwróconą w dół, a ponieważ wanna była wypełniona wodą aż po brzegi, nie miał najmniejszych wątpliwości, że jego żona nie żyje.

Przypomniał sobie, że nazywa się Mitter. Janek Mattias Mitter.

Wykłada historię i filozofię w gimnazjum Bunge w Maardam.
Zdrobniale nazywano go JM.

Ponownie zwymiotował, tym razem do muszli klozetowej. Potem połknął dwie tabletki i zadzwonił na policję.

2

Cela miała kształt litery L i była pomalowana na zielono tym samym jednolitym kolorem, zarówno podłoga, jak i sufit oraz ściany. Słabe światło sączyło się przez wysoko umieszczone okienko. Nocą widział przez nie niebo.

W celi do dyspozycji miał kącik sanitarny, miednicę i umywalkę. Łóżko przymocowane na stałe do ściany. Ponadto chwiejący się stolik, dwa krzesła, lampę sufitową i lampkę nocną.

A poza tym tylko pojedyncze dźwięki i cisza. Jedyny zapach, jaki czuł, wydzielało jego własne ciało.

Adwokat nazywał się Rüger. Był wysoki, barczysty i trochę kulał na lewą nogę. Mitter ocenił jego wiek na ponad pięćdziesiątkę, co oznaczało, że był ze dwa lata starszy od niego. Być może kiedyś jego syn chodził do gimnazjum, a on chyba nawet go uczył... O ile sobie dobrze przypominał, to był nim ten blady chłopak z brzydką cerą, który miał takie słabe stopnie. Jakieś osiem, dziesięć lat temu.

Rüger podał mu rękę. Długo mu ją ścisnął, a zarazem spoglądał na niego poważnym i przyjaznym wzrokiem. Mitter od razu się domyślił, że Rüger chodził na jakiś kurs z zakresu umiejętności nawiązywania przyjaznych stosunków międzyludzkich.

– Janek Mitter?

Mitter skinął głową na potwierdzenie.

– Kłopotliwa sprawa.

Rüger zdjął płaszcz, otrząsnął go z kropel deszczu i powiesił na kołku obok drzwi. Strażnik zamknął ich w celi i oddalił się korytarzem.

– Pada. Tu jest chyba o wiele przyjemniej.

– Ma pan papierosa?

Rüger wyjął paczkę z kieszeni.

– Proszę wziąć, ile pan chce. Nie rozumiem, dlaczego nie pozwalają panu palić.

Usiadł przy stole i położył przed sobą cienką aktówkę. Mitter zapalił papierosa, ale nie siadał.

– Nie chce pan usiąść?

– Nie, dziękuję.

– Jak pan sobie życzy.

Rüger otworzył brązową teczkę. Wyjął z niej kilka napisanych na maszynie dokumentów i notatnik. Kilka razy pstryknął długopisem, a potem oparł się łokciami o stół.

– Kłopotliwa historia, jak już wspomniałem. Muszę to panu od razu uświadomić.

Mitter nie odpowiedział.

– Jest wiele faktów, które przemawiają na pana niekorzyść. Dlatego powinien pan być ze mną szczery. Jeśli nie będziemy sobie całkowicie ufać, nie będę mógł bronić pana równie skutecznie, jak... rozumie pan?

– Tak.

– Rozumiem też, że przedstawi mi pan swoje uwagi i propozycje.

– Propozycje?

– Dotyczące tego, jak prowadzić tę sprawę. To oczywiście ja

opracuję całą strategię, ale przecież to o pana chodzi. Wygląda na to, że jest pan inteligentnym człowiekiem.

– Rozumiem.

– To dobrze. Woli pan sam o wszystkim opowiedzieć czy to ja mam zadawać pytania?

Mitter zgasił papierosa w miednicy i usiadł przy stole. Smak papierosa spowodował u niego chwilowy zawrót głowy i przez moment poczuł wielkie znużenie.

Znużenie życiem, znużenie wywołane widokiem tego kalekiego adwokata, nieprawdopodobnie brzydkiej celi, smakiem w ustach, nieuniknionymi pytaniami i odpowiedziami, których będzie musiał udzielić. Czuł się tym wszystkim strasznie znużony.

– Policja już mnie o wszystko wypytywała. Przez dwie ostatnie doby niczym innym się nie zajmowałem.

– Wiem, ale mimo to muszę ponownie przejść z panem całą tę procedurę. Rozumie pan chyba, takie są reguły gry.

Mitter wzruszył ramionami, a potem wytrząsnął kolejnego papierosa z pudełka.

– Chyba najlepiej będzie, jak zacznie pan zadawać mi pytania.

Adwokat odchylił się do tyłu. Poprawił się w krześle, a na kolanach położył notatnik.

– Większość moich kolegów po fachu używa magnetofonu, ale ja wolę pisać. Myślę, że to mniej stresuje moich klientów.

Mitter skinął głową.

– Poza tym i tak mam dostęp do taśm policyjnych, jeśli zajdzie taka potrzeba. A teraz, zanim zajmiemy się okolicznościami sprawy, muszę zadać panu obowiązkowe pytanie. Prawdopodobnie oskarżą pana o zabójstwo pana żony, Evy Marii Ringmar. Jak się pan

ustosunkuje do takiego oskarżenia? Winny czy niewinny?

– Niewinny.

– Dobrze. W tym względzie nie powinno być żadnych wątpliwości. Zarówno z mojej, jak i z pańskiej strony.

Zrobił krótką przerwę i przesunął długopis między palcami.

– Czy istnieją jakieś wątpliwości?

Mitter westchnął.

– Muszę pana prosić o odpowiedź na to pytanie. Czy jest pan absolutnie pewien, że nie zamordował pan swojej żony?

Mitter odczekał kilka sekund i dopiero wtedy odpowiedział. Próbował spojrzeć adwokatowi prosto w oczy, żeby sprawdzić, co tamten tak naprawdę myśli, ale na próżno. Wyraz twarzy Rügera był nieprzenikniony.

– Nie, tego oczywiście nie jestem pewien. Zresztą pan też.

Adwokat napisał coś w swoim notatniku.

– Panie Mitter, proszę nie sugerować się tym, że zapoznałem się z protokołem przesłuchania. Musi pan udawać, że opowiada pan to wszystko po raz pierwszy. Proszę tak zrobić!

– Nie pamiętam...

– Rozumiem oczywiście, że pan nie pamięta, co się stało, i właśnie dlatego musimy się postarać, żeby zbadać sprawę od początku. Nie odzyska pan pamięci, jeśli nie wróci pan myślami do tamtej nocy... bezwarunkowo. Zgadza się pan ze mną?

– A jak się panu wydaje? O czym niby miałbym myśleć?

W głosie Mittera pojawiła się nuta złości. Adwokat unikał jego spojrzenia i zapisywał coś w notatniku.

– Co pan tam pisze?

– Pan wybaczy...

Rüger potrząsnął odmownie głową, a potem wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i wysmarkał się w nią.

– Przekłęta pogoda!

Mitter skinął głową.

– Chciałbym tylko, żeby pan zrozumiał, w jak trudnej sytuacji się pan znalazł. Twierdzi pan, że jest niewinny, ale nic pan nie pamięta. W tym punkcie łatwo będzie złamać pańską linię obrony, chyba się pan z tym zgodzi?

– To prokurator ma dowieść, że jestem winny. To nie ja mam udowodnić, że jest odwrotnie, prawda?

– Oczywiście. Takie jest prawo, ale...

– Ale co?

– Jeśli pan nie pamięta, to znaczy, że pan nie pamięta. Trudno będzie przekonać ławę przysięgłych... Czy może pan obiecać, że za każdym razem, kiedy pan sobie coś przypomni, opowie mi pan o tym?

– Oczywiście.

– Bez względu na to, co to będzie?

– Oczywiście...

– No to idźmy dalej. Od kiedy znał pan Evę Ringmar?

– Od dwóch lat... od prawie dwóch lat... od dnia, kiedy zaczęła pracować w naszym gimnazjum.

– Czego pan uczy?

– Historii i filozofii. Najczęściej historii, bo większość uczniów nie chce uczyć się filozofii.

– Od kiedy pan tam pracuje?

– Dwadzieścia lat, mniej więcej... dziewiętnaście.

– A pana żona?

– Języków obcych... od dwóch lat, jak już wspomniałem.

- Kiedy zaczęliście się spotykać?
 - Sześć miesięcy temu. Ślub wzięliśmy latem, na początku lipca...
 - Czy była w ciąży?
 - Nie. A dlaczego...?
 - Czy ma pan dzieci?
 - Tak. Syna i córkę.
 - W jakim wieku?
 - Dwadzieścia i szesnaście lat. Mieszkają z moją byłą żoną w Chadowie.
 - Kiedy wzięliście rozwód?
 - W 1980 roku. Jürg mieszkał ze mną do czasu, aż zaczął studia na uniwersytecie. Ale nie bardzo rozumiem, co to ma za znaczenie...
 - To podstawowe informacje. Muszę mieć jakiś materiał wyjściowy. Nawet adwokat musi mieć z czego układać puzzle. Chyba się pan z tym zgodzi. A jakie stosunki łączą pana z byłą żoną?
 - Żadne.
- Nastąpiła przerwa. Rüger znowu musiał wysmarkać nos w chusteczkę. Widać było, że jest z czegoś niezadowolony, ale Mitter nie miał ochoty ułatwiać mu zadania. Irene nie miała z tą sprawą nic wspólnego. Jürg i Inga też. Mitter był im wdzięczny, że nie mieszają się do tego. Oczywiście pytali, co się stało, ale tylko na początku. Potem już nie dzwonili. Wprawdzie rano dostał list od Ingi, ale zawierał tylko kilka linijek. Zwykła deklaracja poparcia. „Jesteśmy z tobą. Inga i Jürg”.
- Zastanawiał się, czy Irene też. Czy też jest z nim. Chociaż właściwie było mu to obojętne.
- W jakich byliście stosunkach?

- Słucham?
 - Jak układało się panu z Evą Ringmar? W małżeństwie?
 - Jak w każdym innym.
 - To znaczy?
 - ...
 - Układało wam się dobrze czy dochodziło do kłótni?
 - ...
 - W końcu byliście małżeństwem przez trzy miesiące.
 - Tak, to prawda.
 - I nagle znaleziono pańską żonę martwą w wannie. Czy pan rozumie, że musimy to wyjaśnić?
 - Jasne.
 - I rozumie pan, że nie wystarczy zachowywać milczenia w tej kwestii? Pana milczenie zostanie potraktowane jako próba ukrycia czegoś. Obróci się to przeciwko panu.
 - Pewnie tak.
 - Kochał pan żonę?
 - Tak...
 - Kłóciliście się?
 - Chyba jeden raz...
- Rüger wszystko zapisał.
- Prokurator będzie się starał udowodnić, że została zabita. Będzie się podpierał wynikami badań lekarzy i techników policyjnych. Nie uda nam się dowieść, że zmarła śmiercią naturalną. Pytanie brzmi, czy mogła sama odebrać sobie życie.
 - Tak, rozumiem.
 - Co pan rozumie?
 - Że wszystko właśnie od tego zależy... Czy mogła odebrać sobie

życie sama.

– Być może. Tamtego wieczoru... ile wypiliście?

– Sporo.

– To znaczy?

– Nie jestem pewien...

– Ile musi pan wypić, żeby urwał się panu film?

Rüger był już najwyraźniej poirytowany. Mitter odsunął krzesło, wstał i stanął przy drzwiach. Wsunął ręce do kieszeni i spojrzał na zgięte plecy adwokata. Czekał, ale Rüger się nie poruszył.

– Nie wiem. Próbowałem policzyć później... puste butelki, i wie pan... chyba było ich sześć albo siedem.

– Czerwonego wina?

– Tak, nic innego nie piliśmy.

– Sześć albo siedem butelek we dwoje? Byliście przez cały wieczór sami?

– Tak, o ile dobrze pamiętam.

– Czy ma pan problem alkoholowy?

– Nie.

– Czy byłby pan zdziwiony, gdyby ktoś inny twierdził coś przeciwnego?

– Tak...

– A pańska żona?

– Co pan ma na myśli?

– Czy to prawda, że leczyła się – Rüger pochylił się nad papierami i przerzucił kilka kartek – z powodu nadużywania alkoholu w szpitalu Rejmershus? Tak mam tu napisane.

– No to po co pan pyta? To było sześć lat temu. Straciła wtedy dziecko, a jej małżeństwo...

– Wiem, wiem. Proszę mi wybaczyć, ale muszę panu te pytania zadać, choć wydają się tak nieprzyjemne. Mogę pana zapewnić, że podczas procesu będzie jeszcze gorzej, więc lepiej się stanie, jak się pan zacznie przyzwyczajać.

– Dzięki, już się przyzwyczaiłem.

– Czy możemy kontynuować?

– Naturalnie.

– Jakie jest pana ostatnie wyraźne wspomnienie z tamtego wieczoru? Takie, którego jest pan najzupełniej pewien.

– Chyba kasza... jedliśmy meksykańską potrawkę. Opowiadałem o tym policji...

– To proszę opowiedzieć jeszcze raz!

– Jedliśmy meksykańską potrawkę... w kuchni.

– No i?

– Potem uprawialiśmy seks...

– Opowiadał pan o tym policji?

– Tak.

– Proszę mówić dalej.

– O czym chce pan wiedzieć? Ze szczegółami?

– Wszystko, co pan pamięta.

Mitter wrócił do stołu. Zapalił papierosa i pochylił się w stronę adwokata. Może faktycznie będzie lepiej, jeśli wszystko mu opowie.

– Eva miała na sobie kimono... pod spodem była naga. Jedliśmy, a ja zacząłem ją pieścić... no i piliśmy... a ona mnie rozbierała... to znaczy nie całkiem. W końcu posadziłem ją na stół...

Mitter zrobił krótką przerwę. Rüger przestał notować.

– ...posadziłem ją na stół, zdjąłem z niej kimono i wszedłem w nią. Chyba krzyczała... nie z bólu, tylko z rozkoszy oczywiście... krzyczała,

kiedy się kochaliśmy, robiliśmy to chyba dość długo, potem znowu jedliśmy i piliśmy... Pamiętam, że wylałem jej wino na podbrzusze, a potem je stamtąd zlizywałem...

– Wino na podbrzusze?

– Tak. Chce pan jeszcze coś wiedzieć?

– Czy to pana ostatnie wyraźne wspomnienie?

– Chyba tak.

Rüger chrząknął, znowu wyjął chusteczkę i się w nią wysmarkał.

– Która to mogła być godzina?

– Nie mam pojęcia.

– A w przybliżeniu?

– Nawet w przybliżeniu. Gdzieś tak między dziewiątą wieczorem a drugą w nocy... Nie patrzyłem wtedy na zegarek.

Rüger zaczął powoli zbierać papiery.

– Chciałbym pana prosić, żeby nie opowiadał pan zbyt szczegółowo o tym, jak uprawialiście seks, jeśli takie pytanie pojawi się w sądzie. Myślę, że pańskie odpowiedzi mogą zostać błędnie zrozumiane.

– Pewnie.

– Zresztą brakuje śladów spermy... Wie pan chyba, że takie badania są zawsze bardzo dokładne.

– Tak, komisarz mówił mi o tym... no cóż, nie miałem wytrysku. Takie są skutki picia wina... może nawet zalety, zależy, jak na to spojrzeć. Prawda, panie mecenasie?

– Naprawdę? A wie pan, że ustalono godzinę?

– Jaką godzinę?

– Godzinę śmierci. Nie tak dokładnie, to oczywiste, bo nigdy nie da się określić jej dokładnie... Śmierć nastąpiła między czwartą

a wpół do szóstej, to znaczy...

– Obudziłem się dwadzieścia po ósmej.

– Wiemy o tym.

Rüger podniósł się z krzesła. Poprawił krawat i zapiął marynarkę.

– Sądzę, że na dzisiaj wystarczy. Bardzo panu dziękuję, ale jutro przyjdę zadać panu kolejne pytania. Mam nadzieję, że będzie pan ze mną współpracował.

– A dzisiaj tego nie robiłem?

– Tak, owszem.

– Czy mogę zatrzymać papierosy?

– Proszę bardzo. A czy mogę zadać panu jeszcze jedno, trochę niewygodne pytanie?

– Naturalnie.

– To chyba ważna sprawa. I proszę nie zwlekać z odpowiedzią...

– Nie?

– Jeśli nie będzie pan chciał na nie odpowiedzieć, zrozumiem, ale sądzą, że lepiej będzie, jeśli okaże mi pan szczerą. A więc jakie odnosi pan wrażenie: że naprawdę chce pan sobie przypomnieć, co się wydarzyło, czy też wolałby pan dać sobie z tym spokój?

Mitter nie odpowiedział. Rüger nie patrzył na niego.

– Jestem po pana stronie. Mam nadzieję, że pan to rozumie.

Mitter skinął głową. Rüger przycisnął guzik dzwonnka i kilka sekund później zjawił się strażnik, żeby go wypuścić. W drzwiach Rüger zawahał się przez chwilę. Widać było, że chce coś powiedzieć.

– Mój syn prosił, żeby pana pozdrowić. Edwin... Edwin Rüger. Uczył go pan historii dziesięć lat temu, nie wiem, czy go pan pamięta... W każdym razie lubił pana. Był pan interesującym nauczycielem.

– Interesującym?

– Tak, właśnie takiego słowa użył.

Mitter ponownie skinął głową.

– Pamiętam go. Proszę go pozdrowić i podziękować mu.

Podali sobie ręce i Mitter został sam.

3

Jakiś robak pełzał po jego prawym, nagim ramieniu. Miał niewiele więcej niż dwa milimetry długości. Mitter przyglądał mu się i zastanawiał, dokąd idzie.

Może w stronę światła. Był środek nocy, a on zostawił zapaloną lampkę. Z jakiegoś powodu teraz nie znosił ciemności, choć dotychczas nie było to w jego stylu. Ciemność nigdy nie napawała go strachem, nawet w dzieciństwie. Przypomniało mu się kilka takich sytuacji, w których pochwalono go za odwagę bardziej, niż na to zasłużył, ale tylko dlatego, że nie bał się ciemności. Głównie chwalili go Mankel i Li.

Mankel już nie żył, a co się działo z Li, nie miał nawet pojęcia... to dziwne, że myśli o nich właśnie teraz. Przecież od lat tego nie robił. Było tyle innych rzeczy, które powinny mu przyjść na myśl. Któż jednak jest w stanie zapanować nad mechanizmami, które z taką dowolnością sterują naszą pamięcią?

Spojrzał na zegarek. Wpół do czwartej. Wczesny świt. Czy coś mu się śniło?

W każdym razie spał niespokojnie. Może coś było w jego snach? W ostatnich dniach coraz bardziej skłaniał się ku myśli, że wszystko objawi mu się we śnie. Kiedy nie spał, nie działo się nic. Po tygodniu tamta noc była równie zamazana jak zaraz po przebudzeniu... Nic, ale to zupełnie nic nie chciało zamienić się w treść zapisaną na kartkach

papieru, jakby w ogóle w tym nie uczestniczył, jakby po ich upojnym seksie nic się nie wydarzyło. Ostatnie obrazy były chyba dość wyraźne... Pośladki Ewy, które energicznie zaciskały się wokół jego członka, jej szaleńczo zgięte plecy w chwili ekstazy, podskakujące piersi i jej paznokcie wbite w jego skórę... Działo się wtedy więcej niż tylko to, o czym opowiedział Rügerowi, ale nie miało znaczenia... Od chwili kiedy znalazł się w kuchni, miał w głowie pustkę.

Jak świeży lód na ciemnej wodzie.

Czy tylko śnił? Zapadł w stan nieświadomości? Przecież kiedy rano się obudził, leżał rozebrany w łóżku.

Co tam się wtedy, do cholery, wydarzyło?

Eva? Kilka razy słyszał w snach jej głos, był tego pewien, ale nigdy nie udało mu się zrozumieć poszczególnych słów ani tego, co oznaczały. Jedynie głos... mroczny, lekko drwiący, troszkę kuszący... zawsze lubił jej głos.

Mieszkanie wyglądało na dość czyste. Nie licząc resztek jedzenia w kuchni i ubrań porzrzucanych na podłodze, wszędzie panował względny porządek. Dwie przepelnione popielniczki, kilka niedopitych kieliszków, butelka w korytarzu... Zanim zjawiała się policja, zdążył posprzątać ten niewielki bałagan.

Te same pytania. Na okrągło. I jeszcze raz. Jakby przeglądał się w tafli lustra, jakby odbijał się od niego niczym garść ziarna rzucona na lód. I nadal pustka w głowie. Całkowita.

A gdyby nawet wspomnienia wróciły we śnie, to skąd, do wszystkich diabłów, może być pewien, że potrafi je zachować w pamięci? Że ich jak zwykle nie straci?

Sen przychodził w odstępach o wiele bardziej nieregularnych niż kiedykolwiek wcześniej. Nigdy nie spał dłużej niż godzinę, często było

to tylko piętnaście albo dwadzieścia minut. Ostatniego papierosa z tych, które dostał od Rügera, wypalił około drugiej. Wiele by dał za jeszcze jednego sztacha. Odczuwał jakieś kłucie, którego nie mógł się pozbyć, coś w rodzaju swędzenia, które tkwiło w jego skórze tak głęboko, że nie potrafił sobie z nim poradzić...

No i to znużenie...

Przychodziło i odpływało. Być może taki stan był dla niego błogosławieństwem, bo nie dopuszczał do jego świadomości innych, jeszcze gorszych rzeczy.

Co próbował zasugerować mu Rüger?

Czy naprawdę chce wiedzieć? Naprawdę?

Poczuł lekkie ukłucie w ramię. To ten robak go ugryzł. Zawahał się chwilę, a potem chwycił go w palce i zgniótł.

Kiedy go połykał, smakował jak okruszek niepogryzionego chleba.

Odwrócił się do ściany. Leżał z twarzą zwróconą w stronę betonu i wsłuchiwał się w dźwięki. Udało mu się rozróżnić jedynie szum powietrza wypuszczanego przez system wentylacyjny.

W końcu pamięć wróci, to tylko kwestia czasu.

Kiedy kilka minut po siódmej zjawił się wózek ze śniadaniem, Mitter nadal leżał w tej samej pozycji. Nie przespał ani chwili.

Rüger nadal był przeziębiony.

– Właściwie to powinienem się napić koniaku i położyć się do łóżka, ale najpierw muszę z panem porozmawiać. Dobrze pan spał?

Mitter potrząsnął przecząco głową.

– A spał pan w ogóle?

– Niewiele.

– No tak, to widać. Brał pan jakieś tabletki? Coś na uspokojenie?

– Nie.

– Zajmę się tym. Nie możemy im pozwolić, żeby nam tu pana złamali. Nie sądzi pan chyba, że tak długi okres oczekiwania na rozprawę jest przypadkowy?

Rüger przerwał na chwilę, żeby wysmarkać nos.

– No i oczywiście papierosy...

Rzucił na stół paczkę. Mitter zdarł z niej celofan i zauważył, że nie w pełni panuje nad swoimi dłońmi. Kiedy zaciągnął się dymem, zrobiło mu się ciemno przed oczami.

– Po południu Van Veeteren znowu pana przesłucha. Chciałbym przy tym być, ale to niemożliwe. Dlatego proszę, żeby pan powiedział mu możliwie jak najmniej. Wie pan chyba, że ma pan prawo milczeć?

– Tak, ale wydawało mi się, że mi pan to odradzał?

– Ale tylko w sądzie. Nie przed policją. Proszę siedzieć cicho i niech sobie zadają te swoje pytania. A przynajmniej niech pan

sprawia wrażenie, że nic nie pamięta. Rozumie pan?

Mitter skinął głową. Zaczynał darzyć Rügera pewnym zaufaniem, może nawet wbrew swojej woli. Zastanawiał się nad przyczyną – może bezsenność, a może coraz silniejszy katar adwokata?

– Najgorsze, co może pan zrobić, to rozważać jakieś teorie, zgadywać lub spekulować, bo potem trzeba będzie to wszystko odwołać. Każde słowo, które wypowie pan w trakcie przesłuchania, może być wykorzystane przeciwko panu na rozprawie. Jeśli na przykład powie pan inspektorowi, żeby pocałował pana w dupę, mogę się założyć, że opowie o tym ławie przysięgłych i będzie to świadczyć o pana charakterze. Chce się pan napić kawy?

Mitter potrząsnął przecząco głową.

– W takim razie zacznijmy. Chciałbym porozmawiać z panem o tamtym ranku.

– Ranku?

– Tak, kiedy znalazł pan jej... jest jeszcze kilka niejasnych spraw.

– Jakich?

– Chodzi o pańskie zachowanie po tym, jak zadzwonił pan na policję.

– Naprawdę?

– Kiedy żona leżała martwa w wannie, zaczął pan sprzątać mieszkanie?

– Właściwie to podniosłem tylko z podłogi parę rzeczy.

– Nie sądzi pan, że to dziwne?

– Nie.

– A co dokładnie pan zrobił?

– Zebrałem szklanki, opróżniłem popielniczki, sprzątnąłem ubrania...

- Dlaczego?
- No... nie wiem... sądzę, że byłem w szoku. W każdym razie nie chciałem wracać do sypialni.
- Ile czasu upłynęło do przyjazdu policji?
- Kwadrans, może dwadzieścia minut...
- Tak, to by się zgadzało. Pana zgłoszenie zostało przyjęte o 8.27, a według raportu policja zjawiała się na miejscu o 8.46. Dziewiętnaście minut... Co pan zrobił z ubraniami?
- Włożyłem je do pralki.
- Wszystkie?
- Tak. Nie było ich zbyt dużo.
- Gdzie stoi pralka?
- W kuchni.
- I wszystko pan do niej włożył?
- Tak.
- Włączył pan pralkę?
- Tak.
- Czy to pan robi zawsze pranie?
- Przez dziesięć lat mieszkałem sam.
- Jasne, ale chodzi o podział ubrań. Czy prał pan wszystko razem? Przecież były tam ubrania w różnych kolorach i z różnych materiałów?
- Nie, wszystkie ubrania były ciemne.
- Pranie kolorowe?
- Tak.
- Jaka temperatura?
- Czterdzieści stopni. Niektóre można równie dobrze prać w sześćdziesięciu stopniach, ale to nie ma dużego znaczenia...

Kolejna przerwa w rozmowie. Rüger wysmarkał nos w chustkę. Mitter zapalił kolejnego papierosa. Trzeciego, jak do tej pory. Rüger odchylił się na krzesło i spojrzał w sufit.

– Czy pan nie rozumie, że to wszystko sprawia dość dziwne wrażenie?

– Co takiego?

– Że chwilę po znalezieniu martwej żony w wannie nastawia pan pranie...

– Nie wiem... może faktycznie...

– A może włączył pan pralkę, zanim zadzwonił pan na policję?

– Nie, zadzwoniłem do nich od razu.

– Od razu?

– No... właściwie to najpierw zażyłem dwie tabletki. Dostałem nagłej migreny...

– A co jeszcze pan zrobił, czekając na policję? Opróżnił pan popielniczki, wypłukał szklanki, włączył pranie...

– Wyrzuciłem sporo jedzenia do kubła na śmieci... trochę posprzątałem kuchnię.

– Nie podlał pan kwiatków?

– Nie.

– A może zaczął pan myć okna?

Mitter przymknął oczy. Poczuł, że właśnie stracił kredyt zaufania. Może stało się tak z powodu papierosów. Ten, którego właśnie palił, nie smakował mu. Zgasił go poirytowany.

– Panie Rüger, czy kiedykolwiek widział pan żonę leżącą martwą w wannie? Jeśli nie, to może mnie pan łaskawie oświeci, jak należy się zachowywać w oczekiwaniu na policję, chętnie się tego dowiem.

Rüger ponownie wyciągnął swoją chustkę, ale zawahał się.

– Człowieku, czy pan naprawdę tego nie rozumie?

– Czego znowu?

– Że zachowywał się pan w cholernie podejrzany sposób. Powinien pan to sobie w końcu wbić do głowy, że tak to będzie postrzegane. Mycie szklanek, pranie ubrań! Chodzi o zacieranie śladów!

– A więc zakłada pan, że ją zamordowałem, jak widzę.

– Co pan ma na myśli?

– Załóżmy, że to pan utopił żonę w wannie. Udaje się panu odblokować drzwi od zewnątrz, rozbiera ją pan, a potem idzie pan spać i zapomina o wszystkim. Rano budzi się pan, włamuje się do łazienki i znajduje żonę... zażywa pan dwa proszki od bólu głowy, dzwoni na policję i zaczyna prać ubrania...

Mitter wstał i ruszył w kierunku łóżka. Naszło go nagłe zmęczenie, ale w tej chwili zależało mu tylko na tym, żeby Rüger sobie poszedł i zostawił go w spokoju.

– Ja jej nie zabiłem.

Rozciągnął się na łóżku.

– Nie, a w każdym razie nie wierzy pan w to. Wie pan, zastanawiam się, czy nie powinniśmy skierować pana na jakieś proste badania psychiatryczne. Jak by się pan do tego odniósł?

– Chce pan powiedzieć, że oni nie mogą mnie do tego zmusić?

– Jeśli nie ma uzasadnionych podstaw, to nie.

– A nie ma takich.

Adwokat wstał z krzesła i zaczął zakładać płaszcz.

– Trudno powiedzieć... trudno powiedzieć. A co pan o tym myśli?

– Nie mam pojęcia.

Mitter przymknął oczy i skulił się na łóżku, leżąc twarzą do ściany. Jak przez mgłę słyszał, że adwokat jeszcze coś mówi, ale nagle naszło

go tak wielkie zmęczenie, że nie potrafił mu się oprzeć i zapadł w sen.

5

Komisarz Van Veeteren nie był przeziębiony.

Miał natomiast pewną skłonność do depresji, która pojawiała się przy złej pogodzie, a ponieważ przez ostatnie dziesięć dni deszcz padał prawie nieustannie, kiepski nastrój miał wystarczająco dużo czasu, żeby zapuścić w nim swoje korzenie.

Zamknął drzwi w samochodzie i uruchomił silnik, a potem włączył magnetofon.

Koncert Vivaldiego na mandolinę. Jak zwykle głośniki nie działają jak należy. Dźwięk pojawiał się i znikał.

Jednak nie chodziło tylko o deszcz. Było jeszcze coś.

Na przykład jego żona. Po raz czwarty albo piąty – sam już nie wiedział który – postanowiła do niego wrócić. Osiem miesięcy wcześniej zdecydowali o nieodwołalnej separacji po raz ostatni, a teraz nagle znowu zaczęła do niego wydzwaniać.

Na razie jeszcze nie mówiła, o co chodzi, ale domyślał się, do czego zmierza. Mógł się spodziewać, że mniej więcej przed Bożym Narodzeniem znowu zamieszkają razem.

I tylko on sam mógłby sprawić, że do tego nie dojdzie, gdyby po prostu odmówił. Jednak i tym razem nic nie wskazywało na to, że coś takiego może się zdarzyć.

Skręcił w ulicę Kloisterlaan, a z kieszeni koszuli wyjął wykałaczkę.

Deszcz nie przestawał padać, a przednia szyba znów zaszła parą. Jak zwykle. Wytarł ją rękawem płaszcza i przez chwilę nic nie widział.

Teraz zginę, pomyślał nagle, ale nic się nie stało. Przesunął pokrętło regulujące nawiew na desce rozdzielczej. Strumień gorącego powietrza z jeszcze większą siłą zaczął mu owiewać stopy.

Powinienem kupić sobie lepszy samochód, pomyślał.

Myślał o tym już od dawna.

Bismarck też był chory.

Od dnia, kiedy jego córka Jess obchodziła swoje dwunaste urodziny, mieli w domu psa, nowofundlanda. Teraz leżał przed lodówką i wymiotował, zwracając jakieś śmierdzące, zielone grudki. A on musiał jeździć do domu i kilka razy dziennie myć podłogę.

Miał nadzieję, że Jess czuje się o wiele lepiej niż Bismarck. Ma już dwadzieścia cztery albo może dwadzieścia trzy lata. Mieszka w miejscowości Borges, ma inne psy, męża dentystę i parę bliźniaków, które uczą się chodzić i przeklinać w obcym języku. Ostatnio spotkał się z nimi na początku urlopu i miał nadzieję, że już do końca roku nie będzie musiał się im narzucać ze swoim towarzystwem.

Miał też syna, Ericha.

I to znacznie bliżej niż córkę. Erich przebywał w więzieniu w Linden, gdzie odsiadywał dwuletni wyrok za przemyt narkotyków. Był więc w bezpiecznym miejscu. Gdyby Van Veeteren miał ochotę, mógłby go odwiedzać każdego dnia. Wystarczyło wsiąść do samochodu i przejechać dwie mile wzdłuż kanałów, pokazać strażnikowi legitymację i wejść do środka. Erich tam był i nie miał nawet jak się wymigać od takiego spotkania. A jeśli na dodatek Van

Veeteren przywoził z sobą trochę papierosów i kilka gazet, jego syn nie okazywał mu właściwie zbyt dużej niechęci.

Z drugiej strony nie widział żadnego sensu w tym, żeby tam jeździć i oglądać swojego długowłosego potomka kryminalistę.

Opuścił boczną szybę, żeby wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Na udo spadła mu chmura kropel deszczu.

Co jeszcze?

Prawa stopa, oczywiście.

Podczas wczorajszej partii badmintona z Münsterem skręcił sobie stopę. 6:15, 3:15, a w trzecim secie przy stanie 0:6 musiał skreczować. No cóż, wynik mówił sam za siebie... Rano miał kłopot z założeniem buta, a przy każdym kroku odczuwał ból. Rzeczywiście, życie to sama radość.

Poruszył ostrożnie palcami u nóg i zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie powinien zrobić sobie prześwietlenia. Była to jednak tylko przelotna myśl, a on doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Wystarczyło, że przypomniał sobie swojego ojca, nieprzeciętnego stoika, który nie chciał iść do szpitala mimo obustronnego zapalenia płuc, bo uważał, że to niemęskie.

Dwa dni później umarł we własnym łóżku z dumnym przeświadczeniem, że państwowa opieka zdrowotna nigdy nie wydała na niego ani grosza, a on sam nie połknął nawet jednej kropli lekarstwa.

Miał pięćdziesiąt dwa lata.

Nie doczekał dnia, kiedy jego syn obchodził osiemnaste urodziny.

No i jeszcze ten nauczyciel z gimnazjum.

Niechętnie skierował myśli ku sprawom służbowym. Sam

przypadek wydawał się całkiem interesujący. Gdyby nie miał czego innego na głowie i gdyby tak cholernie nie lało, mógłby nawet przyznać, że sprawa ta zawiera ziarnko emocji.

Tym razem nie był jednak pewien.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć miał absolutną pewność. A nawet częściej, jeśli ma być szczerzy. Po tylu latach pracy Van Veeteren był w stanie w dziewiętnastu przypadkach na dwadzieścia określić, czy ma pod kluczem sprawcę przestępstwa.

Zawsze istniała nieskończona liczba drobiazgów, w których przypadku wskazówka wychylała się w jedną lub w drugą stronę. Wraz z upływem lat nauczył się je wychwytywać. Nie polegało to na tym, że umiał rozpoznawać każdy z nich oddzielnie, ale to było mu już obojętne. Najważniejsze, żeby wyrobić sobie ogólny obraz. Zrozumieć pewien wzór.

Nie było to zbyt trudne, więc nie musiał się zbytnio wysilać.

Znalezienie dowodów i odtworzenie sekwencji zdarzeń, która zachowa spójność w czasie procesu, było już zupełnie inną sprawą. Jednak pewność i wiedza zawsze stanowiły wyznacznik jego działania.

I to bez względu na to, czy chciał, czy nie. Odbierał sygnały, które wysyłał podejrzany, i interpretował je tak łatwo, jak ktoś, kto czyta książkę, albo jak muzyk, który musi rozeznaczyć się w konkretnej melodii na podstawie całej masy nut, albo jak matematyk, który bada błędnie rozpisane równanie. Jawiło się to czymś niezwykłym, a zarazem stanowiło pewną sztukę. Nie było to coś, czego można się tak po prostu nauczyć, tylko pewna umiejętność, którą zdobył po wielu latach służby w policji.

Na pewno był to jakiś dar, a on nijak sobie na niego nie zasłużył.

I nawet nie miał na tyle zdrowego rozsądku, żeby być za to wdzięcznym.

Wiedział oczywiście, że jest najlepszym sędzią śledczym w okręgu, a może nawet w całym kraju, ale bez wahania zrezygnowałby z tego wszystkiego, gdyby tylko mógł dokopać Münsterowi w grze w badminton.

Chociaż jeden raz...

To fakt, że nominację na stopień komisarza otrzymał dzięki swym zdolnościom, choć nie brakowało wielu innych, którzy po odejściu starego Morta na emeryturę byli zainteresowani tym stanowiskiem.

To także dlatego komendant policji za każdym razem darł na kawałki jego wnioski o dymisję, po czym wrzucał go do kosza na śmieci.

Van Veeteren musiał na tym stanowisku pozostać.

Stopniowo pogodził się ze swoim losem. Może tak też jest dobrze? W miarę upływu lat coraz trudniej wyobrażał sobie siebie w innym zawodzie.

No bo po co być zdołowanym ogrodnikiem albo kierowcą autobusu, jeśli można być zdołowanym inspektorem policji? Tak właśnie określił to kiedyś Reinhart.

A teraz? Jak jest teraz?

W dziewiętnastu sprawach na dwadzieścia był pewien.

W tej dwudziestej miał wątpliwości.

A w dwudziestej pierwszej?

Przypomniała mu się stara wyliczanka.

Dziewiętnaście dziewcząt...

Wybijał rytm palcami na desce rozdzielczej i próbował

przypomnieć sobie dalszy ciąg.

...złożył porucznik u swych stóp?

Nie brzmi to zbyt mądrze, ale idźmy dalej. Co potem?

Dziewiętnaście dziewcząt złożył porucznik u swych stóp.

Dwudziestej kosza dał.

Dwudziesta pierwsza go zabiła!

Co za bzdura! Wypluł wykałaczkę i skręcił w stronę komendy policji. Zanim wyszedł z samochodu, musiał jak zwykle wziąć na uspokojenie. Gmach policji był bez wątpienia jednym z trzech najbrzydszych budynków w całym mieście.

Drugim było gimnazjum Bunge. To w tej szkole zdawał kiedyś maturę i tam też pracował ten Mitter. Trzecią brzydką budowlą były koszary przy ulicy Klagenburg 4, gdzie Van Veeteren mieszkał przed sześciu laty.

Otworzył drzwi i zaczął po omacku szukać parasola na tylnym siedzeniu, ale potem przypomniał sobie, że zostawił go w domu, aby wysechł.

6

– Dzień dobry!

Drzwi same zamknęły się za komisarzem. Mitter odwrócił głowę. Jeśli pominąć byłego szwagra i adiunkta chemii i fizyki, Jeana-Christophe`a Colmara, to chyba Van Veeteren był najbardziej niesympatyczną osobą, jaką kiedykolwiek poznał.

A kiedy teraz usiadł przy stole i zaczął ssać swoją nieodłączną wykałaczkę, Mitter zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej będzie przyznać się do wszystkiego. Żeby się tylko go pozbyć.

Niech go tylko zostawi w spokoju.

Chyba jednak nie będzie to takie proste. Van Veeteren nie pozwoliłby się oszukać. Siedział teraz groźny jak chmura gradowa, a jego ciężkie ciało pochylało się nad magnetofonem. Jego twarz, którą pokrywała drobna siateczka błękitnych, popękanych żyłek, była podobna do zastygłego nieruchomo pyska ogara. Jedynym ruchomym elementem była wykałaczką, która przesuwiała się z jednego kącika ust do drugiego. Inspektor potrafił mówić bez poruszania wargami, czytać bez poruszania oczami i ziewać bez otwierania ust. Bardziej przypominał mumię niż człowieka z krwi i kości.

Był też niezwykle skutecznym policjantem.

Można było odnieść wrażenie, że komisarz dowie się, jak to jest z winą Mittera, jeszcze zanim on sam cokolwiek zrozumie.

Van Veeteren posługiwał się modulacją głosu, która obejmowała

dwa ćwierćtony poniżej dolnego C. Ten wyższy ton oznaczał pytanie, wątpliwość albo szyderstwo. Niższy ton – stwierdzenie.

– Nie doszedł pan do żadnych nowych wniosków – stwierdził komisarz. – Proszę zgasić papierosa! Nie przyszedłem tutaj, żeby się truć.

Włączył magnetofon, a Mitter zdusił papierosa. Położył się na łóżku i wyciągnął na całej jego długości.

– Mój adwokat poradził mi, żebym nie odpowiadał na pańskie pytania.

– Naprawdę? Może pan robić, co pan chce, ale i tak wszystko z pana wyciągnę. Sześć godzin czy dwadzieścia minut... dla mnie to obojętne, mam dużo czasu.

Komisarz umilkł. Mitter wsłuchiwał się w dźwięk wydawany przez nawiew. Van Veeteren siedział bez ruchu.

– Brakuje panu żony?

– Oczywiście.

– Nie wierzę panu.

– Mało mnie to obchodzi.

– Kłamie pan. Jeśli to pana nie obchodzi, to po co opowiada pan takie durne kłamstwa? Człowieku, niechże pan okaże choć trochę inteligencji.

Mitter nie odpowiadał. Komisarz powrócił więc do niższego tonu.

– Wie pan, że mam rację. Chce pan utrwalić we mnie przekonanie, że brakuje panu żony. Jeśli mi pan o wszystkim opowie, nie będzie pan musiał wstydzić się samego siebie.

Nie była to z jego strony krytyka, tylko stwierdzenie faktu. Mitter milczał i nadal wpatrywał się w sufit. Zamknął oczy. Może lepiej będzie posłuchać rady adwokata i robić to konsekwentnie. Gdyby tak

nie wydawać z siebie żadnego dźwięku i unikać kontaktu wzrokowego z Van Veeterenem.

Kiedy miał zamknięte oczy, wszystko inne wydawało się takie wyraźne.

To „inne” pojawiło się nagle i skierowało jego wzrok na ścianę. Zawsze było to „inne”.

Czy Van Veeteren nie miał racji, gdy...?

Wraz z tamtym pytaniem próbował przygwoździć go wzrokiem.

Nie brakuje jej panu?

To prawda, brakowało. Eva wdarła się do jego życia, wyłamała otwarte drzwi, wtargnęła jak mroczna księżniczka i wzięła go w posiadanie. Aż tak bardzo.

Wzięła, trzymała i... znikła.

Czy tak to właśnie wyglądało?

Chyba tak to można określić. A jeśli już kiedyś zaczął nadawać rzeczom i przedmiotom nazwy, teraz nie ma odwrotu... W czternastym rozdziale jego życia pojawiła się Eva Ringmar. Gdzieś między 275 a 300 stroną odgrywała główną rolę, usuwając go na drugi plan; kapłanka miłości... odwieczna namiętność... i nagle odeszła. Jeszcze przez pewien czas będzie pojawiać się między wierszami, ale potem odpłynie w niepamięć. Było to tak silne, że aż musiało się skończyć. Kolejny epizod, który dorzuci do głównej akcji? Sonet? Błędny ognek?

To już koniec. Martwa, ale nieopłakana.

Krzesło pod komisarzem zatrzeszczało. Mitter się wzdrygnął. Z pewnością było to... z pewnością musiał to być jakiś paraliż, stan szoku, to one sterowały jego myślami. To właśnie ten paraliż i szok

rozdzierały wszystko na strzępy i nie pozwalały mu objąć umysłem tego, co się zdarzyło. Co zdarzyło się jemu...?

– Czy nie mam racji?

Komisarz wypluł wykałaczkę i wyjął z kieszeni nową.

– Oczywiście. Po prostu mi się znudziła, więc utopiłem ją w wannie. Dlaczego miałoby mi jej brakować?

– Dobrze. Tak właśnie myślałem. A teraz przejdźmy do innych spraw. Pana żona miała dość ładne ciało, prawda?

– Po co pan o to pyta?

– Pytam, o co chcę. Czy była silna?

– Silna?

– Czy była silna? Czy łatwiej panu będzie, jeśli każde pytanie powtórzę dwa razy?

– Po co chce pan wiedzieć, czy była silna?

– Aby wykluczyć możliwość, że została utopiona przez jakieś dziecko albo osobę niepełnosprawną.

– Nie była zbyt silna.

– Skąd pan wie? Biliście się od czasu do czasu?

– Tylko wtedy, gdy nam się nudziło.

– Czy łatwo przychodzi panu posługiwanie się przemocą?

– Nie, nie musi się pan bać.

– Czy mógłby pan zaproponować sześć osób?

– Słucham?

– Sześć osób, które mogłyby ją zamordować, jeśli to pan tego nie zrobił.

– Już wcześniej wymieniłem takie osoby.

– Chcę wiedzieć, czy pan pamięta te nazwiska.

- Nie rozumiem po co.
- Nieważne. Nie mam zbyt wysokiego mniemania o pana umyśle.
- Dziękuję.
- Nie ma za co. W takim razie wyjaśnię panu. Proszę mi przerwać, jeśli będę mówił zbyt szybko. W siedmiu przypadkach na dziesięć to mąż zabija swoją żonę. W dwóch przypadkach na dziesięć jest to jakaś osoba z bliskiego kręgu znajomych.
- A w dziesiątym?
- Ktoś spoza... jakiś szaleniec albo morderca seksualny.
- Nie uważa pan morderców seksualnych za szaleńców?
- Niekoniecznie. A więc?
- Ma pan na myśli naszych wspólnych wrogów?
- Lub tylko jej wrogów.
- Nie mieliśmy zbyt wielu znajomych... już wcześniej o tym mówiłem...
- Wiem. Przestał pan się spotykać z większością waszych tak zwanych przyjaciół, kiedy... no? Proszę wymienić sześć nazwisk, a dam panu papierosa! Chyba tak pan to robi w szkole?
- Marcus Greijer.
- Pański były szwagier?
- Tak.
- Którego pan nie znosi. Dalej?
- Joanna Kemp i Gert Weiss.
- Koledzy z pracy. Języki i... wiedza o społeczeństwie?
- Klaus Bendiksen.
- Czyli kto?
- Dobry przyjaciel. Andreas Berger.
- A to kto?

– Jej były mąż. Ktoś jeszcze?

Komisarz skinął głową.

– Uwe Borgmann.

– Sąsiad?

– Tak.

– Greijer, Kemp, Weiss... Bendiksen, Berger i... Borgmann. Pięciu mężczyzn i jedna kobieta. Dlaczego właśnie oni?

– Nie wiem.

– Przedwczoraj dał mi pan listę – w tym momencie komisarz wyjął kartkę i zaczął szybko liczyć – zawierającą dwadzieścia osiem nazwisk. Bergera na niej nie ma, są natomiast pozostali. Dlaczego wybrał pan właśnie tę szóstkę?

– Bo mnie pan prosił.

Mitter zapalił papierosa. Komisarz nie miał już nad nim takiej przewagi i wyraźnie to czuł. A może po prostu na chwilę odpuścił, żeby się trochę obnażyć.

Obnażyć się? Z czego?

Komisarz zerknął kwaśnym wzrokiem na papierosa i wyłączył magnetofon.

– Powiem panu, jak to wszystko wygląda. Dostałem dzisiaj końcowy raport lekarski, który wyklucza, aby pańska żona sama mogła odebrać sobie życie. Pozostają nam więc trzy możliwości. Pierwsza – to pan ją zabił. Druga – zamordowała ją któraś z osób z listy, ktoś spośród wybranej przez pana szóstki albo ktoś z pozostałych. Trzecia – padła ofiarą nieznanego sprawcy.

Van Veeteren zrobił krótką przerwę, wyjął wykałaczkę i zaczął się jej przyglądać. Najwidoczniej nadawała się jeszcze do dalszego ssania, więc wsunął ją z powrotem między zęby.

– Osobiście uważam, że to pan jest sprawcą, ale muszę przyznać, że nie mam pewności...

– Jestem panu taki wdzięczny!

– Jestem natomiast całkowicie przekonany, że sąd uzna pana za winnego. Chcę, żeby pan to wiedział. Jeśli zaś chodzi o wyroki sądowe, prawie nigdy się nie myłę.

Wstał z krzesła, schował magnetofon do teczki i zadzwonił na strażnika.

– Jeśli ten adwokat nadal będzie utrzymywał pana w przekonaniu, że jest inaczej, będzie to wynikało tylko z tego, że chce jak najlepiej wykonywać swoją pracę. Ale proszę nie robić sobie żadnych złudzeń. A teraz nie będę już pana dłużej męczył. Do zobaczenia w sądzie.

Przez chwilę Mitterowi wydawało się, że komisarz chciał podać mu dłoń, ale uznał, że byłoby to niezręczne z jego strony. Van Veeteren odwrócił się do niego plecami i chociaż strażnik pojawił się dopiero po dwóch minutach, stał bez ruchu ze wzrokiem wbitym w stalowe drzwi.

Jakby jechał windą. Albo jakby Mitter przestał dla niego istnieć w chwili, gdy ich rozmowa dobiegła końca.

Elmer Suurna starł rękawem marynarki niewidoczną plamkę z biurka. Wyjrzał przez okno, żałując, że do letnich wakacji jeszcze tak daleko. Podobnie jak do najbliższych świąt Bożego Narodzenia.

Na razie był dopiero październik. Westchnął. Od kiedy przed piętnastu laty objął stanowisko dyrektora gimnazjum Bunge, miał pewne ambicje.

Takie mianowicie, by piękny blat jego biurka był czysty i lśniący.

Za dawnych lat, kiedy był jeszcze zwykłym nauczycielem szkoły średniej, miał inny cel: cokolwiek się stanie, nie powinno to zachwiać spokojem jego umysłu! Dopiero gdy musiał pogodzić się z faktem, że takie *credo* zawiodło jego nadzieje i że działa się tak praktycznie codziennie, w każdej godzinie, postanowił postawić wszystko na jedną kartę i wystartować w biegu do prawdziwej kariery. Postanowił po prostu zostać dyrektorem szkoły.

Trochę go to kosztowało: kilka przyjaciół, kilka zaproszeń, kilka lat. Jednak w tym samym miesiącu, w którym skończył czterdziestkę, dotarł do celu. Zasiadł za tym biurkiem i oczyma wyobraźni widział już następne ćwierć wieku względnego spokoju. Jeśli pojawiały się jakieś sprawy, którymi należało się zainteresować – na przykład różne projekty z udziałem uczniów, niedobory w budżecie lub grafik zajęć – delegował do tego swego zastępcę, a sam zajmował się pielęgnacją blatu z czerwonego dębu.

I nagle, po piętnastu latach względnego spokoju, zdarzyła się ta przeklęta historia.

Mijały dni, wieczory i noce, ale niepokój nadal nie ustępował. A teraz na dodatek siedział przed nim ten zakatarzony adwokat, który przypominał mu wygłodniałego sępa, jakiego kiedyś widział podczas letniego urlopu w Serengeti.

Suurna pomyślał sobie, że komuś takiemu mógłby powierzyć najwyżej obronę swojej teściowej.

– Musi pan zrozumieć, panie Rütter.

– Rürger.

– Przepraszam, panie Rürger... a więc musi pan zrozumieć, że był to trudny okres dla nas wszystkich, ciężki i wyczerpujący. Jedna nauczycielka nie żyje, inny nauczyciel siedzi w więzieniu. Policja przychodzi tu każdego dnia. Chyba pan rozumie, że musimy dbać, żeby nie narażać naszej szkoły na dalsze kłopoty.

– Oczywiście. Nie musi się pan obawiać.

– Nie muszę chyba panu mówić, że cała ta historia odbiła się negatywnie na naszych uczniach. To jeszcze młodzi ludzie i takie zdarzenie łatwo może nimi wstrząsnąć. Wszyscy musimy się teraz jakoś pozbierać i iść dalej. Jeśli chodzi o mnie, to ze względu na obowiązek, jaki na mnie spoczywa, nie mogę się przyglądać, jak...

Nagle otwarły się drzwi i jakaś kobieta z włosami w kolorze malwy i w okularach tego samego koloru wsunęła głowę do środka.

– Czy mam już podać kawę, panie dyrektorze?

Miała łagodny głos i delikatnie wymawiała słowa.

Rürger pomyślał sobie, że jej głos brzmi, jakby był zrobiony z porcelany. Domyślił się, że ma do czynienia z nauczycielką nauczania początkowego.

– Oczywiście, panno Bellevue, proszę wejść.

Rüger postanowił skorzystać z okazji.

– Rozumiem oczywiście pana nastawienie. Sam mam syna, który ukończył tę szkołę dziesięć lat temu.

– Naprawdę? Nie wiedziałem.

– Nazywał się Rüger. Edwin Rüger. Rozumiem oczywiście, że to trudny okres dla państwa, ale musimy niestety postępować tak, jak prowadzą nas ścieżki sprawiedliwości. Prawda, panie dyrektorze?

– Oczywiście, panie Rüger. Chyba pan nie przypuszcza, że mógłbym mieć na tę sprawę inny pogląd?

Podążył spojrzeniem za panną Bellevue, która właśnie znikła za drzwiami, a Rüger zastanawiał się, czy w jego głosie nie zabrzmiała nutka niepokoju. A może tylko tak mu się zdawało?

– Ani przez chwilę... oczywiście, że nie. Rozumiem, że zależy panu tylko na odrobinie dyskrecji. Czyż nie mam racji?

– Absolutnie tak. Jeśli pan pozwoli, to muszę zauważyć, że dyskrecja nie jest najmocniejszą stroną naszej policji. Rozumiem przez to, że policja ma inne, większe zalety.

Zerknął na Rügera znad okularów i lekko się uśmiechnął, jakby chciał uzyskać jakieś potwierdzenie. Rüger wytarł nos w chusteczkę.

– A pan reprezentuje...? – kontynuował dyrektor, wrzucając trzy kostki cukru do plastikowego kubka.

– A właśnie. Jestem adwokatem Mittera. Musi pan przyznać, że w interesie szkoły jest, by uznano go za niewinnego.

– Oczywiście, bez wątplenia, ale...

– Tak?

– Proszę mnie źle nie zrozumieć... ale co pan o tym sądzi?

– To ja powinienem zadać to pytanie. I to właśnie panu.

Dyrektor zamieszał kawę, potem poprawił krawat, wyjrzał przez okno i poprzekładał ołówki na biurku.

– ...Mitter zawsze był lojalnym współpracownikiem i szanowanym nauczycielem. Jest w tej szkole już prawie tyle lat, co ja. Ma bogatą wiedzę i jest niezależny. Z trudem przychodzi mi cokolwiek do głowy, z wielkim trudem...

– A Eva Ringmar?

Ołówki zaczęły wracać na swoje miejsce.

– Nie mam na jej temat wyrobionego zdania... Pracowała u nas od niedawna, od dwóch lat mniej więcej... ale była z pewnością pedagogiem o wysokich kwalifikacjach. A czy ja mogę panu zadać pytanie? Jak do tej sprawy odnosi się Mitter?

– Co pan ma na myśli?

Dyrektor niespokojnie poruszył się na krześle.

– No... jak się odnosi do tej sprawy?

– Twierdzi, że jest niewinny.

– Aha... no tak, oczywiście... Że niby nie w afekcie, czy coś takiego?

– No właśnie. Nic takiego.

Dyrektor skinął głową.

– A jeśli chodzi o sprawę, z którą pan do nas przyszedł...

– Chciałbym znaleźć dwóch albo trzech świadków.

– Świadców? To chyba niemożliwe?

– Świadców moralności, panie dyrektorze, to znaczy osoby, które zechcą stawić się w sądzie i zeznawać na korzyść Mittera, takie, które go znają jako człowieka i kolegę z pracy i mogą przedstawić go w pozytywnym świetle... oczywiście zgodnie z prawdą.

– Rozumiem. Ktoś, kto cieszy się szacunkiem?

– Mniej więcej... Może któryś z uczniów. No i chętnie widziałbym pana dyrektora.

– Raczej nie sądzę...

– Albo kogoś, kogo pan wskaże. Jeśli wymieni pan cztery czy pięć nazwisk, sam dokonam wyboru.

– A kogo on sam chciałby wybrać? Może to właśnie on sam powinien takie osoby wskazać?

– Nie, sprawa jest dosyć delikatna...

Rüger ostrożnie skosztował kawy. Jakaś lura o łagodnym smaku środków dezynfekujących. Był wdzięczny losowi, że się przeziębził.

– ...jak by to panu wyjaśnić... W zasadzie Mitter nie powinien wypowiadać się we własnej sprawie. Muszę przyznać, że go rozumiem. Sigurdsen i Weiss są mu chyba najbardziej bliscy, ale nie wiem...

– Weiss i Sigurdsen? Cóż, to chyba słuszny wybór... Nie, nie mam zastrzeżeń.

– Poza tym przydałaby nam się jakaś osoba, która nie była z nim w aż tak zażyłych stosunkach, że tak powiem... Dobrzy przyjaciele mają do powiedzenia tylko dobre rzeczy i nikt nie oczekuje od nich niczego innego.

– Rozumiem.

Rüger przymknął oczy i wypił resztę kawy.

– Już tak konkretnie: chciałbym pana prosić o... jego kolegę z pracy, jednego z jego uczniów i o... powiedzmy... przedstawiciela dyrekcji szkoły... na przykład pana albo kogoś, kto pańskim zdaniem będzie najbardziej odpowiednią osobą.

– Porozmawiam z Egerem, to mój zastępca do spraw nauczania. Na pewno chętnie się zgodzi. Jeśli chodzi o uczniów... no, nie wiem.

Muszę pana prosić o zachowanie jak najdalej idącej dyskrecji. Może pomogą panu Sigurdsen lub Weiss, proszę z nimi porozmawiać.

– Jestem panu bardzo wdzięczny.

– Musi pan wiedzieć, że ja... że my wszyscy jesteśmy oczywiście bardzo wzburzeni wszystkim, co się wydarzyło. Część z nas przeżyła to bardziej niż pozostali i wiadomo, że trudno było czasem utrzymać nerwy na wodzy. W końcu jednak udało nam się jakoś nad tym zapanować. Proszę o tym pamiętać. To był... i nadal jest bardzo trudny okres dla całej naszej szkoły. W każdym razie liczę na to, że uda nam się pokazać uczniom, że ich nie zawiedziemy, chociaż sytuacja jest stresująca.

– Świetnie pana rozumiem, panie dyrektorze. W pełni rozumiem, przez co musiał pan przejść. Czy mógłbym spotkać się teraz z moimi świadkami?

– Kiedy pasuje panu najlepiej? Musi mi pan dać trochę czasu, a poza tym takie spotkania powinny się odbyć po lekcjach. Nie chciałbym jeszcze bardziej ograniczać zajęć, tego, co było, już nam wystarczy.

– Proces zaczyna się w czwartek. Świadców obrony będą przesłuchiwać najwcześniej we wtorek albo w środę w następnym tygodniu.

– W takim razie może jutro po południu?

– Znakomicie.

– Zadzwoń do pana.

Dyrektor odsunął krzesło od biurka. Rüger dał mu swoją wizytówkę i zaczął wstawać z fotela.

– Edwin Rüger... Tak, chyba go pamiętam. Obiecujący chłopak. Czym się teraz zajmuje?

– Jest bezrobotny.

– Rozumiem... w takim razie żegnam pana. Czy mogę być jeszcze w czymś pomocny?

Raczej nie, pomyślał Rüger. Potrząsnął głową i wytarł nos. Dyrektor Suurna pochylił się nad telefonem wewnętrznym i poprosił do siebie kobietę z włosami w kolorze malwy.

– Czy ma pan parasol? – spytała, prowadząc go korytarzem.

– Nie – odparł Rüger – ale chcę jakiś sobie kupić.

Nie miał ochoty się tłumaczyć, że właściwie ma już dwa parasole. Jeden w domu, drugi w samochodzie. Idąc przez mokre od deszczu podwórko, uświadomił sobie, że dyrektor kogoś mu przypomina. Chyba pewnego polityka, który przed wieloma laty uwikłany był w jakiś skandal. Ale to chyba niemożliwe, żeby chodziło o tę samą osobę?

W każdym razie miał nadzieję, że Suurna nie zmieni zdania w sprawie Mittera i stawi się w sądzie. Zdawał sobie sprawę, że z jego zeznań najbardziej będzie się cieszyć strona przeciwna. Nie miał jednak odwagi, żeby mu to wytłumaczyć.

Á propos: ilu świadków pozyskał prokurator za murami tej szkoły? Miał wrażenie, że gdyby prokurator się postarał, pewnie znalazłby ze dwie, trzy takie osoby.

Jednak kiedy już siedział w samochodzie i w bocznym lusterku widział znikający budynek gimnazjum, bardziej myślał o gorącej kąpielii i podwójnym koniaku.

Wprawdzie jego żona twierdziła, że w dzisiejszych czasach przeziębienia przestano leczyć kąpieliami i koniakiem, ale postanowił, że dłużej nie będzie jej już słuchał. Od trzech dni wpycha w siebie na

śniadanie jakieś ohydne witaminy, ale nie poczuł się od nich ani trochę lepiej.

8

Dlaczego oni nie przyszli?

Pytanie to pojawiło się następnego dnia, ale dopiero pod wieczór. Godziny mijały jak w szalonym transie, w niepojętym zamieszaniu, ale gdy tylko uspokoił myśli, zaczął się zastanawiać, czy to właśnie to go tak męczyło.

Dlaczego nie dali o sobie znać?

Minęła kolejna noc. I kolejny dzień.

I nic się nie działo. Poszedł do pracy, zajmował się swoimi sprawami, wieczorem przychodził do domu... Szybko i łatwo wróciły mu siły i wiedział, że konfrontacja nie przysporzy mu najmniejszych zmartwień.

I rzeczywiście tak się stało.

Po tygodniu to nedorzeczne pytanie znowu zaczęło go dręczyć. Wydawało mu się, że musiało dojść do jakiegoś nieporozumienia... że go szukali, ale nie zdołali go dorwać.

W domu albo w pracy.

Być może jego dalsze zachowanie było równie nedorzeczne, ale w drugim tygodniu siedział przez dwa dni w domu. Dostał zwolnienie lekarskie z powodu nieżyty żołądka i przez cały czas przebywał w domu.

Tak na wszelki wypadek, gdyby jednak chcieli go dorwać.

Niezależnie od wszystkiego odpoczynek mu się przydał. Tkwił w mieszkaniu przez dwie doby i starał się objąć myślami cały kontekst tej sprawy. I od razu zobaczył, jak wszystkie elementy układanki trafiają na właściwe miejsce. Całe jego życie zmierzało w tym kierunku. Zrozumiał, że powinien być to sobie uświadomić już dawno temu. Oszczędziłby sobie wielu kłopotów. Zrozumiał, że właśnie to i nic innego jest dla niego wyjściem. Stało się to jasne tak nagle, że aż się walnął w głowę z powodu własnej ślepoty.

Ona już nie żyła. On nadal żył.

I nic się nie działo.

Żadnego nieznanego głosu w słuchawce, który chciałby mu zadać jakieś pytania. Żadnych smutnych panów w wilgotnych trenczach pod drzwiami jego domu. Nic.

Na co oni czekają?

Od czasu do czasu stawał za firanką i spoglądał w dół, na ulicę, w poszukiwaniu tajemniczych samochodów, które być może tam parkują. Wsłuchiwał się w każde szcęknięcie w telefonie, które mogłoby potwierdzić, że linia jest na podsłuchu. Czytał wszystkie gazety, jakie wpadły mu w ręce, ale nigdzie, nigdzie nie znalazł żadnego wyjaśnienia.

Było to niezrozumiałe.

Gdy minęły trzy tygodnie, sprawa nadal była dla niego niezrozumiała, ale zdążył się już przyzwyczaić. Sytuacja nie wyglądała wcale aż tak nieprzyjemnie.

Rankiem, w dniu rozpoczęcia procesu, obudził się wcześnie. Długo stał w łazience przed lustrem i uśmiechał się do swojego odbicia.

Zastanawiał się nad pomysłem, żeby tam pójść. Usiąść w ławach dla publiczności i się przyglądać.

Zrozumiał jednak, że nie może się posunąć tak daleko. Nie może wyzywać losu.

Po co wyzywać los, który chyba mu sprzyja?

Jadąc samochodem do pracy, przyłapał się na tym, że śpiewa.

To nie zdarzyło się wczoraj. Uchwycił w lustrze swój wzrok. Była w nim jakaś iskra.

A gdy zatrzymał się na czerwonym świetle, czekając na zielone, ujrzał kącikiem oka, jak kobieta siedząca za kierownicą volvo odwróciła w jego stronę głowę i uśmiechnęła się do niego.

Przełknął ślinę i nagle doznał erekcji.

Sen pojawił się dopiero wczesnym rankiem, kiedy pierwsze szare światło zaczęło powoli przebijać się przez ciemność w jego celi... a może dopiero wtedy, gdy na korytarzu usłyszał skrzypienie wózka z jedzeniem.

Przypomniał sobie wszystko ze szczegółami. Być może sen pojawił się tuż przed pobudką, a może sprawy znalazłyby swoje wyjaśnienie, gdyby pozwolono mu jeszcze przez kilka minut lub przynajmniej przez jedną minutę pospać. A może wystarczyłoby kilka sekund.

Na początku wędrował. Był to rozpaczliwy marsz przez niekończącą się pustą równinę. Surowa okolica pozbawiona wsi, drzew, rzek... jedynie ta wyschnięta, popękana ziemia. Oprócz czarno-zielonych, małych jaszczurek, które przemykały we wszystkie strony między kamieniami i szczelinami, był w tej okolicy jedyną żywą istotą. Szedł sam, dźwigał niewygodny plecak, który obcierał mu ramiona i wrzynał się w żywe ciało. Niewiele wiedział o celu i sensie wędrówki, jedynie tyle, że chodzi tu o coś ważnego. Być może na początku wiedział więcej, ale po drodze gdzieś mu to umknęło.

Nie mógł się jednak poddać, zatrzymać, zrezygnować, usiąść... musiał męczyć się dalej, metr po metrze, krok za krokiem. Wiatr zaczął się wzmacniać, zmuszając go do przyjęcia pochylonej postawy. Coraz silniej musiał się mu opierać, wiatr nawiewał mu w twarz piasek i suche gałązki, a on pochylał się coraz bardziej i przymykał

oczy, żeby je chronić...

I nagle znalazł się przed tym wielkim i zniszczonym domem, który wydał mu się znany, a zarazem obcy. Ludzie czekali w długim rzędzie, żeby go przywitać. Stali przyciśnięci wzdłuż ścian korytarza... byli to różni ludzie, ale wszystkich znał i nikt go nie unikał... Zobaczył wielu znajomych, Bendiksena, Weissa i Jürga, swojego syna i inne osoby z wielkiego świata i z kart wielkiej historii: Dalajlamę, Winstona Churchilla i Michaiła Gorbaczowa. Ten ostatni czytał płynną łaciną wiersz o przemijaniu wszystkiego, a potem wziął go za rękę... wszyscy brali go za rękę i prowadzili go dalej. Pchali go ostrożnie, choć zdecydowanie do środka, po pochyłych schodach, przez długie, słabo oświetlone korytarze.

W końcu przyszedli do pokoju, który był ciemniejszy niż wszystkie inne, i zrozumiał, że są na miejscu. Mężczyzna stojący po drugiej stronie długiego stołu... od razu poznał ten stół, bo był to jego własny stół... a ten mężczyzna to z pewnością... to był... to musiał być... to był przecież...?

Lampa wisząca pod sufitem na długim sznurze miała płaski, blaszany abażur, który zwisał w dół w tak głupi sposób, że widział tylko swoje dłonie i ramiona leżące na stole. A może tylko je rozpoznawał... To był... to był...?

Na stole leżało kimono Ewy. Chciał je natychmiast przyciągnąć do siebie, żeby je włożyć do pralki, ale coś go powstrzymało. Nie wiedział jednak co, bo mężczyzna w ciemnościach bał się jeszcze bardziej niż on sam. To dlatego nie mógł nawet pokazać swojej twarzy, to był przecież... i nagle poczuł ogromny niesmak, swędzenie całego ciała i wszechogarniające go uczucie, że musi uciec z tego pokoju, zanim będzie za późno. I wtedy obudził się.

Obudził się.

Teraz, kiedy już sobie przypominał, wiedział, że nie obudził się pod wpływem czynnika zewnętrznego. To sam pokój wyrzucił go z siebie.

Obudził się. Nieodwołalnie. Ciężko oddychał z powodu środków nasennych, które wmusił w niego Rüger. Być może bez tych środków mógłby zostać w tamtym pokoju trochę dłużej... Żeby dowiedzieć się choć trochę?

Kimono leżące na stole nie było tylko przedmiotem ze snu i dobrze o tym wiedział... było wspomnieniem, składnikiem tamtej nocy... oczywiście nie było prawdziwe, było podróbką. Eva wypatrzyła je latem w jednym z ciasnych zaułków Levkes, więc je dla niej kupił... któregoś z tamtych wieczorów, gdy najpierw siedzieli w ogródku przed tawerną aż do chwili, gdy obsługa zaczęła sprzątać lokal, a potem wracali do domu plażą... Uwielbiał chodzić po piasku ciepłą, ciemną nocą; przez całą drogę powrotną szli nago, czuli bliskość innych ludzi, ale ciemność była tak bardzo nieprzenikniona, że nie musieli okrywać się czymkolwiek. Z drugiej strony noc była jasna i gwiazdzista, mieli nad sobą niebo rozświetlone miriadami gwiazd, także tych spadających. Przestali je liczyć, gdy lista życzeń w końcu im się wyczerpała...

Zdarzyło się to... pomyślał przez chwilę... niecałe trzy miesiące wcześniej. Równie dobrze mogło to być i trzy miliony lat przedtem. Naszło go nagłe poczucie tego, co w upływającym czasie jest nieodwołalne; bezwarunkowy porządek panujący pośród chwil i sekund... rozpaczliwa konieczność. Mniej czasu dzieli nas od zagłady świata niż od minionej chwili, którą właśnie przeżyliśmy, bo ją straciliśmy już na zawsze. Nie ma już innej drogi. Levkes już nigdy

nie wróci, podobnie jak Retsinan i żebrak z niebieskimi oczyma nigdy już nie wróca.

Z drugiej strony...

Może życie dobiega końca?

Trudno teraz odzyskać równowagę.

Dopiero w trudnych chwilach możesz się przekonać, kim jesteś naprawdę.

Jestem nikim, pomyślał. A więc jestem nikim.

Uważam, że o wiele więcej sensu ma leżenie na pryczy i oglądanie kawałka ściany... przyglądanie mu się i dokładne badanie z bliskiej odległości, szukanie plamek wielkości znaczka pocztowego albo wielkości paznokcia... obserwowanie ich wszystkimi zmysłami, smakowanie językiem i palcami, wachanie, słuchanie aż do chwili, gdy poznam je na wskroś... to znaczy z większym sensem... lepsze to niż wracanie i przypominanie sobie tego, co było i co się wydarzyło...

Tak właśnie myślał, kiedy się obudził z tego snu, i nie była to jakaś nowa myśl; nie była to także taka myśl, którą mógłby sobie odpuścić.

Usłyszał odgłos jadących wózków z jedzeniem. Otworło się okienko, przez które ktoś wsunął tacę ze śniadaniem. Potem znowu się zamknęło. Była siódma, przespał prawie osiem godzin. Po raz pierwszy od trzech tygodni przespał całą noc. I dzień...

Co to dzisiaj ma się wydarzyć?

Potrzebował kilku sekund, żeby znaleźć odpowiedź.

Tak, dzisiaj ma się rozpocząć proces.

Ugryzł kawałek chleba i zaczął się zastanawiać nad swoimi myślami.

Cóż takiego się stało?

Czy to jakieś gnuśne oczekiwanie?

A može po prostu... nic?

Sala sądowa miała prawie gotycki wygląd. Architektura o wysokich, prostopadłych ścianach, która kierowała myśli ku teatrowi anatomicznemu we wschodniej Brugii. Stromo opadająca widownia z trzech stron, podczas gdy czwartą zapełniały miejsca dla sędziego i ławników umieszczone za ciemnobrązową barierką. Oszczędne, naturalne światło wpuszczone do środka wdzierало się przez okrągły witraż znajdujący się wysoko pod spiczastym sufitem i bez wątpienia wzmacniało wrażenie opadającego pionowo porządku świata, który objawił się twórcy w połowie poprzedniego stulecia.

Sala była wypełniona do ostatniego miejsca.

Największą grupę, liczącą około dwustu osób, stanowiła publiczność zasiadająca w górze, na widowni. Większość z nich stanowili uczniowie gimnazjum Bunge. Mitter zrozumiał, że to on stał się bezpośrednią przyczyną największej w tym roku nieusprawiedliwionej nieobecności.

Wśród publiczności nie brakowało też dziennikarzy. Wszyscy oni, bez wyjątku, siedzieli w pierwszych rzędach i zapisywali coś w notatnikach ułożonych na kolanach. A może były to szkicowniki... Przypomniał sobie, że robienie zdjęć zostało zabronione. Tak duża liczba dziennikarzy zdziwiła go, było ich kilkunastu. Mogło to oznaczać tylko jedno: jego sprawa stała się znana w całym kraju i nie

była jakąś prowincjonalną historią.

Poniżej sektora dla publiczności, na samym środku, znajdował się on sam, Rüger, który powoli pozbywał się przeziębienia, sędzia Havel, prokurator Ferrati z asystentem, a także grupa pozostałych prawników i urzędników sądowych.

No i ława przysięgłych. W jej skład wchodziło czterech mężczyzn i dwie kobiety; wszyscy oni siedzieli za specjalnym przepierzeniem po prawej stronie sędziego i wyglądali na życzliwych – z wyjątkiem przysięgłego trzeciego od lewej, którym był sztywno wyprostowany mężczyzna z protezą ramienia i zmarszczką na czole.

Po sali latała też mucha plujka. Przeważnie wysoko, pod sufitem, bezpośrednio nad stołem prokuratora, ale co jakiś czas robiła sobie wycieczki po sali i prawie za każdym razem obierała sobie za cel jedną z dwu kobiet ławniczek, która siedziała po prawej stronie mężczyzny ze zmarszczką na czole. Za każdym razem mucha atakowała jej nos i choć kobieta ciągle ją odpędzała, mucha wracała uporczywie i z niewyczerpaną energią. Podczas lotu robiła mnóstwo hałasu swym cichym brzęczeniem, które kontrastowało z lekko ochrypłym głosem prokuratora, oba te głosy brzmiały mniej więcej jak wiolonczela i klawikord, a najbardziej wyraźnie można to było usłyszeć podczas pauz, gdy oskarżyciel musiał zaczerpnąć powietrza.

Poza tym cały ten dzień nie był zbyt przyjemny.

Zaczął się od tego, że w pewnej chwili wszystkim kazano wstać z miejsc, a potem znowu usiąść, kiedy sędzia i ława przysięgłych zajmowali miejsca. Później prokurator wygłosił oskarżenie, a Rüger oznajmił, że jego klient jest niewinny. Następnie swoje wystąpienie rozpoczął prokurator, który opisał całą sprawę; zajęło mu to około godziny i dwudziestu minut. Stwierdził, że oskarżony, Janek Mattias

Mitter, lat czterdzieści sześć, urodzony w Rheinau, od dwudziestu sześciu lat zamieszkały w Maardam, zatrudniony od 1973 roku w gimnazjum Bunge jako nauczyciel historii i filozofii, wczesnym rankiem 5 października bieżącego roku zabił swoją żonę, Evę Marię Ringmar, lat trzydzieści osiem, urodzoną w Leuwen, od 1990 roku zamieszkałą w Maardam i aż do dnia śmierci zatrudnioną w wymienionym gimnazjum na stanowisku nauczycielki języka angielskiego i francuskiego, poprzez utopienie jej w wannie w ich wspólnym mieszkaniu przy ulicy Kloisterlaan 24. Czyn ten został popełniony pod wpływem alkoholu, ale nic – powtórzył prokurator – absolutnie nic nie wskazuje na to, aby Mitter uległ był takiemu zatruciu, żeby nie mógł odpowiadać za własne czyny. Prokurator zamierza udowodnić swoje oskarżenie za pomocą licznych ekspertyz, zeznań ekspertów i świadków, a zanim skończy, zarówno ława przysięgłych, jak i wszyscy inni będą przekonani o winie oskarżonego, a wtedy wyrok sądu może być tylko jeden: winien.

Winien zabójstwa.

Potem głos zabrał Rüger. Wysmarkał nos w chusteczkę, a później przez godzinę i dwanaście minut wyjaśniał, że całe zdarzenie nie przebiegało wcale tak, jak przedstawił je prokurator, bo jego klient nic nie zyskał na śmierci swojej żony, a on zamierza to udowodnić, aby nie pozostał nawet cień wątpliwości.

Potem ogłoszono dwugodzinną przerwę na lunch. Mucha opuściła swoje miejsce nad ławkami sędziów przysięgłych i uniosła się w górę, żeby się przespać, podczas gdy wszyscy obecni z godnością opuszczali salę. Jedna z dziewczyn siedzących wśród publiczności odważyła się nawet pomachać Mitterowi, który w odpowiedzi przesłał jej krzepiące spojrzenie.

Swój lunch złożony z makaronu zjadł w ciągu dziesięciu minut w jednym z pomieszczeń sądowych mieszczących się w podziemiach budynku. Resztę czasu, w oczekiwaniu na dalszą część rozprawy, przeleżał na pryczy, przyglądając się wilgotnej plamie na suficie.

Ta część rozprawy sądowej poświęcona była prezentacji wyników badań technicznych i laboratoryjnych. Miejsce dla świadków zajmowali policyjni eksperci, między innymi Van Veeteren. Był wśród nich specjalista od obdukcji, lekarz, lekarz medycyny sądowej i ktoś o nazwisku Wilkerson. Ten ostatni jąkał się i przedstawił się jako docent toksykologii.

W drugiej części rozprawy ubył trochę publiczności zasiadającej na widowni. Dyrektor Suurna już prawdopodobnie o wszystkim się dowiedział. Natomiast dziennikarze wytrwale siedzieli na swoich miejscach i dopiero gdy jeden z ekspertów zaczął opowiadać o procesach zachodzących w układzie trawiennym, zmienili pozycję, odchylając się trochę do tyłu. Jeśli ktoś nawet zasnął, to przynajmniej nie chrapał.

W zasadzie trudno było powiedzieć, na czym upłynęła popołudniowa część rozprawy. Ferrati i Rüger na przemian dzielili włos na czworo, za którymś razem do dyskusji włączył się sędzia Havel, aby przywołać obu panów do porządku, a jeden z członków ławy przysięgłych zadał pytanie dotyczące ewentualnej obecności fragmentów skóry pod paznokciami.

Mitter nie zabierał głosu, a gdy po szesnastej rozprawa dobiegła końca, ocknął się i uświadomił sobie, że już od dłuższego czasu nie przysłuchuje się kolejnym wypowiedziom. Tęsknił natomiast

intensywnie za trzema rzeczami: samotnością, ciszą i ciemnością.

Jeśli zaś chodzi o kwestię tego, kto pozbawił życia Evę Ringmar, można powiedzieć, że wszyscy mieli o tym taką samą wiedzę jak mucha plujka.

Kiedy jadł śniadanie, zjawił się Rüger.

– Chciałbym z panem porozmawiać.

– Tak?

– Nie ma pan dodatkowego kubka?

Mitter zawołał strażnika, który przez otwór w drzwiach podał mu kubek.

– Nic nowego pan sobie nie przypomniał?

– Nie.

– No tak...

Opadł na krzesło stojące przy stole. Oparł się na łokciach i zaczął dmuchać na gorącą kawę.

– Chciałbym zaproponować, żeby pan zastanowił się... nad zeznaniami.

Mitter przełknął kęs kanapki i spojrzał badawczym wzrokiem na adwokata.

– Co pan ma na myśli?

– Zastanawiam się, czy powinien pan zeznawać, czy nie.

Mitter milczał i przez chwilę rozważał słowa Rügera. A właściwie może nie było czego rozważać.

– Jak już wspomniałem, nie ma takiej konieczności, żeby oskarżony składał zeznania.

– Powiedział pan, że to nawet dość niezwykle, jeśli...

Rüger skinął głową.

– Być może, ale mimo to chciałbym, żeby się pan nad tym zastanowił. Patrząc na tę sprawę z mojej perspektywy, mamy takie same szanse, jeśli nie będzie pan zeznawał.

– Dlaczego?

– Bo nie ma pan nic nowego do dodania. Nie ma pan nawet nic na własną obronę. W razie czego nie będzie pan miał żadnego dowodu na potwierdzenie tego, że to nie pan ją zabił. Będzie pan mógł zeznać tylko tyle, że nic pan nie pamięta, a nie jest to zbyt mocny argument, chyba pan to rozumie? Nic na tym nie zyskamy i właśnie to stanowi jądro całej sprawy.

Zrobił przerwę i upił trochę kawy.

– A poza tym? – spytał Mitter.

– Poza tym... poza tym ta kawa to prawdziwa trucizna. Nie rozumiem, dlaczego nie potrafią... a zresztą! Najważniejsze będzie to, jakie wrażenie zrobi pan na sędziach: dobre czy złe.

Mitter zapalił papierosa i pogładził się po niegolonym zaroście na brodzie. Rüger mówił dalej:

– Tak, właśnie o to chodzi. Nikt tak naprawdę nie wie, czy pan ją utopił, więc będą musieli zgadywać. Ferrati zrobi wszystko, żeby stracił pan panowanie nad sobą, a Havel mu na to pozwoli. Jeśli Ferratiemu się uda, możemy przegrać. On potrafi być niemiły. Nie jestem też pewien, czy później będę w stanie pana pozszywać...

Mitter wzruszył ramionami.

– Czy Ferrati nie musi podać motywu?

– Właściwie nie, ale taki jest zwyczaj, po prostu robi to lepsze wrażenie. Moglibyśmy powiedzieć, że pan nie wytrzymuje, że przeżycia były zbyt ciężkie. Silna presja psychiczna, stan szoku i tak

dalej. Znam pewnego lekarza, który jutro mógłby wypisać panu zwolnienie. Sąd to zaakceptuje, a panu to nie zaszkodzi, obiecuję. Co pan na to?

– A co pan uważa?

Rüger zaczął się zastanawiać. A może tylko udawał? Właściwie byłoby to dość dziwne, gdyby wpadł tu bez zapowiedzi o wpół do ósmej rano, nie podjąwszy wcześniej jakiejś decyzji.

– Wolałbym, żeby pan zrezygnował.

Mitter podszedł do umywalki i zgasił w niej papierosa. Rozciągnął się na łóżku i przymknął oczy.

– Ja nie zrezygnuję. Niech pan sobie wybije to z głowy. A teraz może pan wrócić do domu i umyć ręce.

Zanim Rüger odpowiedział, przez chwilę siedział w milczeniu.

– Jak pan chce, panie Mitter. Jak pan chce. Bez względu na to, co pan o mnie myśli, postaram się prowadzić tę sprawę jak najlepiej. Zobaczymy się w sądzie.

Zadzwoił na strażnika i wyszedł z celi. Mitter leżał z zamkniętymi oczami do chwili, kiedy za Rügerem zamknęły się drzwi.

Tego dnia Ferrati założył okulary. Duże, okrągłe bryle w jasnej, metalowej oprawce. Wyglądał w nich jak świeżo obudzony lemur albo może nawet hipnotyzer.

– Janek Mattias Mitter... – rozpoczął.

Mitter skinął głową.

– Proszę, żeby oskarżony odpowiadał jasno na pytania prokuratora – wtrącił się sędzia Havel.

– Nie sądziłem, że to jest pytanie – odparł Mitter.

Havel zwrócił się więc do Ferratiego:

– Proszę powtórzyć pytanie!

– Czy nazywa się pan Janek Mattias Mitter? – sprecyzował Ferrati.

– Tak – odparł Mitter.

Na sali rozległ się pojedynczy chichot. W odpowiedzi na to sędzia Havel uderzył w blat swoim sędziowskim młotkiem. Był już poirytowany. Niedobrze się zaczyna. Rüger wytarł nos i wpatrywał się w swój długopis.

– Proszę nam opowiedzieć, kiedy oskarżony po raz pierwszy spotkał Evę Ringmar.

– Było to... we wrześniu 1990 roku. Na początku semestru szkolnego.

– Jakie pan odniósł pierwsze wrażenie?

– Żadne.

– Żadne? Oskarżony nie sądził, że była piękną kobietą?

– Być może.

– Ale oskarżony nie pamięta dokładnie?

– Nie.

– Kiedy zaczęliście się spotykać?

– W kwietniu.

– Którego roku?

– Tego roku.

– Proszę nam opowiedzieć, w jakich okolicznościach do tego doszło.

– W któryś weekend braliśmy razem udział w wyjeździe szkoleniowym, trochę ze sobą rozmawialiśmy. Zaprosiłem ją do kina, a potem wypiliśmy kilka drinków.

– I tak zaczął się wasz związek?

– Tak.

- Oboje byliście wolni?
- Tak.
- Czy mogę zapytać, dlaczego postanowiliście być ze sobą?
- Myślę, że to dość idiotyczne pytanie.
- Nieważne. Cofam pytanie. Kiedy postanowiliście się pobrać?
- W czerwcu. Na początku lipca zamieszkaliśmy razem, a dziesiątego wzięliśmy ślub.
- Zaraz potem pojechaliście do Grecji?
- Tak.
- Coś w rodzaju miodowego miesiąca?
- Można tak powiedzieć.
- Dlaczego wzięliście ślub? Mam nadzieję, że i tego pytania oskarżony nie uzna za idiotyczne. Chciałbym usłyszeć konkretną odpowiedź.

Mitter milczał przez chwilę. Potem przestał patrzeć na Ferratiego i spojrzął na sędziów przysięgłych.

- Oświadczyłem się, a ona powiedziała „tak”.
- Czy możemy dowiedzieć się czegoś więcej?
- Nie.

Na sali rozległ się lekki szmer, ale sędzia Havel nie zainterweniował.

- Oboje żyliście wcześniej w formalnych związkach małżeńskich – ciągnął prokurator. – Spotykacie się i kontynuujecie znajomość. Po trzech miesiącach bierzecie ślub. Czy to nie zbyt... szybko?
- Nie.
- Nie spieszyło wam się z jakiegoś konkretnego powodu?
- Nie.
- Ofiara nie była w ciąży?

- A czy w naszych czasach to powód, żeby brać ślub?
- Proszę odpowiedzieć na moje pytanie!
- Nie, Eva nie była w ciąży.
- Dziękuję.

Nastąpiła krótka przerwa, w czasie której Ferrati poszedł na swoje miejsce, żeby przejrzeć notatki.

– Jakimi słowy oskarżony mógłby opisać swój związek i małżeństwo z Evą Ringmar?

– A co konkretnie chciałby pan wiedzieć?

– Czy byliście razem szczęśliwi? Czy nie żałowaliście decyzji o ślubie?

– Nie, nie żałowaliśmy jej, ani Eva, ani ja. Było nam razem dobrze.

– Byliście szczęśliwi?

– Tak.

– Oskarżony kochał swoją żonę?

– Tak.

– A ona jego?

– Tak.

– Mam przed sobą informację z 22 września, to znaczy czternaście dni przed zabójstwem. Byliście razem w restauracji „Mefisto”. Po kolacji doszło między wami do gwałtownej sprzeczki, a żona oskarżonego opuściła lokal. Później powołamy świadka, który to potwierdzi. Czy to, co powiedziałem, zgadza się?

– Tak.

– O co się pokłóciliście?

– Nie odpowiem na to pytanie.

– Chcę przypomnieć, że oskarżony odpowiada za zabójstwo. Chcę wiedzieć, czego dotyczyła kłótnia.

- Niczego, co mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie w tej sprawie.
- A może oskarżony pozwoli, że to sędziowie przysięgli o tym zadecydują?

Mitter nie odpowiedział. Po kilku sekundach Ferrati mówił dalej.

- Proszę o wpisanie do protokołu przesłuchania, że oskarżony odmówił odpowiedzi na pytanie, czego dotyczyła kłótnia w restauracji „Mefisto” w dniu 22 września. Po tym, jak Eva Ringmar wyszła z lokalu, oskarżony pozostał jeszcze przez jakiś czas na miejscu... Jak długo?

- Nie wiem... może dwie godziny.

- Mamy zeznanie świadka, który jest sąsiadem oskarżonego – w tym momencie prokurator znowu zaczął przeglądać swoje notatki – niejakiego pana Kurczaka; twierdzi on, że tej samej nocy obudził go głośny hałas dobiegający z waszego mieszkania, było około wpół do trzeciej. Czy to właśnie o tej godzinie oskarżony wrócił do domu?

- Całkiem możliwe.

- A skąd ten hałas?

- Nie pamiętam... byłem trochę pijany.

- Oskarżony nie pamięta?

- Nie.

- I nie wie, czego dotyczyła kłótnia?

- Nie.

- Ale oskarżony pamięta, dlaczego pokłóciliście się w restauracji?

- Tak.

- A więc oskarżony przyznaje, że pokłócił się z żoną po powrocie z restauracji?

- Tak.

- Czy oskarżony ją uderzył?

- Nie.
 - Na pewno nie, czy też może oskarżony nie pamięta?
 - Na pewno nie.
 - Sąsiad stwierdził, że dźwięk, jaki usłyszał, mógł być spowodowany uderzeniem.
 - Naprawdę?
 - Czy oskarżony groził swojej żonie?
 - Nie.
 - Na pewno?
 - Na pewno.
 - Kurczak twierdzi, że słyszał krzyki, cytuję: „Jak mi o tym nie powiesz, to nie odpowiadam za siebie!”. Czy to prawda?
 - Nie, to kłamstwo.
 - Kłamstwo? Po co sąsiad miałby kłamać?
 - Źle usłyszał. Nigdy jej nie groziłem...
 - A co innego oskarżony robił?
- W tym momencie zainterweniował Rüger.
- Wysoki sędzie, mój klient już zeznał, że nie pamięta. Nie ma powodu, żeby pan prokurator wymuszał na nim jakieś przypuszczenia.
 - To prawda! Proszę, żeby pan prokurator trzymał się ściśle tego, na co oskarżony może opowiedzieć.
 - Oczywiście, wysoki sędzie – odparł Ferrati. – Ale zawsze lepiej jest wiedzieć, co oskarżony pamięta, a czego nie pamięta. Czy oskarżony wie, że jego żona się bała?
 - Bzdura.
 - Kilka dni przed śmiercią zwierzała się koleżance w pracy, że boi się, iż coś się może zdarzyć.

– Nie sędzę. A czego mogłaby się bać?

– No właśnie, może to oskarżony odpowie nam na to pytanie.

– Nie mam pojęcia. Może po prostu lepiej spytać, z kim, do diabła, mogłaby o tym rozmawiać?

– Ta osoba też tego nie wie. To było jakieś przelotne spotkanie, ale mimo to odniosła wrażenie, że żona oskarżonego czegoś się boi.

– Bzdury.

– O tym, co jest bzdurą, a co nie, zadecydują sędziowie przysięgli. W przyszłym tygodniu będą zeznawać koledzy i koleżanki oskarżonego ze szkoły. A więc oskarżony nie potrafi nam wyjaśnić, czego jego żona się bała?

– Nie potrafię.

– A jak to było z poprzednią żoną oskarżonego, Irene Beck? Czy oskarżony ją bił?

– Co, do diabła...

Rüger był szybszy. Zerwał się z krzesła i zawołał:

– Prokurator snuje insynuacje!

– Proszę siadać! – krzyknął Havel. – Panie prokuratorze, o co panu chodzi?

– Irene Beck zeznała, że jej były mąż... to znaczy oskarżony... uderzył ją przynajmniej dwa razy.

– Doszło do tego w czasie, kiedy się rozwodziliśmy. Ja jej po prostu oddałem... Na Boga, ona chyba nie twierdzi...?

– A więc oskarżony potwierdza, czy nie potwierdza, że uderzył swoją byłą żonę?

Mitter nie odpowiedział. Rüger znowu wstał z krzesła.

– Wysoki sędzie, dlaczego sąd pozwala prokuratorowi, aby snuł insynuacje, które nie mają z tą sprawą nic wspólnego?

Havel poczerwieniał na twarzy.

– Panie mecenasie, proszę siadać! A pana prokuratora proszę, żeby nam wyjaśnił, do czego zmierza.

Ferrati znowu się uśmiechnął. Najwyraźniej zawsze, gdy zwracał się do sędziego Havla, na jego twarzy pojawiał się uśmiech.

– Chcę tylko wykazać, że oskarżony ma skłonność do stosowania przemocy.

Havel zastanawiał się przez chwilę.

– Proszę, by oskarżony odpowiedział na pytanie – zdecydował w końcu.

– Na jakie pytanie?

– Czy oskarżony bił swoją byłą żonę.

Mitter odczekał kilka sekund i dopiero wtedy odpowiedział.

– W ciągu dwunastu lat dwa razy uderzyłem ją w policzek. Jak widzę, robiłem to zbyt rzadko.

Jego odpowiedź wywołała reakcję zgromadzonej publiczności, ale wystarczyło spojrzenie sędziego Havla i ponownie zapanował spokój. W czasie krótkiej przerwy asystent Ferratiego szeptał mu coś do ucha. Ferrati skinął głową, a potem podszedł do podwyższenia sędziowskiego i zadał pytanie, którego Mitter nie zrozumiał. Havel przez chwilę się wahał, ale w końcu dał przyzwolenie skinieniem głowy. Ferrati zadał więc następne pytanie:

– Czy oskarżony kiedykolwiek używał przemocy wobec swoich uczniów?

– Protestuję! – zawołał Rüger, a na jego twarzy pojawił się wyraz oburzenia.

– Oddalam! – odparł Havel. – Niech oskarżony odpowie na pytanie!

– Nigdy! – zaprzeczył Mitter.

– Czy nie jest prawdą, że oskarżony otrzymał nagane za to, że w marcu 1983 roku użył przemocy wobec ucznia?

Ferrati wyglądał na zadowolonego z siebie. Mitter milczał.

– Czy oskarżony odpowie mi na to pytanie? A może... nie pamięta?

– Tak, otrzymałem nagane.

– A mimo to oskarżony twierdzi, że nigdy nie użył przemocy wobec uczniów?

– Otrzymałem tę nagane niesłusznie... Zostałem niesłusznie oskarżony, podobnie jak dzieje się to tutaj.

I znowu na sali rozległ się szmer. Tym razem był tak głośny, że sędzia Havel musiał użyć swojego młotka.

– Przywołuję zebranych do zachowania spokoju w czasie rozprawy, a oskarżony ma odpowiadać na pytania, które zadaje mu prokurator! I tylko tyle!

W tym momencie także Rüger uznał za stosowne, by wyrazić swoje niezadowolenie.

– Wysoki sędzie, to już chyba za dużo. Prokurator nadal zadaje mojemu klientowi nieistotne pytania, a jego cel jest oczywisty: zamierza oczernić mojego klienta, bo nie ma żadnego materiału dowodowego. Jeśli już musi kontynuować, to żądam, żeby zadawał takie pytania, które mają znaczenie dla sprawy!

Przez chwilę sędzia Havel sprawiał wrażenie, jakby chciał uderzyć Rügera młotkiem w głowę, ale w końcu zwrócił się do Ferratiego:

– Panie prokuratorze, proszę przejść do rzeczy!

– Bardzo chętnie.

Ferrati uśmiechnął się uprzejmie, ale tym razem w kierunku sędziów przysięgłych. Obie panie zasiadające obok sędziego Havla nie

omieszkały odwzajemnić jego uśmiechu.

- Czy oskarżony utopił swoją żonę?
- Nie.
- Skąd oskarżony to wie?
- Ponieważ... ponieważ nie zrobiłem tego.
- Oskarżony twierdzi, że nie zabił swojej żony, bo jej nie zabił?

Mitter odczekał dwie sekundy i dopiero wtedy odpowiedział. Jego słowa były wyważone, mówił spokojnym i opanowanym tonem:

– Nie, ja *wiem*, że jej nie zabiłem, bo jej po prostu nie zabiłem... podobnie jak pan z pewnością *wie*, że nie ma na sobie stringów, ponieważ nie ma ich pan na sobie... dzisiaj.

Tym razem reakcja publiczności przypominała prawdziwą eksplozję. Ferrati odwrócił się i usiadł na krześle, a sędzia Havel na próżno uderzał młotkiem w stół. Rüger potrząsnął głową, podczas gdy Mitter podniósł się i lekkim ukłonem podziękował za okazany mu aplauz.

Zupełnie niespodziewanie naszedł go świetny humor. Miał ochotę na papierosa. Natomiast jego następna wypowiedź zabrzmiała zaskakująco zarówno dla niego samego, jak i dla pozostałych osób.

– Przyznaję się do wszystkiego! – zawołał. – Niech mi tylko ktoś da jednego papierosa!

Kiedy sędzia Havel doszedł w końcu do głosu, oznajmił:

– Dwadzieścia minut przerwy! Proszę, by pan prokurator i pan mecenas natychmiast stawili się w moim gabinecie!

Potem jednym uderzeniem młotka zakończył tę część rozprawy.

– Przepraszam panów.

Van Veeteren wyprosił dwóch dziennikarzy i wcisnął się do budki telefonicznej, a potem zamknął drzwi, żeby nie słyszeć przekleństw i protestów dochodzących z zewnątrz. Co oni sobie w ogóle wyobrażają? Czyż przedstawiciel władzy nie ma pierwszeństwa przed prasą?

Czekając, aż ktoś się zgłosi w słuchawce, przyglądał się groteskowej twarzy spoglądającej na niego znad aparatu telefonicznego. Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że to jego własne odbicie w lustrze. Było jeszcze coś, co się nie zgadzało, i dopiero po kilku kolejnych sekundach dokładnie zrozumiał co.

Uśmiechał się.

Uniesione kąciki ust nadawały jego twarzy wyraz łagodnego szaleństwa.

Pomyślał sobie, że wygląda jak samiec goryla z dziwnym grymasem na twarzy, ale niewiele mu to pomogło. Uśmiech pozostał w tym samym miejscu, a on sam zaczął odczuwać w środku jakieś wibracje, jakby głucho mruczenie; domyślił się, że wszystko to razem wzięte świadczy o pewnym zadowoleniu. Ciepłym i wdzięcznym zadowoleniu.

Wcześniej chyba nie doświadczył takiego uczucia, może z wyjątkiem tamtego razu, gdy komendant policji przejechał kobietę

na przejściu dla pieszych. Widok Ferratiego w stringach należał do tych wyobrażeń, które chętnie zachowa w pamięci i będzie je przywoływał w odpowiednich chwilach przez resztę swojego życia. Będzie go studiował i odczuwał radość.

Już nie wspomni o niesamowitej radości, jaką sprawi mu wejście do gabinetu Ferratiego i zadanie mu pytania:

– Witam pana prokuratora! Jakiego koloru stringi ma pan na sobie dzisiaj?

Nie da się tego z niczym porównać. Przyglądając się swojej goryłowatej twarzy, uświadomił sobie nagle, że jego obecny stan przypomina stan szczęścia. Przynajmniej mierzonego jego własną miarą. Wprawdzie trwało ono tylko chwilę, ale jednak je poczuł.

Jednak teraz najważniejszy był dla niego Münster. Musiał odwołać partię badmintona zaplanowaną na dwunastą. Postanowił wymówić się bólem stopy...

– To przez tę przekłątą pogodę. Chyba się jeszcze nie ustabilizowała. Bardzo mi przykro, ale dzisiaj nie dam rady.

Münster zrozumiał. Nie ma sprawy. Zagra w takim razie kilka setów z aspirantem Neldem... Pan komisarz nie musi się tym przejmować.

Przejmować? – pomyślał Van Veeteren. A czym miałbym się przejmować? Za kogo on się uważa?

Zaraz jednak skierował swe myśli ku właściwej przyczynie.

A przyczyna była taka, że nie miał ochoty opuszczać sali sądowej, żeby zamienić ją na halę sportową. Na razie.

Mitter.

Ten przekłęty Mitter.

Znowu zaczął odczuwać jakieś wibracje w brzuchu, ale udało mu

się ich pozbyć. Ten proces... Tak naprawdę zjawił się rano w sali sądowej, żeby nie brać się do innej roboty. Pamiętał, że na jego biurku leży sprawa jakiegoś piromana. A przecież kogo jak kogo, ale piromanów nie znosił najbardziej.

Chciał posiedzieć na sali jakąś godzinę, żeby zobaczyć, jak poradzi sobie ten nauczyciel. Tylko chwilę, zanim przyjdzie pora na badminton i lunch.

A teraz utknął tu na dobre i nie potrafił się stąd wyrwać. Na razie. Na miejscu nie zatrzymała go wcale odpowiedź oskarżonego, który mówił o stringach, chociaż z czystej uprzejmości mógłby zostać kilka godzin tylko dlatego, że to on prowadził tę sprawę. Nie, chodziło mu o coś innego. Jeszcze przed wygłoszeniem mów i przed przerwą wiedział, że musi zostać i zobaczyć, jak wszystko potoczy się dalej... i to nie dlatego, że sądził, iż Mitter ma jakiejkolwiek szanse. Nie o to chodziło. Był bowiem pewien, że w ostatecznym rozrachunku Mitter zostanie skazany.

Czy jednak na pewno Mitter zamordował swoją żonę?

Czy ten na wpół nienormalny nauczyciel wcisnął głowę swojej żony pod wodę i tak długo ją tam trzymał, aż uszło z niej całe życie?

Dwie minuty? Nie, to za mało... trzy, trzy i pół...

Van Veeteren zaczął odczuwać pewne wątpliwości. A przecież tak bardzo tego nie lubił.

Czy Mitter był wtedy przy zdrowych zmysłach?

W chwili popełnienia zbrodni na pewno.

A teraz?

„...ponieważ nie ma ich pan na sobie... dzisiaj”.

„Przyznaję się do wszystkiego! Niech mi tylko ktoś da jednego papierosa!”.

W obecności obradującego sądu. To była wielka rzecz.

Jeśli jednak Mitter rzeczywiście nie zamordował żony, to kto to zrobił?

Przypomniał sobie, jak Reinhart powiedział mu kiedyś, że nie ma dwóch innych zawodów, które są do siebie bardziej podobne niż nauczyciel i aktor.

Jeśli tak, to zawód policjanta przypomina zapasy w błocie, pomyślał Van Veeteren. Wyszedł z budki i pomagając sobie łokciami, przebił się na swoje miejsce na sali.

– Niech nam oskarżony opowie jak najwięcej o tym, co pamięta z wydarzeń, jakie rozegrały się nocą z 4 na 5 października.

Sędzia Havel zaczął od ostrzeżenia obu stron. Mogą się spodziewać nowych przerw na konsultacje, jeśli podczas rozprawy nie zapanuje stosowna dyscyplina. Mimo to, zanim Mitter zdążył odpowiedzieć na postawione mu pytanie, w sali rozległ się kolejny pomruk.

– Od czego mam zacząć?

– Od tego, co się działo po opuszczeniu przez oskarżonego szkoły.

– Proszę bardzo. Zajęcia skończyłem o wpół do czwartej. Eva prowadziła lekcje przed południem, więc do domu nie wracaliśmy razem. Samochód miałem ja... Podjechałem pod sklep Keen`s i kupiłem trochę wina...

– Ile tego było?

– Ile? Jeden karton... dwanaście butelek.

– Dziękuję. Proszę mówić dalej.

– Do domu wróciłem około wpół do piątej. Eva coś gotowała... mieliśmy to zjeść wieczorem, na kolację. Kiedy wróciłem, zrobiła przerwę, nalaliśmy sobie po kieliszku wina, wzięliśmy po papierosie i wyszliśmy na balkon. Pogoda była dość ładna, więc spędziliśmy tam przynajmniej godzinę.

– O czym rozmawialiście?

– O niczym szczególnym... o szkole, o książkach...

- Nikt was nie odwiedził?
- Nie.
- Nikt nie dzwonił?
- Tylko Bendiksen.
- Kto to jest?
- Nasz dobry przyjaciel. Mieliśmy w niedzielę wyjechać na ryby.

Chciał mnie zapytać o jakiś szczegół...

- Jaki?
- Nie pamiętam dokładnie. Chyba chodziło o godzinę wyjazdu.
- Nikt inny nie dzwonił?
- Nie.
- Żadnych gości też nie było?
- Nie.
- O ile oskarżony dobrze pamięta?

Ferrati uśmiechnął się.

- Tak, o ile dobrze pamiętam.
- No dobrze. Siedzieliście więc na balkonie do godziny... wpół do szóstej?
- Mniej więcej.
- Ile wypiliście?
- Nie wiem. Może jedną butelkę...
- Na głowę?
- Nie, wspólnie.
- Nie więcej?
- Może faktycznie trochę więcej...
- A potem? Proszę mówić dalej.
- Wróciliśmy do kuchni i dokończyliśmy gotowanie... a potem wzięliśmy prysznic.

- Razem czy osobno?
- Razem.
- Proszę dalej!
- Oglądaliśmy trochę telewizję...
- Jakie programy?
- Wiadomości i film...
- Jaki film?
- Nie pamiętam. Jakiś francuski, z lat sześćdziesiątych chyba... ale potem wyłączyliśmy telewizor.
- A potem?
- ...poszliśmy do kuchni, żeby coś zjeść...
- Która była wtedy godzina?
- Nie wiem. Gdzieś tak koło wpół do dziewiątej...
- Skąd to przypuszczenie?
- Policja pokazała mi program telewizyjny z tamtego wieczoru. Film zaczął się o ósmej.
- Ale oskarżony sam sobie tego nie przypomniał?
- Nie.
- Dziękuję. Przyjmijmy, że tak właśnie było. Oskarżony siedzi więc ze swoją żoną przy stole, jest około dziewiątej. Co się stało potem?
- Nie wiem.
- Nie wiem?
- Nie... nie pamiętam niczego, co zdarzyło się później.
- W ciągu całego wieczoru?
- Tak.
- Ale przecież oskarżony zeznał przed policją, że odbył ze swoją żoną stosunek seksualny...
- Tak...

- Czy tak rzeczywiście było?
- Tak... ale to się zbiega z tą godziną.
- To znaczy?
- Stało się to w tym samym czasie, gdy jedliśmy kolację.
- Odbyliście stosunek podczas kolacji?

Ktoś na sali głośno westchnął. Ferrati odwrócił głowę.

- Tak, mniej więcej w tym samym czasie.

Na sali znowu rozległ się szmer. Słyszac to, sędzia Havel chwycił za młotek. Ale tym razem nawet nie musiał go podnosić. Widać było, że panuje nad sytuacją.

– Co oskarżony pamięta jeszcze z tamtego wieczoru? – spytał Ferrati.

- Przecież powiedziałem, że nic.

– Nic?

– Nic.

– Nawet tego, że oskarżony rozebrał się i poszedł do łóżka albo że żona oskarżonego poszła wziąć prysznic?

- Nic... Proszę przestać zadawać mi to samo pytanie na okrągło!

– Zwracam uwagę, że chodzi o oskarżenie o popełnienie zbrodni. Sądzę, że leży to również w interesie oskarżonego, abyśmy starali się być dokładni. Jeszcze jedna rzecz, zanim zacznę pytać o wydarzenia poranne... Ile wypiliście podczas całego wieczoru?

- Nie wiem. Może sześć albo siedem butelek... to znaczy razem.

– Wina?

– Tak.

– Ale przecież nie zdążylibyście wypić siedmiu butelek wina, jeśli w trakcie kolacji uprawialiście seks?

Na sali ktoś zachichotał, a Rüger zgłosił protest.

– Oddalam protest! – powiedział sędzia Havel. – Niech oskarżony odpowie na pytanie!

– Nie... nie sędzę.

– W takim razie możemy się chyba zgodzić, że nie położyliście się spać około dziewiątej?

– Chyba tak...

– Sądząc z tego, oskarżony musiał być mocno pijany, prawda?

– Tak...

– Nie słyszę! – przerwał mu Havel.

– Tak, byłem pijany!

– Czy w chwili, kiedy oskarżony dwa razy wymierzył swojej byłej żonie policzek, też był pijany?

– Dlaczego pan o to pyta?

– Czy oskarżony naprawdę się nie domyśla?

– Protestuję! – zawołał Rüger, ale to nic nie dało.

– Tak, wtedy też byłem pijany – przyznał Mitter. – Bycie pijanym nie jest chyba przestępstwem, mam nadzieję.

– Oczywiście, że nie – odparł uprzejmie Ferrati. – Czy Eva Ringmar też była pijana?

– Tak.

– Czy zazwyczaj wypijaliście takie ilości alkoholu? Ofiara miała we krwi ponad trzy promile.

– Zdarzało się.

– Czy żona oskarżonego nadużywała alkoholu?

– Protestuję! – zawołał Rüger.

– Proszę sformułować swoje pytanie inaczej! – zwrócił się do prokuratora Havel.

– Czy żona oskarżonego leczyła się na oddziale zamkniętym

z powodu nadużywania alkoholu? – spytał Ferrati.

– Tak. Przed sześciu laty... Przyjęto ją tam na jej własne żądanie. Stało się tak w związku z całym szeregiem tragicznych wydarzeń, sądzę, że...

– Dziękuję, to mi wystarczy. Wiemy o tym. Jakie oskarżony ma kolejne wspomnienie?

– Co?

– Co zdarzyło się po kolacji i po odbyciu stosunku?

– Obudziłem się.

– O której?

– Dwadzieścia po ósmej... rano.

– Proszę nam opowiedzieć, co oskarżony zrobił!

– Wstałem... i znalazłem Evę w łazience.

– A jak to było z drzwiami... to znaczy z drzwiami do łazienki?

– Były zamknięte na klucz. Otworzyłem je śrubokrętem.

– Czy to było trudne?

– Nie, wcale nie.

– Oskarżony bez problemu otworzył drzwi od zewnątrz. A czy oskarżony mógłby też zamknąć je od zewnątrz?

– Protestuję! Prokurator zmusza mojego kli...

– Oddalam! Niech oskarżony odpowie na to pytanie.

– Tak... chyba tak.

– To znaczy oskarżony mógłby utopić swoją żonę w wannie, a potem zamknąć drzwi od zewnątrz?

Rüger zdążył się podnieść, ale tylko do połowy, bo sędzia pogroził mu palcem.

– Niech oskarżony odpowie na pytanie prokuratora!

Mitter zwilżył sobie usta językiem.

– Oczywiście – odparł spokojnie. – Ale nie zrobiłem tego.

Przez kilka sekund Ferrati stał w milczeniu. Potem odwrócił się do Mittera plecami, jakby nie chciał już go widzieć na oczy. Kiedy ponownie zabrał głos, zniżył ton o pół oktawy i mówił wolno, jakby rozmawiał z dzieckiem.

– Oskarżony nic nie pamięta z tamtej nocy, a mimo to twierdzi, że nie zabił swojej żony. Oskarżony miał cały miesiąc, żeby to wszystko przemyśleć, więc od nauczyciela filozofii spodziewałbym się trochę więcej logiki. Dlaczego oskarżony przynajmniej nie przyzna się, że nie pamięta, czy zabił, czy nie zabił swojej żony?

– Takiej rzeczy na pewno bym nie zapomniał.

– Nie rozumiem.

– Nie zapomniałbym, gdybym utopił żonę. Nie przypominam sobie, żebym ją zabił... *ergo* nie zabiłem jej.

Rüger wytarł nos. Być może chciał w ten sposób odwrócić uwagę od ostatnich słów Mittera. Na próżno, ponieważ Ferrati powtórzył tę wypowiedź, choć trochę ją zniekształcił. Stał przed sędziami przysięgłymi na wyciągnięcie ręki, a potem powiedział z naciskiem:

– „Nie przypominam sobie” to znaczy, jestem niewinny! Proszę, żeby sędziowie przysięgli zapamiętali te słowa i dokładnie rozważyli je w swoich sercach... Co my tu mamy? Widzę, że znacie już państwo odpowiedź – jest niewarta funta kłaków. Tyle samo, co cała linia obrony oskarżonego! Funta kłaków!

Ponownie spojrzął na Mittera.

– Po raz ostatni pytam oskarżonego: Dlaczego oskarżony nie chce się przyznać, że zamordował swoją żonę, Evę Ringmar, w ten sposób, że utopił ją w wannie? Dlaczego oskarżony upiera się przy innej wersji?

– Chciałbym zauważyć, że przyznałem się do tego już przed przerwą. Kto w takim razie się upiera?

Jego odpowiedź spotkała się z pewnym uznaniem publiczności, więc Havel znów musiał sięgnąć po młotek. Ferrati wykorzystał ten moment, żeby skonsultować się ze swoim asystentem. Potem po raz ostatni wziął Mittera w krzyżowy ogień pytań.

– Niech nam oskarżony opowie, co robił, czekając na policję.

– Trochę... posprzątałem.

– A co się stało z ubraniami, które mieliście na sobie poprzedniego wieczoru?

– Uprałem je.

– Gdzie?

– W pralce.

Ferrati zdjął okulary i wsunął je do wewnętrznej kieszeni.

– Żona oskarżonego leżała martwa w wannie, a oskarżony, czekając na policję, skorzystał z okazji i uprał ubrania?

– Tak.

I znowu przerwa.

– A dlaczego? Po co?

– Nie wiem.

Ferrati wzruszył ramionami. Stał za swoim krzesłem i rozłożył ramiona.

– Wysoki sędzie, nie mam więcej pytań do oskarżonego.

Havel zerknął na zegarek.

– Pozostało nam pół godziny do przerwy na lunch. Ile czasu potrzebuje pan mecenas?

Rüger wstał z krzesła i stanął obok.

– Mnie tyle wystarczy. Mój klient zeznaje w stanie silnego stresu,

więc będę się streszczał. Panie Mitter, jak to było z drzwiami do pańskiego mieszkania? Czy tamtego wieczoru były zamknięte na klucz, czy nie?

– Nie były zamknięte na klucz. Nigdy ich nie zamykamy, kiedy jesteśmy w domu.

– Nawet nocą?

– Nie, nigdy.

– A jak to jest z bramą do budynku? Chodzi mi o drzwi prowadzące na ulicę?

– Powinny być zamknięte na klucz, ale od kiedy sięgam pamięcią, nigdy nie były zamknięte.

Rüger podszedł do Havla i wręczył mu jakiś dokument.

– Mam tu zaświadczenie od właściciela budynku. Wynika z niego, że tamtej nocy drzwi do budynku przy ulicy Kaniken 6 nie były zamknięte na klucz. Czy zdaniem oskarżonego nie oznacza to, że właściwie każdy mógł wejść do waszego mieszkania i zamordować Evę Ringmar?

– Tak, mogło tak być.

– Jeśli przyjmiemy, że oskarżony zasnął, powiedzmy około dziesiątej wieczorem, nie można wykluczyć, że żona oskarżonego mogła wyjść z mieszkania...

– To czyste spekulacje! – zawołał Ferrati, ale Havel rzucił mu groźne spojrzenie.

– ...mogła wyjść z mieszkania bez wiedzy oskarżonego?

– Raczej nie sądzę.

– Rozumiem... ale nie można tego wykluczyć?

– Nie...

– Jakich znajomych miała żona oskarżonego?

– Co pan ma na myśli?

– No... Pewnie знаła jeszcze jakichś innych mężczyzn oprócz oskarżonego, przecież byliście razem dopiero od pół roku. Sześć lat wcześniej rozwiodła się ze swoim byłym mężem, Andreasem Bergerem. Czy oskarżony wie coś na temat stosunków, jakie łączyły ją potem z innymi mężczyznami?

– Były żadne – odparł krótko Mitter.

Rüger wyglądał na zdumionego.

– Skąd to wiadomo?

– Opowiadała mi o wszystkim.

– Czy ja dobrze rozumiem: przez sześć lat Eva Ringmar nie utrzymywała kontaktów z żadnym mężczyzną?

– Tak, to prawda.

– Przecież była atrakcyjną kobietą. Jak to więc możliwe? Sześć lat!

– Nie miała innych mężczyzn. Czy to zrozumiałe? Sądziłem, że mój adwokat... wysoki sędzie, czy mam prawo do przerwania przesłuchania?

Sędzia Havel wyglądał przez chwilę na zmieszanego, ale zanim zdążył podjąć jakąś decyzję, odezwał się Rüger.

– Bardzo pana przepraszam, panie Mitter, chciałem tylko, żeby ta sprawa stała się jasna dla sądu. Proszę mi jednak pozwolić zadać sobie jeszcze kilka pytań. Żona oskarżonego, Eva Ringmar, była według zgodnej oceny piękną i atrakcyjną kobietą. Nawet jeśli ona sama nie chciała utrzymywać z mężczyznami żadnych znajomości, nie można wykluczyć, że nie brakowało mężczyzn, którzy interesowali się nią...

Mitter nie odpowiedział.

– Przynajmniej do czasu, zanim nie pojawił się oskarżony. A jak

wyglądały te sprawy w szkole?

Jednak Mitter nie miał ochoty odpowiadać na takie pytania i było to po nim wyraźnie widać. Odchylił się lekko i siedział z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

– O takie sprawy może pan, mecenasie, spytać kogoś innego... Ja nie mam już nic do dodania.

Rüger odczekał chwilę, a potem zadał kolejne pytanie.

– Czy wasza kłótnia w restauracji „Mefisto”, o czym wspominał prokurator, dotyczyła jakiegoś innego mężczyzny?

– Nie.

– Na pewno?

– Oczywiście.

I nagle wtrącił się Ferrati, który rzucił szybkie pytanie:

– Czy oskarżony jest zazdrosny?

– Proszę przerwać! – zawołał Havel. – Proszę wykreślić to pytanie! Nie ma pan prawa zadawać pytań w tej chwili, to przecież...

– Mogę odpowiedzieć na to pytanie – przerwał mu Mitter. – Nie, nie jestem bardziej zazdrosny niż inni ludzie. Nawet o Evę. Poza tym żadne z nas nie dawało ku temu okazji. Nie bardzo rozumiem, do czego pan mecenas zmierza...

Havel westchnął i spojrzał na zegarek.

– Zechce się pan streszczać, panie mecenasie, jeśli zamierza pan się jeszcze czegoś dowiedzieć.

Rüger skinął głową.

– Oczywiście. Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy oskarżony jest najzupełniej pewien, że żona go nie okłamywała?

Zanim Mitter odpowiedział, odczekał kilka chwil, co wyglądało dość nienaturalnie.

- Jestem absolutnie pewien.
- Rüger wzruszył ramionami.
- Dziękuję, nie mam więcej pytań.

Kłamie, pomyślał Van Veeteren. Facet kłamie w żywe oczy i tym samym zmierza prosto do więzienia.

A może... a może mówi jednak prawdę *in absurdum*?

Cholera wie. I dlaczego? Jeśli mu jej nie brakuje, dlaczego jej broni?

Przeciskając się przez tłum dziennikarzy, zdecydował, że sprawa piromana może poczekać jeszcze pół dnia.

Dlaczego właśnie matka?

Sam nie wiedział. Może z powodu położenia geograficznego. Pani Ringmar mieszkała w Leuven, jednym ze starych miast portowych położonych na wybrzeżu. Miasto leżało w odległości jednej godziny jazdy samochodem przez poldery, więc może po prostu odczuwał taką potrzebę. Mnóstwo nieba, niewiele ziemi.

Do miasta wjechał dokładnie w tej samej chwili, gdy zegar na wieży ratusza wybił trzecią. Zaparkował na rynku i spytał o adres.

W powietrzu czuło się zapach morza.

Morza, wiatru i soli. Gdyby chciał, mógłby sobie przypomnieć własne dzieciństwo, ale na razie miał co innego na głowie.

Dom był niewielki, pomalowany na biało. Wciśnięty między chatki, szopy, płoty i stojaki na sieci. Zastanawiał się, czy w takim otoczeniu istnieje w ogóle coś takiego jak poczucie prywatności. Ludzie mieszkali w kuchni u sąsiadów, a do każdej sypialni zaglądały ciekawskie oczy.

Im wyżej jest niebo, tym niżej ludzie, pomyślał i nacisnął dzwonek. Dlaczego ludzie mieszkają wszędzie?

Kobieta, która otworzyła mu drzwi, była niska i szczupła. Miała krótkie, proste i zupełnie siwe włosy, a z powodu wyrazu, jaki malował się na jej twarzy, sprawiała wrażenie osoby skrytej. Van

Veeteren znał ten wyraz twarzy, tak bardzo typowy dla wielu innych starych ludzi. Może sprawiała to sztuczna szczęka... jakby wgryźli się w coś przed trzydziestu laty i z uporem nadal trzymali to mocno w zębach.

A może twarz tej kobiety wyrażała jeszcze coś innego?

– Słucham?

– Pani Ringmar?

– Tak.

– Nazywam się Van Veeteren. To ja do pani dzwoniłem.

– Proszę wejść.

Otworzyła drzwi, ale tylko na tyle, żeby mógł wejść do środka. Wprowadziła go do ładnego pokoju i wskazała kanapę stojącą w rogu. Van Veeteren na niej usiadł.

– Wstawiłam wodę. Napije się pan kawy?

Van Veeteren skinął głową.

– Chętnie. Jeśli nie sprawi to pani kłopotu.

Kiedy kobieta wyszła, Van Veeteren rozejrzał się po pokoju. Był elegancko urządzone. Od podłogi aż po sam sufit, z pewną dozą tego, co jest ponadczasowe. Wystrój mu się spodobał. Oprócz telewizora nie było tu nic, co by pochodziło z późniejszego okresu niż lata pięćdziesiąte. Kanapa, stół i fotele z drewna tekowego, kredens, niewielki regał na książki, rozrośnięte kwiaty w oknach... prawdopodobnie po to, żeby nie można było zajrzeć do pokoju od zewnątrz. Do tego kilka obrazów z morskimi motywami i... zdjęcia rodzinne. Chłopca i dziewczynki. Mieli chyba po tyle samo lat, dziewczynką musiała być Eva...

Pani Ringmar wróciła z kawą na tacy.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało – powiedział Van

Veeteren.

Skinęła głową i jeszcze bardziej zacisnęła zęby. Zaczęła mu trochę przypominać karłowatą sosnę.

– Policja już tutaj była.

– Wiem. Mój kolega, Münster. Nie chciałbym sprawiać pani kłopotu, ale mam kilka pytań, które chciałbym pani zadać. To tylko pytania uzupełniające.

– Proszę pytać. Już się przyzwyczaiłam.

Nalała kawy do kubków i przesunęła w stronę Van Veete-rena talerzyk z ciastem.

– O co chciałby pan spytać?

– Na przykład o... przeszłość, jeśli mogę się tak wyrazić.

– A dlaczego o to?

– Nigdy nie wiadomo.

Z jakiegoś powodu odpowiedź ta zadowoliła ją. Van Veete-ren nie musiał jej nawet zachęcać, sama zaczęła mówić.

– Mieszkam tu sama, rozumie pan... Czy jest pan komisarzem policji?

Van Veeteren skinął głową.

– Nie wiem, czy pan to zrozumie, ale tak jakbym to przeczuła. Jakbym wiedziała, że na końcu zostanę sama...

– A pani mąż?

– Umarł w 1969... i tak chyba było najlepiej. W ostatnich latach swojego życia... nie był sobą. Pił, ale zabił go rak.

Van Veeteren wsunął do ust kawałek ciasta.

– Dzieci nie tęskniły za nim, ale nie było w nim nic złego. Po prostu nie radził sobie z życiem. Tak to już jest z niektórymi ludźmi, prawda, panie komisarzu?

– Ile lat miały wtedy pani dzieci? To znaczy Eva i pani syn, jeśli dobrze zrozumiałem?

– Piętnaście lat. Byli bliźniętami.

Z kieszeni fartucha wyjęła chusteczkę do nosa i wytarła nos.

– Rolf i Eva... Tak, to prawdziwe szczęście, że siebie mieli.

– A dlaczego?

Przez chwilę zawahała się.

– Walter miał dość staroświeckie poglądy na wychowanie dzieci.

– Rozumiem. Bił je?

Skinęła głową. Van Veeteren wyjrzał przez okno. Nie musiał zadawać więcej pytań. Wiedział, co to znaczy. Wystarczyło, że sobie przypomniał, jak wychowywano jego. Zamykano go na strychu, ciężkie kroki na schodach, suchy kaszel.

– Jak potoczyło się życie pani syna, Rolfa?

– Wyjechał z kraju. Zaciągnął się na statek, kiedy miał zaledwie dziewiętnaście lat. Musiała w tym być jakaś dziewczyna, ale nigdy o tym nie mówił. Był zamknięty w sobie... trochę jak jego ojciec. Mam nadzieję, że wyrósł z tego.

W jej głosie pojawiło się coś, co świadczyło o... no właśnie, o czym? Że już się poddała, ale mimo to postanowiła żyć dalej?

– Czy pani chodzi do kościoła?

– Nigdy. Dlaczego pan o to pyta?

– Bez powodu. A co się stało z Rolfem?

– Zamieszkał w Kanadzie. Nie widziałam go od tamtego wieczoru, gdy wyjechał.

Widać było wyraźnie, że chociaż już dawno oswoiła się z tą myślą, trudno jej przyszło wypowiedzieć te słowa.

– Często pisał?

– Dwa razy. Jeden list przyszedł w 1973 roku, to właśnie wtedy wyjechał. Drugi dwa lata później. Sądzę, że...

– Tak?

– Chyba się wstydził. Być może pisywał do Evy, tak w każdym razie twierdziła, ale nigdy nie pokazała mi ani jednego listu. A może po prostu je wymyśliła, żeby sprawić mi przyjemność?

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Van Veeteren popijał kawę, a pani Ringmar zjadła kawałek ciasta.

– Kiedy pani córka wyprowadziła się z domu?

– Pół roku po Rolfie. Zdała maturę i dostała się na uniwersytet w Karpatz. Miała głowę na karku, nie wiem, skąd się to w niej brało. Studiowała języki obce, potem była adiunktem języka francuskiego i angielskiego, no, ale o tym już pan wie...

Van Veeteren skinął głową.

– Potem wyszła za mąż za tego Bergera. Mimo wszystko wydaje mi się, że jednak mogło im się razem dobrze ułożyć. Po kilku latach urodził im się syn... Willie... Przeżyli kilka szczęśliwych lat, tak mi się wydaje, i nagle zdarzył się tamten wypadek... chłopiec utonął. Jesteśmy... jesteśmy rodziną naznaczoną nieszczęściem, panie komisarzu, wiedziałam o tym przez całe życie. Tak to jest z niektórymi ludźmi... Po prostu nie da się inaczej... Czy panu też tak się wydaje?

Van Veeteren dopił resztę kawy i przez chwilę pomyślał o swoim synu.

– Chyba tak, pani Ringmar. Myślę, że jest dokładnie tak, jak pani mówi.

Pani Ringmar uśmiechnęła się przez chwilę. Van Veeteren domyślił się, że należy ona do tej grupy osób, które w nieszczęściu

znajdują pewnego rodzaju mroczne zadowolenie.

Pewnego rodzaju: A nie mówiłam, Panie Boże? Wiedziałam, że od samego początku mnie oszukiwałeś!

– Rozumiem, że po tym wypadku wzięli rozwód...?

– Tak, Evie działało to na nerwy... a Andreas nie był w stanie udźwignąć tego wszystkiego sam.

– Co pani ma na myśli?

– Strata dziecka i zachowanie Ewy, która zaczęła pić... Przez pół roku siedziała w domu, czy pan o tym wiedział?

Van Veeteren skinął głową.

– Tak, tak to właśnie było.

Kobieta westchnęła głośno, ale nadal nie było to westchnienie pełne rozpacz. Była to tylko rezygnacja, stoicki spokój w obliczu życiowych przeciwności. Van Veeteren zaczął nagle odczuwać coś w rodzaju ciepłej sympatii dla tej drobnej, udęconej kobiety. Nie miał w zwyczaju nikogo żałować i nawet się nie spodziewał, że coś takiego go najdzie. Przez chwilę siedział w milczeniu, a potem spytał:

– Ale w końcu pani córka znowu stanęła na nogi?

– Tak. Tak to można chyba określić. Uważam, że jej mąż powinien był jej choć trochę pomóc, ale jakoś sobie poradziła, oczywiście, że tak.

– Czy utrzymywała pani stały kontakt z córką?

– Nie, nigdy nie byliśmy sobie bliskie... i nie wiem dlaczego, ona miała po prostu swoje życie. Nie zwracała się do mnie o pomoc, nawet wtedy... wydaje mi się, że...

Umilkła. Przełknęła kawałek ciasta i sprawiała wrażenie, jakby chciała wrócić do wspomnień.

– Co się pani wydaje?

– Wydaje mi się, że ona myślała, że ją zawiodłam... i Rolfa też.

– Ale jak?

– Że mogłam ich bronić przed Walterem.

– A nie robiła pani tego?

– Próbowałam, oczywiście, ale chyba niewystarczająco. Nie wiem, panie komisarzu... trudno coś takiego wyczuć.

Nastąpiła chwila przerwy w rozmowie. Van Veeteren zgarnął ostrożnie kilka okruszków na podłogę. Musiał jeszcze zadać tylko dwa pytania, z powodu których tutaj przyjechał.

– A może się pani orientuje, czy Eva spotykała się z jakimś mężczyzną? To znaczy zanim poznała Mittera?

Pani Ringmar potrząsnęła głową.

– Nie wiem... ale raczej nie. W każdym razie nigdy mi nic nie mówiła... chyba nie miała takiego zwyczaju. Przez kilka lat mieszkała w Gimsen, pracowała w katolickiej uczelni dla dziewcząt. Dzwoniłam do niej raz na tydzień, ale nigdy się nie spotykałyśmy.

– Dlaczego przeprowadziła się do Maardam?

– Nie wiem. Może z powodu pracy, chyba nie czuła się zbyt dobrze w pracy z dziewczynkami. Wydaje mi się, że przypominało to trochę życie klasztorne.

– Rozumiem. A co może pani powiedzieć o Janku Mitterze?

– Nic. Nigdy go nie widziałam... Eva przysłała mi kartkę z Grecji z informacją, że wyszła za mąż.

– Zdziwiło to panią?

– Chyba... chyba tak. Choć z drugiej strony ucieszyłam się... Niestety, stało się to, co się stało.

I znowu wzruszyła ramionami.

Van Veeteren pomyślał sobie, że kobieta zachowuje się tak, jakby

nic jej nie obchodziło. Może to wcale nie takie głupie?

– To znaczy, że nic pani nie wie o tym, co ich łączyło? Eva nic pani nie opowiadała?

– Nie. Od czasu, jak wróciła z Grecji, rozmawialiśmy przez telefon tylko ze dwa razy. Zresztą... kiedyś telefon odebrał Mitter... miał miły głos, tak myślę.

Kiedy doszedł do rynku, znowu się rozpadało. Dwaj sprzedawcy stojący przy stoiskach zakrywali właśnie towar plastikowymi plandekami: warzywa, ryby, jakieś słoiki, chyba z konfiturami domowej roboty. Skinęli mu głowami i dalej robili swoje.

Podniósł kołnierz płaszcza i wsunął ręce do kieszeni. Przez chwilę stał przy samochodzie i zastanawiał się. Deszcz nie był rześisty, właściwie nie padał, tylko rozsiewał w powietrzu wilgotną zasłonę poruszaną przez wiatr. Zawisała jak czujna dłoń nad niskimi dachami domów, nad delikatnymi, bielonymi szeregowcami, nad kopułą kościoła... Tylko ona miała odwagę, aby wznieść się w górę i rzucić wyzwanie potężnym niebiosom.

Spotkanie z panią Ringmar nie przebiegało tak, jak Van Veeteren sobie zaplanował, choć trudno było powiedzieć, czego się spodziewał. A jednak miał nadzieję, że...

Schował kluczyki do kieszeni, zerknął na zegarek i skierował się w stronę morza. Wszedł na molo, zatrzymał się na samym końcu i przyglądał się wzburzonym falom, które odbijały się od betonowego fundamentu. Powietrze wypełniała wilgoć, sól i krzyki mew. I nagle poczuł, że jest mu zimno.

Pomyślał, że przez ten cały czas coś trzyma go w miejscu.

Wsunął ręce głębiej do kieszeni i skierował się z powrotem

w stronę brzegu.

Kiedy poprosił o papier, dali mu całą ryzę.

Na samej górze jej nazwisko, a potem tylko jedna linijka tekstu. Nic więcej. Jedna linijka. Popatrzył na nią.

Dlaczego za nią nie tęsknię?

Było to dziwne sformułowanie. Podkreślił słowo „dlaczego”.
Dlaczego za nią nie tęsknię?

Podkreślił także słowo „nie”.

Dlaczego za nią nie tęsknię?

Brzmi jeszcze dziwniej. Im dłużej zastanawiał się nad tym pytaniem, tym silniejsza stawała się jego treść; nie odwrotnie, choć tak właśnie powinno być. Uśmiechnął się, skoncentrował i przez sekundę nie odrywał wzroku od tekstu. I nagle, gdzieś w podświadomości, odpowiedź zaczęła nabierać konkretnych kształtów.

Nie tęsknię za nią w podobny sposób, jak nie tęsknię za minionym czasem.

Kiedy mnie uniewinnią albo dostanę przepustkę, pójdę na jej grób i siądę przy nim. Będę tam siedział z winem i papierosami.

Wina, kara, łaska. Wina, kara, łaska. Jakie to ma znaczenie, jeśli zostało się ukaranym za coś innego?

Skażcie mnie! Wymierzcie mi surową karę, ale niech to się już skończy!

Rzucił ołówek na pryczę i skulił się na niej; leżał z podciągniętymi kolanami i złożonymi rękami, jak małe dziecko. Zamknął oczy i nagle pojawiły się te obrazy...

Czwartek, 29 czerwca.

– Czy wiesz, co mi się dzisiaj przydarzyło? Ktoś mi się oświadczył. Słyszając te słowa, zamarł w bezruchu.

– Tak, kiedy czekałam na autobus, podszedł do mnie jakiś nieznajomy i oznajmił, że chce się ze mną ożenić. Niektórzy potrafią korzystać z okazji.

– I co mu odpowiedziałaś?

– Że sobie to przemyślę.

Ona też się uśmiechnęła.

– Pobierzmy się, Evo.

I tak to wyglądało.

Przycisnął czoło do ściany. Było to piękne uczucie. W każdej chwili może postanowić, że jest normalny, był to tylko akt woli, nic innego... Będzie mógł wybrać najwygodniejszy, najprostszy tok myślowy, a potem uczepli się go jak pijany płotu.

Dlaczego za nią nie tęskni?

Tak samo jak nie tęskni się za tym, czego nie można wytrzymać.

Tak jak młody tygrys nie tęskni za tym, aby zginąć.

Ten człowiek.

Który istniał. Który nie istniał.

Który dzwonił, a kiedy on podnosił słuchawkę, przerywało połączenie. Za każdym razem.

Z którym rozmawiała, kiedy jego nie było w domu.

Który nie istniał, a jednak z jego powodu nachodziły ją nocne koszmary.

Który doprowadził ją do takiego stanu, że pewnego dnia powiedziała:

– Janku, jeśli niedługo umrę, wybacz mi! Wybacz mi, wybacz.

A przecież za każdym razem zaprzeczała jego istnieniu.

– Nie ma żadnego mężczyzny. Nie ma! Jesteśmy tylko my, ty i ja.

Uwierz mi, proszę, uwierz!

Odegrała to tak teatralnie, że zrozumiał, iż mówi prawdę. Bo przecież krew, ból i śmierć są prawdą, nie kłamstwem. A kiedy oplatała go swoimi udami, jej słowa nie mogły nie być prawdziwe. Nie istniały pytania. Musiała być siła, a nie słabość. Wina, kara i łaska nie zajmowały w tym żadnego miejsca, nie miały w tym wszystkim nazwy.

Zapomnij mnie! Zapomnijmy o sobie, kiedy nas już nie będzie! Czy potrafilibyśmy kiedykolwiek kochać, gdyby nie istniała śmierć!

O co chodziło w waszej kłótni?

O czym rozmawialiście wtedy na balkonie?

Uderzył głową o ścianę. Roześmiał się głośno i rozplakał.

– Proszę podać imię i nazwisko.

– Gudrun Elisabeth Traut.

– Zawód?

– Adiunkt języka niemieckiego i angielskiego w gimnazjum Bunge.

– Jest pani zatrudniona w tej samej szkole co Janek Mitter i Eva Ringmar?

– Tak. Jestem koleżanką z pracy Janka i byłam koleżanką Ewy.

– Oczywiście. Czy jest pani... czy była pani bliżej zaprzyjaźniona z którymś z nich?

– Nie, tego bym nie powiedziała. Pracuję w tej szkole prawie tak samo długo jak Mitter, ale uczymy różnych przedmiotów. Nigdy nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów.

– A Eva Ringmar?

– Zaczęła u nas pracować przed dwoma laty, kiedy pan Monsen poszedł na emeryturę. Obie uczyłyśmy języków obcych.

– Czy byłyście bliskimi przyjaciółkami?

– Nie, absolutnie. Brałyśmy udział w tych samych spotkaniach, na których układałyśmy grafik zajęć, czasami zdawałyśmy te same egzaminy, szłyśmy na zastępstwo, jeśli któraś z nas zachorowała... Tak to właśnie wyglądało.

– Ale nigdy nie spotykałyście się po lekcjach?

– Z Ewą?

– Tak.

– Nie, nigdy.

– Czy wie pani, czy Eva spotykała się z jakimś innym nauczycielem w waszej szkole... w celach pozasłużbowych, jeśli mogę tak się wyrazić?

– Nie, nie sędzę... oczywiście z wyjątkiem Mittera.

– Oczywiście. Panno Traut, chciałbym prosić, żeby opowiedziała nam pani o zdarzeniu, o którym wspomniała już pani na policji; miało ono miejsce w poniedziałek 30 września, to znaczy pięć dni przed zamordowaniem Ewy Ringmar.

– Ma pan na myśli epizod w pokoju nauczycielskim?

– Tak.

– Proszę bardzo... Stało się to po ostatniej lekcji tamtego dnia. Miałam sprawdzian z niemieckiego w drugiej klasie, który trochę nam się przeciągnął. Było już gdzieś piętnaście po czwartej, wtedy właśnie przyszedłam do pracowni językowej... tam mamy nasze biurka. Byłam przekonana, że oprócz mnie już nikogo nie ma, ale ku memu zdumieniu zobaczyłam Evę, która siedziała przy swoim biurku. Rzadko się zdarza, żeby któreś z nas zostawało po lekcjach w szkole. Po sześciu, siedmiu godzinach zajęć jesteśmy już tak wyczerpani, że nie jesteśmy w stanie zajmować się potem jeszcze czymś dodatkowym, wolimy raczej zabrać wszystko do domu i popracować wieczorem albo nocą. Tak to właśnie wygląda...

– Rozumiem. Ale tamtego dnia Eva Ringmar została po lekcjach?

– Tak, ale nie była zajęta pracą, siedziała tylko z głową opartą o dłoń i wyglądała przez okno.

– Odezwała się pani do niej?

– Tak, spytałam, czy nie zamierza iść do domu.

– Co odpowiedziała?

– Najpierw lekko drgnęła, jakby nie zauważyła, że weszłam do pokoju. A potem powiedziała... nie patrząc na mnie... bo wciąż patrzyła przez okno... powiedziała, że się boi.

– Że się boi?

– Tak.

– Czy pamięta pani, jak dokładnie brzmiały jej słowa?

– Oczywiście. Powiedziała: „Ach, to tylko pani. To dobrze. Tak bardzo się dzisiaj boję”.

– Jest pani pewna, że użyła tych właśnie słów?

– Tak.

– Czy pani jej coś odpowiedziała?

– Tak, spytałam ją, czy boi się jechać do domu.

– I co ona na to?

– Nic. Powiedziała tylko: „To nic takiego”. Potem wzięła torebkę i wyszła.

– Panno Traut, co pani sobie pomyślała, słysząc takie słowa? Jakie było pani pierwsze wrażenie?

– Nie wiem... może takie, że jest bardziej zrezygnowana niż przestraszona.

– Czy odniosła pani wtedy wrażenie, że Eva Ringmar na kogoś czeka, na kogoś innego niż na panią? Słowa, których użyła, mogą na to wskazywać.

– Tak, chyba ma pan rację.

– Czy zrozumiała pani to tak, że Eva Ringmar ucieszyła się, że to właśnie pani tam przyszła, a nie ktoś inny?

– Tak, dokładnie.

– A kto to mógłby być?

– A czy mogłaby to być więcej niż jedna osoba?

– Ma pani na myśli oskarżonego?

– Tak.

Dopiero w tym momencie Rüger zgłosił swój protest.

– Składałam wniosek, żeby ostatnie pięć pytań i odpowiedzi wykreślić z protokołu! Prokurator przez cały czas sugeruje świadkowi odpowiedzi i każe mu zgadywać! To dywagowanie na tematy, o których świadek nie ma bladego pojęcia.

– Oddalam protest! – powiedział Havel. – Jednak sędziowie przysięgli powinni pamiętać, że świadek wyciągnął wnioski na podstawie niepełnych danych. Czy pan prokurator ma jeszcze jakieś pytania do świadka?

– Jeszcze dwa, wysoki sędzie. Czy słyszała pani kiedykolwiek o tym, aby Eva Ringmar utrzymywała z jakimś innym nauczycielem z waszej szkoły kontakty pozazawodowe? Nie myślę tu o Janku Mitterze.

– Nie.

– A czy w ciągu tych dwóch lat, które Eva Ringmar przepracowała w waszej szkole, słyszała pani o tym, aby utrzymywała kontakty z jakimkolwiek innym mężczyzną?

– Nie.

– Dziękuję, panno Traut. Wysoki sędzie, nie mam więcej pytań.

Rüger nie pofatygował się nawet, żeby wstać ze swojego miejsca.

– Panno Traut, czy wie pani cokolwiek na temat prywatnego życia Ewy Ringmar?

– Nie, nie było...

– Dziękuję. A czy wie pani cokolwiek na temat stosunków

łączących ją z Mitterem?

– Nie.

– A jeśli w życiu Evy Ringmar pojawili się jacyś inni mężczyźni, to czy istnieje jakiś powód, dla którego mogłaby pani o tym wiedzieć?

– ...nie.

– Dziękuję, nie mam więcej pytań.

– Proszę nam podać imię i nazwisko.

– Beate Kristine Lingen. Pracuję w dziale kosmetycznym w Instytucie Métre w miejscowości Krowitz, ale mieszkam tutaj, w Maardam.

– Co łączyło panią z Evą Ringmar?

– Byłam jej przyjaciółką, jeśli mogę tak powiedzieć, chociaż nie spotykałyśmy się zbyt często.

– Jak ją pani poznała?

– W gimnazjum chodziłyśmy do tej samej klasy, w Mühlboden. Razem zdawałyśmy maturę. Potem przez jakiś czas utrzymywałyśmy kontakty.

– A później?

– Potem straciłyśmy ze sobą kontakt. Przeprowadziłyśmy się do różnych miast... wyszłyśmy za mąż i tak dalej...

– Czy pani jest teraz mężatką?

– Nie, pięć lat temu się rozwiodłam.

– Rozumiem. Kiedy ponownie spotkała pani Evę Ringmar?

– Kiedy się tu niedawno przeprowadziła. Mniej więcej dwa lata temu. Wpadłyśmy na siebie na ulicy i postanowiłyśmy się spotkać... Nie widziałyśmy się od piętnastu lat. No i kilka razy się spotkałyśmy, chociaż niezbyt często.

– To znaczy?

– Spotykałyśmy się... raz na miesiąc, a może... nie, nie aż tak często. Właściwie przez te dwa lata spotkałyśmy się jakieś dziesięć, dwanaście razy.

– Co wtedy robiłyście?

– W czasie spotkań? A to różnie bywało... Czasami po prostu siedziałyśmy u mnie albo u niej w domu. Czasami wychodziłyśmy do kina albo do restauracji.

– Potańczyć?

– Nie, nigdy.

– Czy łączyły was pufne stosunki?

– Można tak chyba powiedzieć... choć nie do końca.

– Czy Eva Ringmar miała jakieś inne przyjaciółki lub przyjaciółkę, której mogła się zwierzać?

– Nie, jestem tego całkowicie pewna. Lubiła samotność.

– Dlaczego?

– Sądzę, że wiązało się to z jej przeżyciami... Mam na myśli wypadek jej syna... Chyba pan o tym słyszał?

– Tak. Uważa pani, że postanowiła prowadzić aż tak odizolowane życie?

– Może nie odizolowane, ale nie odczuwała aż tak silnej potrzeby, żeby spotykać się z innymi ludźmi. Czasami nawet mówiła coś w tym stylu...

– A jej kontakty z mężczyznami?

– Przed Mitterem chyba z nikim się nie spotykała.

– Tak pani uważa?

– Jestem tego całkiem pewna.

– Nigdy nie mówiła o żadnym mężczyźnie?

- Nie.
- Ale pani o nich mówiła?
- Czasami... Jest tyle bardziej ciekawych tematów.
- Naprawdę? No tak... A czy w czasie wszystkich tych dziesięciu, dwunastu spotkań... czy zauważyła pani cokolwiek, co wskazywałoby na to, że Eva Ringmar spotyka się z jakimś mężczyzną?
- Nie.
- A czy sądzi pani, że gdyby tak było, potrafiłaby się pani domyślić albo coś zauważyć?
- Tak. Myślę też, że powiedziałyby mi o tym.
- Naprawdę?
- Tak, przecież powiedziała mi o Mitterze.
- A kiedy?
- W maju... Około 10 maja, jeśli dobrze pamiętam. Zadzwoiłam do niej, żeby spytać, czy nie wybrałaby się ze mną do kina, ale stwierdziła, że nie ma czasu. Dodała, że kogoś poznała.
- Czy wspomniała, o kogo chodzi?
- Oczywiście.
- Czy potem jeszcze pani z nią rozmawiała? A może spotkałyście się kiedyś później?
- Tak, zadzwoniła do mnie w połowie września. Powiedziała, że wyszła za mąż, i spytała, czy mogłybyśmy się spotkać.
- A co pani na to?
- Miałam właśnie wyjechać na dwutygodniowy kurs do Linzu, ale obiecałam, że po powrocie zadzwonię.
- Ale wtedy było już za późno?
- Tak.
- A wtedy, we wrześniu, czy nie wyczuła pani czegoś w jej głosie?

– Na przykład?

– Czy usłyszała pani coś niezwykłego? Była radosna... może niespokojna lub coś w tym stylu?

– Nie... nic takiego nie wyczułam.

– Czy zdziwiło panią, że wyszła za mąż?

– Tak, chyba tak...

Nastąpiła krótka przerwa. Ferrati przeglądał swoje papiery, a mucha plujka obudziła się po czterodniowej drzemce. Pofrunęła z brzękiem nad widownię, a gdy nie znalazła tam nic godnego uwagi, wróciła pod sufit. Sędzia Havel śledził ją przez chwilę wzrokiem, a jednocześnie wycierał sobie kark kolorową chusteczką.

– Panno Lingen, czy w ciągu tych dwóch lat, kiedy spotykała się pani z Evą Ringmar, odniosła pani kiedykolwiek wrażenie, że spotyka się z jakimkolwiek innym mężczyzną poza Mitterem?

– Nie.

– A czy miała jakichś wrogów?

– Wrogów? Nie, skąd mogłaby mieć wrogów?

– Dziękuję pani. Nie mam więcej pytań.

Także i tym razem Rüger zadawał pytania, siedząc na krześle.

– Panno Lingen, czy mówi pani cokolwiek nazwisko Eduard Caen?

– Nie.

– Nic?

– Nie, nic.

– Jest pani pewna?

– Tak.

Rüger wstał z krzesła, wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał ją Havłowi.

– Wysoki sędzie, chciałbym przekazać sądowi wykaz dat, kiedy

Eva Ringmar spotykała się z niejakim Eduardem Caenem w okresie od 15 października 1990 do 20 lutego 1992 roku, w sumie było to czternaście spotkań. Poszczególne daty ułożone są w porządku chronologicznym, a pan Caen je potwierdził. Nie mam do świadka żadnych innych pytań.

Obudził się dwadzieścia po piątej.

Przez chwilę leżał i próbował ponownie zasnąć, ale nie udało mu się. Nachodziły go stare obrazy i wspomnienia, więc pół godziny później wstał z łóżka. Na piżamę założył sweter i spodnie i poszedł do kuchni. Wyjrzał przez okno i zobaczył, że kiosk na rynku jest jeszcze zamknięty, więc siadł przy stole i czekał.

Kiedy żaluzje poszły w górę, on tam już stał. Nic nie ryzykował: kioskarka go znała, ale tak wcześnie przychodził do kiosku pierwszy raz.

Kupił „Neuwe Blatt”, a potem długimi szusami wbiegł po schodach. Zamknął drzwi na klucz, rozłożył gazetę i zaczął czegoś szukać.

Tekst zajmował całą stronę, ale przeczytał go dwa razy. Potem złożył gazetę, oparł głowę na dłoniach i zaczął się zastanawiać.

Utrata pamięci?

Przez wszystkie minione tygodnie tylko ta ewentualność nigdy nie przyszła mu do głowy.

Utrata pamięci?

Po chwili doszedł do wniosku, że to jedyna ewentualność.

Jedyna i prawdziwa. Mitter zapomniał o nim. Był tak bardzo pijany, że nic nie pamięta. Zaczęły mu nagle drgać kąciki ust. Chciało

mu się spać, przecież obudził się tak wcześnie... Ale faktycznie, to był jakiś znak. Kolejny dowód na to, że obrał właściwą drogę. Był już wolny i silny... musi tylko patrzeć przed siebie. Nie musi się niczego bać. Musi być lwem.

Poczuł jakiś skurcz w brzuchu.

Strach?

Czy Mitter może sobie przypomnieć?

Nagle dostał czkawki.

Połknął dwie tabletki na ból brzucha. Popił napojem i wrócił do łóżka.

Myśl ta tkwiła w jego umyśle od dawna. Nie musiał badać jej zbyt szczegółowo. Nadal nie było to konieczne. Nie musi się spieszyć... może sobie pozwolić na czekanie, żeby zobaczyć, jak sytuacja rozwinie się dalej. Poczuł znowu jakieś swędzenie, ale zapanował nad nim. Wprawdzie nadal czuł siłę i chęć do działania, ale było jeszcze zbyt wcześnie. Ciągle jeszcze mógł się skierować ku czemuś innemu. Znowu swędzenie.

Liz. Wsunął dłoń pod kołdrę. To dopiero przed nim. To, co stare i chore, już minęło. W środę przyjdzie Liz. Jego kobieta.

Zamierza go uwieść, poznawał to po jej oczach... a on jej pozwoli, żeby go złapała. Aż do ostatniej chwili będzie jej pozwalał, żeby go przy sobie trzymała. Potem to on przejmie inicjatywę i wejdzie w nią, aż zacznie krzyczeć z rozkoszy. Wejdzie w nią od tyłu i od przodu, i z boku.

Evy już nie ma. Teraz kolej na Liz. We środę.

– Czemu, do diabła, nie wiedzieliśmy nic o tym Caenie?

Van Veeteren zaatakował, jeszcze zanim Münster zdążył zamknąć drzwi. Münster usiadł na swoim miejscu między szafami z dokumentami i włożył do ust dwie tabletki na ból gardła.

– No więc?

– Powiedziano nam, że nie mamy się za bardzo zagłębiać w całą jej przeszłość... Nie rozumiem, po co nadal się pan tym zajmuje. Spotkałem właśnie na stołówce szefa. Powiedział, żebyśmy w końcu ruszyli sprawę tych podpalaczy.

– Mam w dupie, co Hiller każe nam robić. Jak chcesz wiedzieć, to ci powiem, że ten piroman nazywa się Garanin, jest z pochodzenia Rosjaninem i wystarczy, jeśli od dwunastego wyznaczymy kogoś do jego obserwacji.

– A dlaczego dopiero wtedy?

– Facet ma fioła na punkcie księżyca. Działa tylko podczas pełni. Przejrzałem tę sprawę przed południem, mam już jego adres, ale chcę go złapać na gorącym uczynku. Teraz najważniejszy jest Caen. Co masz na jego temat?

Münster chrząknął.

– Nie rozmawiałem z nim osobiście, tylko rano wysłałem do niego faks. Prawdopodobnie nocą dostaniemy odpowiedź, u nich jest inna godzina niż u nas.

– Naprawdę?

– Hm... no tak; odwiedziłem też Rügera. Nie chciał mi oczywiście nic powiedzieć, więc dałem mu kilka wskazówek w sprawie Hendersona.

– Brawo! Mów dalej!

– No więc ten Caen był jej terapeutą. Opiekował się nią podczas jej pobytu w Rejmershus, a kiedy ją wypuścili, nadal utrzymywał z nią kontakty. Rüger ma właściwie same daty ich spotkań, a tak naprawdę chciał tylko przygwoździć tę kobietę, która twierdziła, że o Evie Ringmar wie wszystko.

– Masz jeszcze coś?

– Rüger rozmawiał z Caenem dwa razy przez telefon, ale nie sądzi, żeby to miało jakieś znaczenie dla sprawy. Jestem skłonny mu wierzyć.

– Pozwól, że to ja zdecyduję, co jest, a co nie jest ważne. Wiesz coś jeszcze?

– W marcu tego roku Caen przeprowadził się do Australii. To dlatego przestali się spotykać... Ma teraz prywatną klinikę w Melbourne. Jego żona stamtąd pochodzi i być może to było przyczyną...

– A co mówił o Evie Ringmar?

– Nie za wiele, ale wydaje mi się, że Rüger nie za bardzo go naciskał.

Van Veeteren podrapał się ołówkiem po karku i zamyślił się.

– Rüger? Nie, prawdopodobnie nie. A co napisałeś w faksie?

Münster poruszył się na krześle. Van Veeteren pomyślał, że Münster znowu zrobił coś głupiego. Niech go diabli wezmą, jeśli coś sknocił!

Wyjął z ust wykałaczkę i przyglądał jej się przez chwilę.

– Bravo! – oznajmił po wysłuchaniu, co miał mu do powiedzenia Münster.

Münster poczerwieniał.

Van Veeteren pomyślał sobie, że facet, któremu stuknęła czterdziestka, powinien się już dawno od tego odzwyczaić. Poza tym jest przecież policjantem.

Podniósł się zza biurka.

– Pojedziemy teraz pograć w badmintona! – powiedział, wykonując przy tym kilka ruchów w powietrzu.

– Czuję, że wdepczę cię dzisiaj w kort!

– Ale...

– Żadne „ale”! Zajrzyj do Hillera i powiedz mu, że przy sprawie piromana wypruwamy sobie żyły. Poza tym musimy najpierw pojechać do mnie. Muszę sprzątnąć psie rzygowiny, ha, ha, ha!

Münster westchnął dyskretnie. Kiedy komisarz zaczynał żartować, mogło to znaczyć wszystko, z wyjątkiem tego, że warto mu się sprzeciwiać.

– Jakie wrażenie zrobił na tobie Andreas Berger? – spytał Van Veeteren, podczas gdy Münster próbował znaleźć drogę wyjazdową z policyjnego garażu.

– Niewinny, bez dwóch zdań.

– A dlaczego?

– Ma alibi na całą noc. W końcu mieszka w Karpatz... z nową żoną i dwójką dzieci, trzecie w drodze. Bardzo sympatyczny, jego żona też. Próbował pomóc Evie po tragedii, jaka ich dotknęła, chciał, żeby jeszcze raz spróbowali... ale to ona nalegała na rozwód.

– O tym wszystkim wiem... a może działo się coś złego?

– Coś złego?

– Tak, może działo się coś złego w państwie duńskim... Chodzi mi o to, czy nie próbował cię czasem okłamywać?

Münster odczekał kilka sekund.

– Czy pan nie słuchał nagrania magnetofonowego?

– Tak, jasne. Chcę się tylko upewnić.

– A może by mnie pan tak oświecił i powiedział, po co się w tym jeszcze grzebiemy? Sądzę, że już na początku wskazał pan jako sprawcę Mittera?

– Drogi Münsterze, tylko krowa nigdy nie zmienia poglądów. Cała ta sprawa toczy się zwykłym, utartym torem. I właśnie na tym polega problem. Nie lubię procesów, które toczą się utartym torem. Przecież nawet świadkowie obrony rzucili na niego cień podejrzenia. Ten Weiss i... jak mu tam?

– Sigurdsen.

– No właśnie. A na dodatek ten blady dyrektor. Pracują razem od piętnastu lat, a on nie potrafi wydusić z siebie nic więcej, jak tylko to, że przez cały ten czas nie zauważył u Mittera skłonności do przemocy! Nic nie widzieliśmy! Jak się ma takich przyjaciół, nie trzeba już mieć wrogów. Niech mnie diabli wezmą, jeśli nauczyciele nie są dokładnie takimi samymi palantami jak wtedy, gdy sami chodzili do szkoły. Zresztą niektórzy z nich teraz tam pracują.

– No a Bendiksen?

– Z nim jest trochę lepiej, ale nawet on nie wyklucza wersji, że to Mitter może być sprawcą. W tym szkopuł. Każdy z tych łobuzów – a może nawet sam Mitter – uważa, że to on ją zamordował. A przecież w jego życiorysie nie ma ani jednej ciemnej plamy. Dwa

policzki wymierzone byłej żonie, na które z pewnością zasłużyła, i jakaś zaszracona historia z uczniem, kiedy z Mittera zrobiono kozła ofiarnego. Założę się o wszystko, że twój własny rejestr przestępstw jest dziesięć razy dłuższy niż Mittera!

– Bez przesady, panie komisarzu.

Van Veeteren zachnął się.

– Podziękuj za to losowi! Jesteś przecież policjantem.

Przez chwilę siedział w milczeniu i bawił się wykałaczką.

– W każdym razie nic nie świadczy na korzyść Mittera, co oznacza, że zostanie skazany. Można sobie tak siedzieć i gadać piękne słówka o takim czy innym materiale dowodowym, ale w tej sprawie jest inaczej. Prokuratorowi nie udało się nic udowodnić. A mimo to Mittera skazają.

– Za zabójstwo?

– Wcale bym się nie zdziwił... tak, chyba tak. Ale jeśli uznają go za wariata, wyjdzie z tego. Biedak, musiał zupełnie stracić kontrolę nad sobą. Szkoda, bo wydaje się dość sympatyczny... Stop! Dlaczego nie jedziesz prosto? Przecież najpierw mieliśmy jechać do mnie!

– To droga jednokierunkowa, panie komisarzu.

– Na Boga! – jęknął Van Veeteren. – Obawiam się, że twoja kartoteka nie jest akurat tym, czym mógłbyś się pochwalić.

Münster westchnął i przyspieszył. Van Veeteren pograżył się w myślach. Na wysokości kościoła Keymerkyrkan wyjął wąską cygaretkę i spojrzał na Münstera. Właściwie to nie palił, ale wiedział, że gryzący dym wydobywający się z pięknych czarnych cygaretek pogorszy kondycję jego konkurenta w badmintonie bardziej niż jego samego. Zwłaszcza jeśli on sam nie przejmował się niczym i zaciągał się tym dymem. W każdym razie był to ważny krok na drodze do

psychicznego rozładowania przed meczem.

Münster zahamował pod budynkiem Klagenburg 4. Van Veeteren wsunął ostrożnie dymiącą cygaretkę do popielniczki i wysiadł z samochodu.

– Poczekaj tu chwilę. Wracam za pięć minut.

Münster wyłączył silnik i opuścił szybę. Potem obserwował komisarza, który lekkim truchtem wbiegł na górę po schodach.

Za dziesięć lat pójdzie na emeryturę, pomyślał. Dziesięć lat... Jak długo jeszcze wytrzyma tak grać z nim w tego badmintona?

Przypomniał sobie mężczyzn, którzy mieli ponad siedemdziesiątkę i nadal przychodzili na halę. W końcu zaczął myśleć o innych sprawach.

Na przykład o tym, co powiedziała mu Synn. Jego piękna żona zaproponowała, żeby wzięli dzieci i wyjechali na prawdziwy zimowy urlop, dwa tygodnie w grudniu, kiedy ceny są najniższe, dawno o czymś takim marzyła. Na jakąś wyspę położoną na błękitnym morzu, z szumiącymi palmami i barem na plaży...

Myślał też o tym, w jaki sposób powinien o taki urlop poprosić Hillera. Wprawdzie ma już sporo przepracowanych nadgodzin, ale aż dwa tygodnie...?

Dwa tygodnie? – spyta go Hiller i zrobi taką minę, jakby go poproszono, żeby pozował nago do zdjęcia dla policyjnej gazety branżowej. Dwa tygodnie!

A teraz znowu musi w godzinach pracy grać w badmintona.

Ktoś wysłał do niego księdza.

Nawet nie wiedział kto. Rüger, a może komendant policji, a może ten zgrzybiały sędzia... trudno powiedzieć. A może przyszedł z własnej inicjatywy? Według jego słów niepotrzebne jest ogniwo pośrednie. Istnieje tylko Bóg Ojciec.

Ksiądz miał jakiś taki wodnisty uśmiech. Musiał przetrzeć oczy i twierdził, że to z powodu suchego powietrza i systemu wentylacyjnego.

– Mam zwyczaj wsłuchiwać się w dźwięk systemu wentylacyjnego – wyznał Mitter. – Wydaje mi się, że to może być głos Boga.

Pastor skinął z zainteresowaniem głową.

– Naprawdę?

– Rozumiem, że księdzu znany jest głos Boga?

– Tak...

– Jest dosyć monotony, prawda?

– Głos boży dociera do różnych osób na różne sposoby.

– Co to za cholerny relatywizm? – spytał Mitter.

– Chciałem tylko...

– Czy ksiądz twierdzi, że nasz Pan to tylko zjawisko fenomenologiczne? Proszę mi pokazać swój dowód osobisty!

Ksiądz uśmiechnął się łagodnie, ale na jego czole zaczęła się formować zmarszczka wyrażająca wątpliwość.

– Jeśli ksiądz nie potrafi przedstawić mi fenomenologicznego dowodu na istnienie Boga, natychmiast każę księdza wyrzucić!

Ksiądz ponownie przetarł oczy.

– To ja chyba lepiej przyjdę innego dnia. Widzę, że moja obecność pana złości.

Mitter zawołał strażnika i dwie minuty później znowu był sam.

Przyszła do niego także pani kurator.

Była to kobieta w wieku trzydziestu kilku lat, a podczas jej obecności w celi strażnik przez cały czas stał przy drzwiach.

– Czy pani jest Dunką? – spytał Mitter.

Miała jasne włosy i wysoki kark, więc pytanie nie było takie bezzasadne. Kobieta przecząco potrząsnęła głową.

– Mam na imię Diotima. Czy pozwoli mi pan przez chwilę porozmawiać z sobą?

– To piękne i niecodzienne imię. Może pani zostać tak długo, jak tylko pani zechce.

– Zażądano, by poddał się pan badaniom psychologicznym. Bez względu na to, jaki zapadnie wyrok.

– Jestem bardzo wdzięczny, ale nie planowałem powrotu do szkoły.

Diotima skinęła głową. Miała koński ogon i za każdym razem, kiedy poruszała głową, nieznacznie falował. Mitter miał ochotę podejść do niej i położyć jej dłoń na karku, ale uznał, że jest na to zbyt brudny. Diotima miała w sobie jakąś niedwuznaczną świeżość. Mitter skrył dłonie między kolanami i próbował myśleć o czymś innym.

– Jak się pan czuje? – spytała.

Zastanawiał się przez chwilę, ale nie potrafił znaleźć właściwej odpowiedzi.

– Był to trudny okres...

Wypowiadając te słowa, Diotima ściszyła głos, żeby Mitter nie mógł odróżnić, czy to pytanie, czy stwierdzenie, czy chodzi jej o niego, czy o nią.

– W takim miejscu jak to nie da się wyzdrowieć... – dodała.

Mitter szybko się uśmiechnął.

– Czy wie pan, od jak dawna już pan tu siedzi?

Mitter skinął głową.

– A jaki mamy dziś dzień?

– Środę.

– Tak. Wyrok zapadnie po południu. Dlaczego zdecydował pan nie zjawiać się na jego ogłoszenie?

Mitter wzruszył ramionami.

– Chce pan papierosa?

– Chętnie.

Diotima wyjęła z aktówki paczkę i położyła ją na środku stołu. Mitter wyciągnął z niej jednego papierosa i zapalił. Był jakiś łagodny, mentolowy, typowo kobiecy, ale wypalił go aż do ustnika.

Palenie takiego papierosa wymagało jakby większej koncentracji, więc Mitter nie był pewien, jakie pytania zadawała mu pani psycholog w chwili, kiedy był zajęty tą czynnością. W każdym razie na żadne z nich nie odpowiedział.

Kiedy zdusił peta w popielniczce, Diotima wstała z krzesła i wtedy Mitter zrozumiał, że chce już wyjść. Poczul w gardle nagłe dławienie. Uczucie to mieszało się z niezbyt miłym, mdłym zapachem dymu. Diotima zauważyła to, bo w pewnym momencie zrobiła w jego stronę

dwa kroki i na chwilę położyła mu dłoń na ramieniu.

– Jeszcze wrócę – wyjaśniła. – I proszę mi mówić po imieniu.

– Dziękuję... Diotimo.

– Wiem. Już pan to powiedział.

Uśmiechnęła się do niego. Miała białe i równe zęby. Mitter westchnął.

– Na pewno nie jesteś Dunką?

– Mój dziadek pochodził z Kopenhagi.

– Wiedziałem, że mam rację.

– Do zobaczenia, Janku.

– Do zobaczenia, Diotimo.

Po kolacji zjawił się Rüger, który przyniósł najświeższe informacje. Wyglądał na bardziej skurczonego niż zwykle i zanim zaczął, dwa razy wytarł nos w chusteczkę.

– Nie dało się – oznajmił.

– Ach tak, nie dało się.

– Nie. Ale uznano to za zabójstwo. Sędziowie byli zgodni. Sześć lat.

– Sześć lat?

– Tak. Przy dobrym sprawowaniu mogą skrócić wyrok do pięciu.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Rüger odczekał chwilę.

– Będzie pan musiał poddać się badaniom psychiatrycznym. Niestety, chodzi w nich tylko o pana obecny stan. Może powinniśmy wybrać inną linię obrony, ale nikt nie uważa, że w chwili popełnienia przestępstwa był pan niepoczytalny.

– Aha – powiedział zmęczonym głosem Mitter. – Czy mógłby pan wyrażać się zwięźle, bo muszę się przez chwilę przespać.

– Jeśli badania wypadną dobrze, trafi pan do więzienia państwowego. W przeciwnym wypadku do Greifen albo Majorny.

– Majorny?

– Tak, w Willemsburgu. Zna pan to miejsce? To stary zakład, jeszcze z XIX wieku. Może lepszy będzie Greifen...

– Dla mnie to nie ma znaczenia.

– Jeśli w międzyczasie zdrowie się panu poprawi, zostanie pan natychmiast przewieziony do więzienia, ale uwzględnią panu czas spędzony w zakładzie psychiatrycznym. Tak to właśnie wygląda. Jest pan zmęczony?

Mitter skinął głową.

– Jutro pana stąd zabiorą. Mam nadzieję, że dziś w nocy porządnie się pan wyśpi.

Rüger wyciągnął do niego rękę, a Mitter mu ją uściśnął.

– Bardzo mi przykro, że się panu nie udało. Naprawdę przykro...

– Niech pan sobie nie zawraca tym głowy. A teraz proszę mnie już zostawić. Na pewno będziemy jeszcze mieli okazję, żeby porozmawiać.

– Na pewno – powiedział Rüger i po raz ostatni wytarł nos. – Żegnam i życzę szczęścia jutro.

– Żegnam.

Strasznie gadatliwy typ, pomyślał Mitter, kiedy za adwokatem zamknęły się drzwi. Muszę pamiętać, żeby w przyszłości go krótko trzymać.

- No tak – powiedział Münster. – Tak to wygląda.
- No tak – odparł Van Veeteren.
- A bardziej konkretnie?
- Van Veeteren zachnął się.
- Majorna. Caen się nie odezwał?
- Nie, ale musimy się zająć innymi sprawami.
- Naprawdę? Czym na przykład?
- Na przykład tym na początek – powiedział komisarz i pokazał Münsterowi gazetę.

Sprawa kolorowej prostytutki, którą ktoś przybił gwoździami do krzyża na jednej z ulic eleganckiego przedmieścia Dikken, zajmowała inspektora i Münstera od półtorej doby. Kiedy odpowiedzialność za tę zbrodnię wzięła na siebie jedna z organizacji neonazistowskich, sprawę przekazano do wydziału zajmującego się zwalczaniem terroryzmu.

Münster pojechał do domu i spał przez szesnaście godzin bez przerwy. Van Veeteren powinien właściwie zrobić to samo, ale przeszkodził mu w tym Bismarck. Pies był już tak bardzo chory, że nie pozostawało nic innego, jak tylko go uśpić. Van Veeteren zadzwonił do Jess i wyjaśnił jej, jak wygląda sytuacja. Informacja ta wywołała w niej falę wspomnień, więc wymogła na ojcu, żeby nie

oddawał psa do uśpienia jeszcze przez dwa dni, aby i ona mogła się z nim na zawsze pożegnać.

W końcu był to jej pies.

Van Veeteren spędził te dwa dni, pełzając po podłodze, zły z niewyspania. Jedną ręką wmuszał w psa kleik, drugą wycierał go wilgotną ścierką. Kiedy w końcu zjawiała się Jess, Van Veeteren miał już z niewyspania i wyczerpania tak podkrążone oczy, że Jess mimowolnie przyszło na myśl piąte przykazanie.

– Biedny tatuś – powiedziała i pocałowała go delikatnie w usta. – Może i ciebie tam zabierzemy, jak już jedziemy w tym kierunku?

Van Veeteren wydał z siebie tak głośny krzyk, że wdowa Loewe mieszkająca pod nim uznała za słuszne zadzwonić na policję. Wysłany pod ten adres posterunkowy Widmar Kruse, młody i obiecujący policjant, wiedział jednak, kto tam mieszka, a poza tym był już trochę wprowadzony w całą sytuację. Dlatego też w drodze na miejsce zrezygnował z interwencji.

Jess zajęła się Bismarckiem. Zawiozła go do weterynarza, gdzie godzinę później pies wydał ostatnie tchnienie na jej rękach.

Van Veeteren wziął prysznic, a potem z wielkim entuzjazmem chwycił za telefon i zadzwonił do Münstera.

– Czy Caen się odzywał?! – ryknął do słuchawki.

– Nie – odparł Münster.

– A dlaczego, do diabła, nie zadzwonił?

– Co słyhać u Bismarcka? – spytał Münster.

– Zamknij się! – ryknął Van Veeteren. – Odpowiadaj na moje pytania!

– Nie mam pojęcia. A co sądzi pan komisarz?

– Nie sądz, żeby i ciebie nie sądzono. Daj mi natychmiast numer

jego telefonu, a faks możesz wsadzić Hillerowi do tyłka.

Münster znalazł numer i pół godziny później Van Veeteren w końcu się dodzwonił.

– Caen.

– Eduard Caen?

– Tak.

– Mówi komisarz Van Veeteren. Dzwonię z Maardam w Starym Świecie.

– Słucham pana.

– Chciałbym zadać kilka pytań. Przykro mi, że robię to na odległość.

– A o co chodzi?

– Sprawa Evy Ringmar. Sądzę, że jej nazwisko coś panu mówi.

Przez kilka sekund w słuchawce panowała cisza.

– No więc?

– Pragnąłbym przypomnieć, że obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

– Nas też obowiązuje. Chciałbym natomiast zauważyć, że mogę wezwać pana na przesłuchanie, jeśli mi się tak spodoba.

– Rozumiem. Niech pan zaczyna. Co chce pan wiedzieć?

– Chodzi o kilka drobiazgów. Po pierwsze – czy coś pana z nią łączyło?

– Oczywiście, że nie. Nigdy nie utrzymuję bliższych stosunków z moimi klientkami.

– A więc to nie z jej powodu wyjechał pan do Australii?

– Niech mnie pan nie rozśmiesza! Nie zamierzam w ogóle odpowiadać na tego rodzaju...

W tym miejscu połączenie zostało na chwilę przerwane. Van Veeteren uderzył kilka razy słuchawką w blat i po krótkiej przerwie znowu usłyszał głos Caena.

– ...na tego rodzaju? – spytał Van Veeteren.

– Insynuacje – odparł Caen.

– Szukam mordercy – kontynuował inspektor. – Mężczyzny. Może przychodzi panu do głowy jakieś nazwisko?

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– Nie – powiedział po chwili z wahaniem Caen. – Nie, raczej nie. A tak między nami... Czy mogę panu ufać, panie komisarzu?

– Oczywiście.

– Szczerze mówiąc, moja terapia w jej przypadku nie za bardzo się powiodła, a mimo to polepszyło jej się. Włączyłem się w tę sprawę przy okazji tragedii, jaką była śmierć jej syna... ale nasuwa mi się coś...

Brzmi to tak, jakby ważył każde słowo, pomyślał Van Veeteren. Chyba nie zdaje sobie sprawy, ile kosztuje rozmowa telefoniczna z kontynentem po drugiej stronie globu.

– Co takiego?

– Nie wiem. Coś się za tym kryło... nawet nie próbowała udawać, że jest inaczej. Może nie dałoby się tego ukryć? O czymś nie chciała powiedzieć i otwarcie dawała do zrozumienia, że tak właśnie jest... rozumie pan? Niełatwo mi wyjaśnić to przez telefon.

– Miała jakąś tajemnicę?

– Mówiąc najprościej, tak.

– Jakiś mężczyzna?

– Nie mam pojęcia. Nie wiem.

– Niech mi pan da jakąś wskazówkę!

– O niczym więcej nie wiem. Zapewniam pana!

– No to o czym, do cholery, rozmawialiście?

– O jej synu, Willim. Tak, rozmawialiśmy prawie wyłącznie o nim. Posługiwała się mną, żeby sobie o nim przypominać. Ja też mam syna, teraz byliby w równym wieku, ona lubiła ich porównywać... często zachowywała się tak, jakby Willie żył... rozmawialiśmy o naszych synach, dyskutowaliśmy o ich przyszłości... i o innych sprawach.

– Aha, i mówi pan, że jej stan się polepszył?

– Oczywiście. Nasze spotkania w Maardam nie były uzasadnione względami terapeutycznymi, ale uparła się... Lubilem ją, a ona mi płaciła. Dlaczego miałbym się nie zgodzić?

– No właśnie, dlaczego? A jaką pan ma opinię na temat jej męża, Andreasa Bergera?

– Nic konkretnego. Nigdy się z nim nie spotkałem, a ona nie opowiadała o nim zbyt wiele. To ona wystąpiła o rozwód... Powodem był ten wypadek, bez wątplenia, ale proszę mnie nie pytać jak... Sądzę, że on chciał z nią być nawet wtedy, gdy nie było z nią najlepiej.

Van Veeteren zastanawiał się przez chwilę.

– Domyślam się z naszej rozmowy, że ma pan podejrzanego? – spytał Caen.

– Został już oskarżony i skazany.

– Skazany? A przyznał się? No to po co dalej się pan...?

– Bo to nie on to zrobił – przerwał mu Van Veeteren. – Czy mogę pana o coś poprosić?

– Oczywiście.

– Jeśli coś pan sobie przypomni, nawet jeśli wyda się to panu bez

znaczenia, proszę się ze mną skontaktować. Chyba ma pan mój numer?

– Nie, chyba nie mam...

– A numer faksu?

– Waszego faksu? Nie, nie czytałem korespondencji od tygodnia.

Jestem na urlopie, rozumie pan.

– Urlop w listopadzie?

– Tak, u nas jest lato. Jest 25 stopni ciepła, kwitną drzewa cytrynowe...

– Mam to gdzieś – odparł na to Van Veeteren.

Kiedy Lotte Kretschmer obudziła się w niedzielę 17 listopada, prawie natychmiast postanowiła, że rozstanie się ze swoim chłopakiem. Nazywał się Weigand, miał dwadzieścia jeden lat i pochodził z Süsslingen. Postanowienie to dojrzewało w niej od kilku tygodni, ale w końcu się zdecydowała. Weigand leżał przy niej z otwartymi ustami i spał, a ponieważ nie chciała utrzymywać go w niepewności w tak ważnej sprawie, obudziła go i oznajmiła mu swoją decyzję.

Wprawdzie byli ze sobą od ośmiu miesięcy, ale nie spodziewała się, że kłótnia, płacz i oskarżenia zajmą aż cały dzień.

Kiedy w końcu o siódmej wieczorem poszła do pracy, czuła, że najbardziej potrzebuje w tej chwili dwunastu godzin snu. Tymczasem miała przed sobą dwunastogodzinny dyżur nocny.

Tyle tytułem wyjaśnienia. I nie chodzi tu o to, żeby się usprawiedliwiać.

Wieczorem, o dziewiątej, Janek Mitter, podobnie jak część innych pacjentów, otrzymał zamiast zwykłych, uspokajających lekarstw antydepresyjnych dwie tabletki multiwitaminowe z dodatkiem dziesięciu ważnych minerałów i selenu.

Oba rodzaje tabletek miały okrągły kształt, jasnożółty kolor i przechowywano je w tej samej szafie na lekarstwa.

To też tytułem wyjaśnienia, a nie, żeby się usprawiedliwiać.

Efekty nie dały na siebie długo czekać. Zamiast zapaść w spokojny sen, Mitter leżał zdziwiony i rozbudzony na swym metalowym łożku sprężynowym i spoglądał przez okno na rozgwieżdżone niebo, takie samo jak tamtej nocy w Levkes. Przypomniawszy sobie, że dla astronomów listopad jest wymarzonym miesiącem i że w listopadzie przypadają jego urodziny... To właśnie na czternaste urodziny dostał od ojca teleskop.

Gdzie może być teraz?

Dopiero po chwili sobie przypomniał. U Jürga, oczywiście. To on miał go w swoim pokoju, gdy u niego mieszkał, ale zabrał go ze sobą, kiedy się przeprowadził do Chadowa.

Tak to właśnie było. Nadal więc pamięta o różnych sprawach.

W jego głowie pojawiało się wiele innych wspomnień, z odległych czasów... wspomnienia z dzieciństwa i wczesnej młodości... ale i te niedawne... Irene i dzieci, wydarzenia szkolne i wyjazdy z Bendiksenem... ale dopiero nad samym ranem zaczął myśleć o tamtej nocy...

Przypomniał sobie, że siedział na kanapie. Był ubrany, w mieszkaniu przebijały gdzieś promienie dziennego światła, a zapach kadzidełek drażnił go w nos. Eva chodziła po mieszkaniu w kimonie i coś śpiewała, trudno mu tak było śledzić ją przez cały czas wzrokiem... Trzymał w dłoni kieliszek i był świadom, że nie powinien absolutnie wypić ani jednej kropli więcej. Kiedy odwrócił głowę, pokój zawirował mu w oczach... Nie, już ani kropli.

Wypił jeszcze jeden łyk. Było to dobre wino, czuł jego smak mimo wypalonych papierosów, i nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Kto, u diabła?

Eva zawołała coś w jego stronę i wyszła z pokoju. Domyślił się, że

poszła otworzyć drzwi, ale korytarz znajdował się w takim miejscu, że nic nie widział. Uśmiechnął się szyderczo.

Tak, pamięta, że uśmiechał się szyderczo na myśl o tym, że jest kompletnie pijany, i nawet nie odważył się zerknąć przez ramię. Po chwili Eva weszła wraz z gościem, to on szedł pierwszy... nie widział jego twarzy, była zbyt wysoko, a on nie był w stanie wykonać tego prostego ruchu... przybysz stał przez chwilę, a potem usiadł, Eva była wtedy w innej części mieszkania, coś krzyczała... w każdym razie ten człowiek siedział w jego pokoju; widział górną część jego tułowia i przedramiona, tylko przedramiona z zawiniętymi rękawami... palił papierosa, więc on też zapalił, a smak nikotyny sprawił, że na chwilę stracił kontakt z otoczeniem. Dym z papierosa wywołał w jego gardle niesmak... potem zaczęli rozmawiać... w pewnej chwili przybysz pochylił się, żeby strząsnąć popiół do popielniczki, i wtedy zobaczył, kto to jest.

Otworzył oczy, a wówczas spadły na niego miriady gwiazd, które przyprawiły go o zawrót głowy.

Nie wolno mi tego zapomnieć, pomyślał. Przypomniałem sobie o tym na krótką chwilę, ale rano już zapomnę.

Sięgnął po długopis leżący na nocnej szafce. Usłyszał, jak spada na podłogę. Ostrożnie pochylił się nad nią i zaczął szukać długopisu na zimnych płytach, aż w końcu go znalazł.

Gdzie? – pomyślał. Gdzie?

Sięgnął po Biblię leżącą w szufladzie. Wycelował długopisem w Ewangelię według świętego Marka i zapisał nazwisko człowieka, który odwiedził go tamtej nocy.

Odłożył Biblię, włożył do szuflady i zamknął ją, a potem opadł

wyczerpany na poduszkę. I nagle poczuł, jak coś zaczyna w nim drgać...

Czuł, jakby to był jakiś płomień. Delikatny płomień, który dopiero zapłonął, ale zrozumiał, że powinien go strzec. Żeby dalej płonął.

Wprawdzie był szalony, ale tyle jeszcze rozumiał.

A kiedy zaczęło jaśnieć, postanowił, że zajmie się tą sprawą, kiedy wstanie dzień. Napisze list do tamtego człowieka. Tylko jedną linijkę.

Na chwilę przysnął, ale zaraz się obudził.

Może nawet do niego zadzwoni.

Do tego niesympatycznego człowieka, którego nazwisko znowu mu umknęło.

Tylko żeby szuflada go nie zawiodła.

Treść rozmowy poprzednia zmiana przekazała następnej zmianie zaledwie kilka minut przed rozpoczęciem kolejnego dyżuru.

Wprawdzie zmiana powinna się odbyć kilka godzin temu, ale młoda żona Widmara Krause poczuła rano bóle przedporodowe, a była to jej pierwsza ciąża. Erich Klempje musiał więc zostać dłużej. Wprawdzie powinien zakończyć dyżur o dziewiątej poprzedniego wieczoru, ale od czego ma się kolegów?

Do porodu co prawda nie doszło, ale przewóz ciężarnej, badanie, oczekiwanie i przewóz z powrotem do domu zabrały trochę czasu.

Mechanicznie zanotował treść rozmowy w czarnym segregatorze.

Godzina 11.56. Telefon z Majorny.

– Policja. Aspirant Klempje. W czym mogę pomóc?

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do środka weszło dwóch policjantów z patrolu, Joensuu i Kellerman, którzy prowadzili prostytutkę będącą pod wpływem narkotyków.

– Możecie mnie wziąć, ale tylko po kolei! – krzyknęła. – Aha, gliniarze muszą za to płacić podwójnie.

Chociaż kobieta była drobna, a obaj policjanci ważyli razem dobre dwieście kilogramów, mieli problemy z wprowadzeniem jej do korytarza aresztu. Kellerman miał szramę na policzku, a Klempje pomyślał sobie, że i tej dziwce może się coś przydarzyć, jeśli nie

wepchną jej do celi.

– Możecie mnie w dupę pocałować, ale najpierw umyćcie sobie zęby! – krzyknęła kobieta i uderzyła Joensuu kolaniem w krocze.

Ten zaklął i zgiął się wpół. Klempje westchnął.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział i zasłonił słuchawkę dłonią.

Z pomocą szarpiącym się kolegom przyszło dwóch aspirantów, którzy pisali raport. Chwilę później całe towarzystwo znikło w pomieszczeniach aresztu.

Do diabła, pomyślał Klempje. Jak za chwilę nie pójde spać, rozpłaczę się.

Przyłożył słuchawkę do ucha.

– Tak, słucham?

– Mówi J.M. z Majorny. Mówi J.M. z Majorny.

O Boże, pomyślał Klempje.

– Tak, zrozumiałem. O co chodzi?

– Chciałbym rozmawiać z... chciałbym rozmawiać z...

Zapadła cisza. Klempje podrapał się po głowie. Głos był monotony, nienaturalny. Brzmiało to tak, jakby chwilę wcześniej ktoś coś czytał.

– Tak?

– Chcę rozmawiać z...

– Z kim chce pan rozmawiać? Rozmawia pan z policją.

– Wiem o tym... Chciałbym porozmawiać z tym niesympatycznym facetem.

– Niesympatycznym facetem?

– Tak.

– A o kogo chodzi? Tutaj aż się roi od niesympatycznych policjantów – odparł Klempje w przypiływie solidarności zawodowej.

– Z tym najgorszym z nich... jest wysoki, czerwony na twarzy i przeklina. To z nim chcę rozmawiać.

– Tak, zapisałem.

– Nie ma go tam teraz?

– Nie.

– Dziękuję.

Rozmowę przerwano. Klempje siedział przez kilka sekund ze słuchawką przy uchu. Potem odłożył ją na widełki i wrócił do rozwiązywania krzyżówki.

Dwie minuty później pojawił się Krause.

– Chwała Bogu! – jęknął Klempje. – I co słyhać?

– Nic – odparł Krause. – Fałszywy alarm.

– Aha, to znaczy, że jeśli ma boleć, to porządnie?

– Klempje, widzę, że jeśli chodzi o te sprawy, jesteś żółtodziobem.

– Możesz mnie nawet nazwać dzięciołem, bylebym tylko mógł się przespać.

– Było coś ważnego?

Klempje zastanawiał się przez chwilę.

– Nie. Przed chwilą dzwonił jakiś wariat z Majorny i chciał rozmawiać z „tym niesympatycznym facetem”, zabawne, nie? Jak myślisz, kogo miał na myśli?

– VV?

– Pewnie tak.

– A o co mu chodziło?

– Nie mam pojęcia. Odłożył słuchawkę. A Joensuu i Kellerman siedzą w areszcie i szamoczą się z wielką dziwką. Cholera, z kim my się musimy zadawać!

Klempje wyszedł z dyżurki, a jego miejsce zajął Krause.

Niesympatyczny? Majorna?

Zastanawiał się przez kilka minut, a potem zadzwonił na czwarte piętro.

Nikt nie odpowiadał.

Próbował złapać Münstera, ale z takim samym skutkiem.

Nieważne, pomyślał i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni munduru książkę pt. „Jak być rodzicem”.

List znalazł w popołudniowej poczcie.

Niewiele myśląc, wsunął go do kieszeni. Miał jeszcze do załatwienia kilka pilnych spraw, więc może go przeczytać po powrocie do domu. Przez chwilę zastanawiał się, co ten list zawiera. Nieczęsto otrzymywał prywatne listy w pracy, a ten był chyba raczej prywatny.

Potem oczywiście o nim zapomniał i przypomniał sobie dopiero wtedy, gdy z kieszeni marynarki chciał wyjąć chusteczki odświeżające. Rozerwał kopertę ołówkiem i wyjął ze środka podwójny arkusz papieru.

Treść listu składała się z tylko jednej linijki.

Przez kilka pierwszych sekund jego świadomość przestała zupełnie pracować. Stał bez ruchu, na wpół pochylony nad biurkiem, ze wzrokiem utkwionym w kartkę.

Później serce znowu wróciło do normalnego rytmu, pracowało powoli i metodycznie. I znowu się zdumiał, że umie być zarazem tak podniecony i spokojny.

Popatrzył na stempel. Wczorajsza data.

Przyjrzał mu się bliżej. Kilka liter było nieczytelnych, ale list na pewno wysłano z Willemsburga.

Zgadza się. To on tam siedzi. Kilka osób nawet tam pojechało,

żeby go odwiedzić.

Położył się na łóżku i zgasił lampę. Poczuł wyraźne, silne swędzenie w przeponie brzusznej, ale bez kłopotu nad nim zapanował. Pytanie brzmiało tylko... Pytanie było tak proste, że aż niezręcznie było je zadawać: czy przyjdą jeszcze jakieś listy?

Czy są jeszcze jakieś listy?

Poszedł do kuchni i otworzył piwo. Usiadł przy oknie, wypił kilka łyków i sam odpowiedział sobie na to pytanie.

Nie, nie ma żadnych innych listów.

Jest w domu już od trzech godzin. Nikt nie dzwonił, a przecież taka zwłoka byłaby wielką niezręcznością... nie ma żadnych innych listów.

Bębnił palcami po butelce.

Chyba że... jego mózg pracował teraz w błyskawicznym tempie... chyba że listy wysyłane na policję trafiają tam z opóźnieniem. Może więc list dotrze rano... To możliwe, trzeba to przyznać.

Wypił jeszcze jeden łyk. Kawki rozwrzeszczały się za oknem i wtedy przypomniały mu się „Ptaki” Hitchcocka. Było w tym coś wymownego, coś, z czym się jakoś utożsamiał... zresztą to chyba nie najlepszy czas, żeby się nad tym właśnie teraz zastanawiać.

Ale jeśli... jeśli są inne listy, już napisane i wysłane, dojdą na miejsce rano. Najpóźniej rano.

Rano. Jeśli nie dowie się o tym do godziny dwunastej, będzie pewien.

Tak brzmi odpowiedź. Przyłożył butelkę do ust i dopił piwo do końca. Spojrzał na niebo rozciągające się nad dachami. Szybko się ściemniało. Bez wątplenia to będzie kolejna gwiazdzista noc... Przez

chwilę zastanawiał się, czy to dobrze, czy źle.

W każdym razie końcowa odpowiedź nie zmieni się. Czeka i jest cierpliwy. Szykuje się na właściwy moment.

Wziął głęboki oddech. Znowu zaczął odczuwać silne, przyjemne, prawie erotyczne łaskotanie.

To już teraz.

Obudził się i nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa.

Z całą pewnością zdarzało mu się to wcześniej. Pamiętał, że doznał tego uczucia pewnego ranka.

Teraz jednak była jeszcze noc. Blade światło księżyca oświetlało drugi koniec łóżka i postać, która tam stała.

Z pewnością była to kobieta. Jej sylwetka wyraźnie odbijała się na tle okna, ale twarz była ukryta w mroku.

– Diotima? – wyszeptał nagle, choć nie wiedział dlaczego. Imię, które po prostu wyłoniło się z mroku zapomnienia. Ktoś, za kim tęsknił.

Czy to jednak ona?

Zbliżyła się do niego. Powoli obeszła wezgiem i znalazła się po jego prawej stronie. Uniosła ramię i coś rozbłysło w jej dłoni...

Mitter... Janek Mattias Mitter... już sobie przypomniał, dokładnie w tej samej chwili, w której przeszył go ból.

Zanim jednak zdążył wydać okrzyk, poczuł, jak ktoś przyciska mu poduszkę do twarzy. Zaczął machać rękami i bez powodzenia starał się chwycić napastnika za nadgarstki... jednak siły go opuściły, a ból dotarł do żołądka i klatki piersiowej.

Jestem nikiem, pomyślał. Jestem tylko jednym wielkim cierpieniem.

Na koniec pojawił się obraz.

Stary obraz, może pochodził z jakiegoś zdjęcia, które kiedyś zrobił,
a może z jakiejś książki.

Był to obraz śmierci.

Obraz wołu.

I obraz wozu.

Takie było jego życie. Był wołem, który ciągnął wóz.

Powoli zapadał się w błoto. Powoli pogrążał się w śmierć.

Gdy nadeszła noc, cicha i gwiazdzista, na ziemi pozostała tylko
głowa, a tym, co znikło na samym końcu, było zdumione oko wołu,
które gapiło się w zadziwieniu na miriady gwiazd.

Taki właśnie był ten ostatni obraz.

A gdy woda zakryła oko, stała się nicość.

II

Piątek 22 listopada
– niedziela 1 grudnia

– Roth, poproś pannę Katz, żeby nam przyniosła kilka butelek wody mineralnej Vichy!

Hiller strzepnął jakiś włoszek z kłapy marynarki i spojrzał na zgromadzonych.

– Gdzie jest Van Veeteren? Czy nie mówiłem, że wszyscy mamy się tu spotkać o piątej? Jest już trzy minuty po piątej, konferencja zaczyna się dokładnie o szóstej, więc musimy się spieszyć. To naprawdę paskudna historia!

Reinhart podniósł się z krzesła.

– Poszukam go. Van Veeteren zamęcza właśnie jakiegoś psychiatrę.

Münster odchylił się na krześle i próbował wyjrzeć przez okno. Gabinet komendanta policji znajdował się na czwartym piętrze, które nazywano „*fourth floor*” albo „cieplarnią”. Pierwsza nazwa odnosiła się do hierarchii panującej w policji, do pewnego stosunku podległości, natomiast drugie określenie związane było z zamiłowaniem komendanta do roślin. Duże okno wychodzące na południowe dzielnice miasta zapewniało wystarczającą ilość dziennego światła, w którym wszystkie rośliny zgromadzone w gabinecie powinny czuć się dobrze. I rzeczywiście, czuły się tak wspaniale, że już dawno temu te stojące w pobliżu okna stworzyły nieprzebyty gąszcz.

Münster westchnął i zaczął przyglądać się komendantowi, który siedział na krześle przy biurku i kręcił się we wszystkie strony. Przesuwał papiery, poprawiał krawat, strzepywał pyłki ze swojego eleganckiego granatowego garnituru; wszystko to oznaczało tylko jedno: konferencję!

Mieli się na niej pojawić nie tylko zwykli dziennikarze i fotoreporterzy prasowi, ale także ci z radia i telewizji. Jakieś pół godziny temu Münster zauważył na dziedzińcu wóz transmisyjny. Prawdopodobnie ekipa techników zajęta była ustawianiem oświetlenia, bo wszędzie dokoła leżały kable. Hiller bez wątpienia miał rację. To rzeczywiście paskudna historia.

– Van Veeteren, przedstaw nam, jak wygląda obecna sytuacja – powiedział Hiller, kiedy na sali byli już wszyscy, których zaprosił. – Za czterdzieści pięć minut czeka mnie spotkanie z prasą.

– Nie mogę – odparł Van Veeteren – boli mnie głowa. Niech Münster to zrobi.

– Aha – powiedział Münster i sięgnął po notes. – Od początku, tak? Komendant skinął głową. Münster chrząknął lekko.

– Wczoraj rano o godzinie 7.10 zostaliśmy poinformowani o wszystkim przez personel zakładu dla psychicznie chorych w Willemsburgu.

– Wiemy – wtrącił Hiller.

– Zjawiliśmy się tam z Reinhartem o 7.35, byli z nami także Jung i deBries. Ofiara leżała na swoim łóżku na oddziale 26 B, oczywiście kazaliśmy go zamknąć. Drugiego pacjenta przeniesiono wcześniej do innego pokoju.

– Bardzo rozsądnie – mruknął Van Veeteren.

– Ofiarą jest Janek Mitter, obaj go od razu rozpoznaliśmy i od razu domyśliliśmy się, jak doszło do zabójstwa. Całe łóżko pełne było krwi, na podłodze też było jej sporo.

Münster przerzucił kartki notatnika.

– Według Meussego, który zjawił się dziesięć minut później, Mitter zmarł na skutek urazów wewnętrznych i z powodu utraty krwi; zadano mu trzy głębokie pchnięcia, z których jedno przecięło tętnicę... Umarł chyba natychmiast, najwyżej po kilku sekundach... Meusse stwierdził, że śmierć nastąpiła między trzecią a wpół do czwartej.

– Godzina wilkołaka – rzucił Van Veeteren.

– Jak to się stało, że dziennikarze znaleźli się na miejscu przed nami? – spytał Hiller. – Tym razem?

– Prawdopodobnie cynk od personelu – odpowiedział Reinhart. – Jednego z pielęgniarzy odwiedziła wieczorem jego dziewczyna, dziennikarka z „Neuwe Blatt”. Uwili sobie gniazdko w jego mieszkaniu służbowym, skąd na miejsce jest nie dalej jak trzy minuty piechotą. Zresztą ładna dziewczyna...

– Dalej! – wtrącił Hiller.

– Rooth i Van Veeteren zjawili się pół godziny później – mówił dalej Münster. – Razem z technikami. Przeczესali cały pokój, ale oczywiście nic nie znaleźli.

– Nic?

– Nic ponad to, co łatwo było zobaczyć. Morderca wszedł do pokoju, zabił swoją ofiarę jakimś solidnym nożem, prawdopodobnie z podwójnym ostrzem, chyba jakiś myśliwski. Można dzisiaj kupić różne modele takich noży. Potem sprawca wyszedł przez okno i zszedł na dół po rynnie.

– Myślałem, że pacjenci są zamykani – zdziwił się Hiller.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Rooth. – Przynajmniej nie w naszych czasach, jak się ma do dyspozycji te wszystkie wyszukane lekarstwa... natomiast kraty są tam na pierwszym i drugim piętrze. Jeśli chodzi o rynnę, to tym razem wytrzymała, ale jak ktoś spróbuje ponownie, może się to dla niego skończyć śmiercią, trzy haki są obluzowane...

– Musimy poinformować o tym zabójcę, żeby nie zrobił sobie krzywdy – zauważył Reinhart.

– A co z odciskami palców? – spytał Hiller.

– Ani śladu, nic. Kiedyś podłogę wyłożono tam kamiennymi płytami.

– Czy wolno palić? – spytał Reinhart.

– Usiądź przy oknie – zgodził się Hiller.

Reinhart i Rooth przesiedli się. Reinhart wytrząsnął fajkę do doniczki z kwiatami. Van Veeteren rzucił mu spojrzenie pełne szacunku.

– Słuchamy dalej! – powiedział Hiller, a Münster zamknął swój notatnik.

– Nocna zmiana składała się z czterech osób... cały personel liczy dwudziestu sześciu pracowników, na tym samym piętrze znajdują się cztery oddziały. Tak samo jest na drugim i trzecim.

– Dwudziesty czwarty, piąty i szósty – zaczął liczyć Rooth. – A, B, C, D na każdym piętrze – to znaczy dwanaście oddziałów w całym budynku. Na każdym oddziale osiem miejsc, ale kilka pokoi stało pustych. Zdarza się, mniej więcej raz na dwa lata, że któryś z pacjentów wraca do zdrowia lub umiera i wtedy mają wolne miejsce.

– Ale w kolejce czekają już następni wariaci – powiedział Reinhart, który właśnie rozpałał fajkę.

– Dwunastu pielęgniarzy? – spytał Hiller.

– Tak – odparł Münster. – Na każdym piętrze dwaj śpią, a dwaj pełnią dyżur. Przesłuchaliśmy ich wszystkich, zwłaszcza tych z dwudziestki szóstki oczywiście, i chyba już dokładnie wiemy, co się stało.

– Naprawdę? – spytał Hiller, który przestał w końcu obracać zegarek wokół nadgarstka.

– Doszliśmy do tego po pewnym czasie. Musieliśmy też porozmawiać z dzienną zmianą, ale wszyscy są zgodni, że to po prostu ktoś z odwiedzających ukrył się i odczekał do wieczora.

– Ukrył się? – spytał Hiller.

– Tak, ta kobieta przyszła około piątej... chorych wolno odwiedzać do siódmej. Tak więc ta kobieta została w szpitalu, a później wszyscy o niej zapomnieli.

– Kobieta? – spytał Hiller.

– Kobieta, tak przynajmniej twierdzi personel – powiedział Reinhart i wypuścił dym, który pozęgłował powoli w stronę komendanta. – Oczywiście, to mógł być także jakiś mężczyzna...

– Co oni tam mają za bałaganiarskie przepisy? – oburzył się Hiller, odpędzając dym ręką. – A czy mamy jakiś rysopis?

– Aż osiem – powiedział Münster. – Wszystkie są ze sobą zgodne. To dość wysoka kobieta z ciemnymi, gęstymi włosami, w okularach... dzinsowa kurtka do kolan... tylko trzy osoby z nią rozmawiały, ale pięć innych ją widziało. W tym jeden z pacjentów. Gotów jest przysiąc, że to był facet przebrany za kobietę... wszyscy pozostali nie są tego pewni.

– A co ty o tym sądzisz? – Z tym pytaniem Hiller zwrócił się do Van Veeterena.

– Zgadzam się z tym, co twierdzi tamten wariat. Ale jeśli trzeba będzie przysiąc, pozostawię to tylko jemu.

Hiller skrzyżował dłonie na blacie biurka.

– Czyli ta... osoba... ukrywała się w budynku aż do godziny trzeciej, wpół do czwartej w nocy, zamordowała Mittera i wyszła przez okno? To dość wyrachowane, nie sądzicie, panowie?

– Cholernie wyrachowane – zgodził się Reinhart.

– Przesada! – powiedział Rooth. – To raczej film klasy „B”, nic więcej...

– A ten drugi pacjent, który leżał w tym samym pokoju co Mitter – przerwał mu Hiller. – Czy on coś zeznał?

– Nic – odparł Münster. – Spał jak zabity, myślę, że nawet jak go przynosili, to też jeszcze spał.

– Pamiętacie „Lot nad kukułczym gniazdem”? – spytał Reinhart.

Hiller spojrzał na zegarek.

– Został nam jeszcze kwadrans – poinformował zebranych.

– A czy te wszystkie pismaki nie mogą trochę poczekać? – spytał Reinhart.

– Jeśli nie mamy więcej danych, spróbujemy przynajmniej być punktualni – powiedział Hiller i spojrzał świdrującym wzrokiem na fajkę Reinharta. – Poza tym to bezpośrednia transmisja.

– Cholera – rzucił Rooth.

– Okej – zakończył Hiller. – Van Veeteren, jakie mamy wątki? Które z nich rozpracowujemy? Nie obchodzi mnie twój ból głowy.

Van Veeteren wyjął wykałaczkę, złamał ją i położył na blacie stołu.

– Chcesz wiedzieć, co masz mówić, czy chcesz wiedzieć, co ja

sądze?

– I to, i to... Może twoimi prywatnymi ocenami zajmiemy się później. Daj mi coś, co będę mógł im wszystkim rzucić...

– Jak chcesz – odparł Van Veeteren. – A więc: nieznana nam osoba wtargnęła do Majorny i zakłóła Jana Mittera, który kilka tygodni temu został skazany za zabójstwo swojej żony. Mitter przebywał tam z powodu złego stanu psychicznego. Nic nie wskazuje na to, że śmierć jego żony i jego śmierć mają ze sobą cokolwiek wspólnego.

– Przecież nie mogę czegoś takiego powiedzieć! – wybuchnął Hiller i wytarł czoło z potu.

– No to powiedz, że są ze sobą powiązane – zaproponował Van Veeteren. – Dla mnie to nie ma znaczenia.

Przez kilka sekund w gabinecie panowała cisza. Słyszeć było tylko, jak Reinhart pociąga fajkę, a komendant obraca zegarek na nadgarstku.

– Czy Mitter był niewinny? – spytał Rooth. Nikt nie odpowiedział na jego pytanie.

– To znaczy, że sprawcą obu zabójstw jest ta sama osoba? – spytał ponownie Rooth.

Van Veeteren odchylił się na krześle i spojrzał w sufit.

– Ten Mitter to był dość zabawny facet – odezwał się w końcu. – Dziwi mnie tylko jedna rzecz: że nie próbował się z nami skontaktować, jeśli coś sobie przypominał.

– Co masz na myśli? – spytał Hiller.

– Chcesz powiedzieć, że...? – spytał Reinhart.

Van Veeteren skinął głową.

– ...że Mitter ostrzegł mordercę? – dokończył Münster. – Zamiast zadzwonić z tym do nas?

Van Veeteren nie odpowiedział na to pytanie.

– Jak można być tak cholernie głupim? – zdziwił się Reinhart.

– Gdyby ciebie też tak szprycowali lekarstwami, tobyś zobaczył, jaki byłby z ciebie po tygodniu mądrała – odparł Rooth. – Jeśli jest tak, jak mówi Van Veeteren, to znaczy, że Mitterowi udało się coś sobie przypomnieć, to dla mnie jest prawdziwą zagadką, dlaczego tak się zachował. Muszę przyznać, że wydaje mi się to mało wiarygodne.

– Jest dokładnie tak, jak powiedziałem – odezwał się Van Veeteren i ziewnął. – Ale nie musimy się o to spierać. To się kiedyś wyjaśni.

Hiller wstał z fotela.

– Już czas. Van Veeteren, chciałbym potem z tobą porozmawiać.

– Oczywiście. Znajdziesz mnie na stołówce. Będę tam oglądał program telewizyjny, którego nie chciałbym opuścić.

Hiller poprawił krawat i wyszedł szybkim krokiem z pokoju.

– Paskudna historia – mruknął.

Münster zastukał do drzwi i wszedł do środka.

– Siadaj – zaproponował Van Veeteren i wskazał na krzesło stojące między szafkami na dokumenty. Münster usiadł i oparł się ciężko o ścianę.

– Już jedenasta – powiedział. – Może pojedziemy do domu, prześpiemy się i zajmiemy się wszystkim rano?

Van Veeteren skrzyżował dłonie na blacie biurka.

– Lepiej się myśli nocą. Utyjesz, jak będziesz za dużo spał. I będziesz się poruszał zbyt wolno przy siatce. Wśród nas jest morderca – chcesz mieć kolejne ofiary?

Zamknij się, pomyślał Münster, ale nic nie powiedział.

– Kawy? – spytał uprzejmie Van Veeteren.

– Poproszę – odparł Münster. – Przyda mi się. Dzisiaj wypilem już jedenaście filiżanek.

Van Veeteren sięgnął po termos i nalał do kubków jakiejś brunatnej, śmierdzącej cieczy, a potem podał kubek Münsterowi.

– Lepiej będzie, jak się teraz skoncentrujesz, bo w przeciwnym razie spędzisz tu całą noc. Jutro czeka nas kupa roboty, więc lepiej, żebyśmy wiedzieli, jak postępować. Chcesz zadzwonić do żony?

Münster potrząsnął głową.

– Już to zrobiłem. Oglądała telewizję.

– To dobrze. W takim razie odpowiedz mi na pytanie, kto to

zrobił.

Münster upił trochę letniej kawy. Połknął ją, skrzywił się z niesmakiem i doszedł do wniosku, że zaparzone ją jakieś dwanaście–osiemnaście godzin temu.

– Nie domyślasz się? – zapytał Van Veeteren.

Münster pokręcił głową.

– Nie, nie wiem – sprecyzował swoją wcześniejszą wypowiedź.

– Ja też nie wiem – odparł Van Veeteren. I muszę przyznać, że nie mam zielonego pojęcia, dlatego musisz się sprężyć. Zacznijmy od numeru dwa!

– Co?

– To znaczy od drugiego zabójstwa... od śmierci Mittera. Jak brzmi najważniejsze pytanie?

– Z jakiego powodu...

– Słusznie! Na razie nie będziemy się zastanawiać, kiedy, gdzie i jak ofiara załatwiała swoje naturalne potrzeby w ciągu ostatnich ośmiu godzin. Musimy się zająć kwestią „dlaczego”. Dlaczego Mitter został zamordowany?

– Wychodzimy z założenia, że sprawca jest ten sam?

– Tak. Bo jeśli nie, sprawa jest zupełnie innego rodzaju... wtedy nie rozwiążemy jej przez długi czas, w każdym razie nie naszymi metodami. Ale to na pewno ta sama osoba, wiem o tym. Tylko dlaczego? I dlaczego właśnie teraz?

– Może sprawca został ostrzeżony?

– Wierzysz w to?

– Przecież sam pan powiedział...

– Po godzinie dwudziestej drugiej możesz mówić mi po imieniu.

– Przecież sam powiedziałeś, że morderca został ostrzeżony przez

samego Mittera i że Mitter musiał sobie przypomnieć coś, co było powiązane z pierwszym zabójstwem.

– Załóżmy, że jestem tego pewien. Mitter napisał do zabójcy, że sobie o nim przypomniał...

– Albo o niej.

– Czy wersja z kobietą brzmi wiarygodnie?

– Nie.

– W takim razie przyjmujemy, że to mężczyzna. Następne pytanie, Münster?

Münster podrapał się po karku.

– Pytanie brzmi: jak? Jak poinformował o tym zabójcę?

– Znowu masz rację! Jesteś w szczytowej formie!

– I dlaczego nie powiedział o wszystkim policji?

– Tym zajmiemy się później. Najpierw twoje pierwsze pytanie: jak? Co myślisz?

– Sądzę, że... zadzwonił albo napisał list. Chyba nie wysłał mu faksu.

Policzki Van Veeterena drgnęły i przez chwilę jego usta przybrały postać czegoś, co przypominało uśmiech. Była to jednak zbyt krótka chwila, żeby Münster mógł być tego pewien.

– Napisał list – odparł Van Veeteren.

– Skąd wiesz?

– No właśnie dlatego sprawdziłem. Posłuchaj, to ci wyjaśnię. Mitter napisał list w poniedziałek osiemnastego i wysłał go tego samego dnia. W zakładzie dali mu papier, długopis i kopertę. Prawdopodobnie wszystko trzymają pod kluczem i wydają na prośbę pacjenta. Pod warunkiem że pacjent był grzeczny. Można powiedzieć, że wszystko jest tu zamykane... z wyjątkiem pacjentów, którym

zamiast ograniczać wolność, podaje się tabletki. W każdym razie wiemy, że list wysłał w poniedziałek. Jeśli przyjmiemy, że zabójca mieszka w tym mieście albo przynajmniej w okolicy, list powinien do niego dotrzeć we wtorek. W środę nic nie robi i uderza dopiero w czwartkowy wieczór, przebiera się jak głupek, wchodzi na oddział, czeka w spokoju, a potem ukrywa się przez osiem albo dziewięć godzin. Rozumiesz? Facet siedzi tam przez osiem albo dziewięć godzin i czeka na odpowiednią chwilę. To właśnie mi imponuje. Nie mamy tu do czynienia z byle kim i lepiej, jeśli będziemy o tym pamiętać.

Münster skinał głową. Zmęczenie zaczęło ustępować, a jego miejsce powoli zajęła koncentracja. Wyjrzał przez okno, gdzie na tle nocnego nieba odcinały się sylwetki katedry i wieżowców przy placu Karola. Stopniowo ogarnęło go też to uczucie, które wcześniej albo później pojawiał się zawsze w czasie dochodzeń. Czasami sprawiało, że leżał na wpół rozbudzony w łóżku, i to mimo zmęczenia, z powodu którego powinien zapaść w drzemkę. Chodziło o wyzwanie, które stanowiło sedno jego pracy. Gdzieś na dworze krył się morderca, jeden z trzystu tysięcy mieszkańców tego miasta, który postanowił zamordować dwoje innych ludzi, a on i Van Veeteren mieli obowiązek schwytać go... lub ją. Wszystko wskazuje na to, że będzie to cholernie trudny przypadek. Na jego rozwikłanie poświęcą tysiące godzin, a kiedy w końcu dojdą do celu, okaże się, że prawie wszystko, co w tej sprawie zrobili, było zupełnie niepotrzebne. Zorientują się, że gdyby w odpowiednim czasie zrobili to i tamto, sprawę udałoby się rozwiązać w dwa dni zamiast w dwa miesiące.

Na razie jednak byli na samym początku. Na razie wiedzieli niezbyt wiele, na razie siedzieli z Van Veeterenem w tym zagraconym

pokoju, zadawali pytania i próbowali na nie odpowiadać albo zgadywać, powoli i stopniowo szukali właściwej drogi postępowania. Bo jeśli jej nie znajdą, jeśli już na początku popełnią błąd, to może się okazać, że za dwa miesiące będą mieli za sobą tysiąc zmarnowanych godzin, a przestępca nadal będzie na wolności. I właśnie to byłoby najgorsze: jeśli znajdą się w ślepych zaułku i będą musieli zawrócić. Dlatego te pierwsze rozważania bywały zazwyczaj najważniejsze.

– Popełniliśmy błąd – oznajmił Van Veeteren, jakby czytał w myślach Münstera. – Posadziliśmy Mittera i już nie żyje. Jesteśmy mu więc coś winni i dlatego tym razem musimy znaleźć prawdziwego zabójcę.

– Myślałem też o innej sprawie – powiedział Münster. – Obie te zbrodnie są tak różne od siebie. Oczywiście jeśli mamy do czynienia z tym samym sprawcą. Ta druga została popełniona bardziej... profesjonalnie niż pierwsza. Może nawet Mitter był świadkiem pierwszego zabójstwa? Wydaje się raczej niezaplanowane... przypadkowe. To drugie zostało popełnione jakby z zimną krwią.

– Wiem – skinął głową Van Veeteren. – Pierwsza zbrodnia czegoś go nauczyła. Wróćmy jednak do listu. Nadążasz za mną?

– Oczywiście.

– Mitter pisze list do zabójcy, do osoby, którą podejrzewa o to, że miała coś wspólnego ze śmiercią jego żony.

– Stop! – zawołał Münster. – Skąd wiemy, że faktycznie napisał list do sprawcy? A może to był zwykły list napisany do znajomego?

– Zaczęliśmy to wszystko sprawdzać – odparł Van Veeteren, który zdążył wsadzić do ust kolejną wykałaczkę. – Ale ekipa nadal zajmuje się sprawą. Nikt z rodziny Mittera nie dostał listu: ani była żona, ani dzieci, ani nikt z jego bliskich przyjaciół. Petersen i Stauff nadal

jeszcze nie rozmawiali z niektórymi z tych osób, choć nie sądzę, żeby coś znaleźli.

– Ale czy to nie znaczy...?

– Oczywiście, całkiem możliwe, że morderca jest wśród tych osób, ale nie przeszkodzi nam, jeśli mu pokażemy, że nie jesteśmy głupcami. Jeśli za kilka tygodni na niego trafimy, będziemy mogli go po prostu zamknąć.

Münster skinął głową.

– Wróćmy jednak do listu – powiedział Van Veeteren. – Mówimy, że to list, którego autor chciał o czymś powiadomić zabójcę. Jakieś pytania, Münster?

– Tak, pytanie dotyczy odbiorcy. Czy ktoś czytał adres na kopercie? Przypuszczam, że to wykluczone.

– Całkiem słusznie. Ci ślepcy w Majornie nic nie zauważyli. Nie pamiętają ani jednej litery! A przecież kiedy Mitter pisał ten list, stał przy nim pielęgniarz i przyglądał się wszystkiemu.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem. Albo nadzorują pisanie listów ze względów bezpieczeństwa, albo może ktoś z personelu pisze jakąś pracę... na przykład związek między schizofrenią i leworęcznością. Najważniejsze jest to, i słuchaj uważnie, co teraz powiem... że Mitter dostaje od pielęgniarza papier, długopis, kopertę, przychodzi do zbiorczej sali, tak to się nazywa, i pisze swój list. Zabiera mu to nie więcej niż dziesięć minut. Oddaje list pielęgniarzowi, a ten wysyła go dwie godziny później, kiedy wychodzi do domu. Aż do tej chwili nosi go w kieszeni swojego fartucha. Czy to jest dla ciebie jasne?

– Jasne.

– A co ci się w tym wszystkim rzuca w oczy?

– Nie wiem – odparł Münster, który przymknął powieki, oparł głowę o ścianę i zaczął się zastanawiać.

– Adres.

– Co masz na myśli?

– No pomyśl, u diabła, przez chwilę! Jak sobie z tym nie poradzisz, nigdy nie poprę twojego wniosku o awans.

– No jasne! Skąd znał adres?

– No właśnie, adres zabójcy.

– Z notesu z adresami?

– Nie. Nie miał go pod ręką ani w szpitalu.

– Z książki telefonicznej?

– Nie ma jej w sali zbiorczej.

– A on siedział tam przez cały czas?

– Jeden z pielęgniarzy stał na zewnątrz i pilnował porządku. Ani przez chwilę nie spuścił go z oka, ale nie pytaj mnie dlaczego. Między salami znajdują się szklane drzwi, a pielęgniarz mówił, że wypalił dwa papierosy. To jedno z tych miejsc, dokąd idzie się na pięć minut.

– Jeśli był taki dokładny, to równie dobrze mógł rzucić okiem na list.

– Myślisz, że mu o tym nie powiedziałem? – skrzywił się Van Veeteren. – Choć nie jest pewne, czyby nam to w czymś pomogło, bo facet nie wydawał mi się zbyt bystry. To jeden z tych byczków, którzy mogliby przewrócić pociąg, choć nie wiedzą, która końcówka długopisu służy do pisania.

Münster uśmiechnął się po służbowemu.

– Na razie starczy – kontynuował Van Veeteren. – Nikt nie zauważył, co Mitter napisał na kopercie. Nie korzystał z notesu z adresami ani z książki telefonicznej. Oznacza to, że...

– Że znał adres na pamięć. O cholera.

– Doszedłem do tego samego wniosku, choć muszę się pochwalić, że poszło mi to szybciej. Ile adresów znasz na pamięć?

Münster zaczął się zastanawiać.

– Wymień je wszystkie! – polecił Van Veeteren.

– Mój własny...

– Brawo!

– Adres rodziców...

– I co jeszcze?

– Mój adres z okresu dzieciństwa w Willby...

– Za stary.

Münster zawahał się.

– Adres siostry w Hesji... chyba.

– Nasz adres biurowy – dodał po chwili milczenia.

Van Veeteren zaczął szukać nowej wykałaczki, ale nic nie znalazł, co oznaczało, że zapas mu się skończył.

– To wszystko? – spytał inspektor.

– Tak – skinął głową Münster.

– Masz czterdzieści dwa lata i zdążyłeś się nauczyć na pamięć czterech adresów. To dobry wynik. Mnie udało się wygrzebać trzy. Jaki stąd wniosek?

– Że Mitter pisał do jakiejś bliskiej mu osoby.

– Albo?

– Do siebie samego?

– Idiota!

– Albo tam, gdzie pracował.

Van Veeteren splótł dłonie na karku i wyprostował się.

– Gimnazjum Bunge. Napijesz się piwa?

Münster znowu skinął głową. Inspektor zerknął na zegarek.

– Jeśli podwiesz mnie do domu, możesz zaprosić mnie po drodze na szklaneczkę, najlepiej krausa.

Münster narzucił marynarkę. To chyba dla mnie zaszczyt, pomyślał, wychodząc z pokoju.

– Cholera, przecież to już piątek – stwierdził Van Veeteren, przeciskając się w stronę barku. Z dwoma kuflami spienionego piwa usiadł na kanapie między dwiema otyłymi kobietami. Zapalił cygaretkę, a po kilku minutach znalazło się też miejsce dla Münstera.

– Gimnazjum albo jakiś jego dobry przyjaciel – powiedział Van Veeteren. – Ale przyjaciół możemy raczej wykluczyć. Czy jest w tym jakiś haczyk?

– Tak – odparł Münster. – Przynajmniej jeden: nietypowe nazwisko.

– Co masz na myśli?

– Jeśli ktoś ma nietypowe nazwisko, list i tak dojdzie do adresata... na przykład Dalmatinenwinckel albo coś takiego.

– O czym ty bredzisz?

– Dalmatinenwinckel. Kiedyś chodziłem z dziewczyną, która tak miała na nazwisko. Wystarczyło napisać nazwisko i nazwę miasta, bez podawania ulicy.

– Dobrze, że się z nią nie ożeniłeś. Chociaż sędzę, że masz rację. Musimy wyznaczyć kogoś do sprawdzenia urzędów pocztowych.

Van Veeteren wypił kilka głębokich łyków i mlasnął z zadowoleniem.

– To jak będziemy pracować? – spytał Münster. Znowu poczuł, że ogarnia go zmęczenie. Siedział w rogu kanapy, a dym szczypał go

w oczy. Minęło już wpół do drugiej w nocy. Kiedy policzył sobie, ile jeszcze upłynie czasu, zanim wypiją piwo, odwiezie komisarza do domu, dojedzie do siebie, rozbierze się i weźmie prysznic, wyszło mu, że będzie się mógł przytulić do Synn najwcześniej o trzeciej.

Westchnął. Myśli dotyczące Synn były w tym momencie bardziej intensywne niż rozmyślania o ściganiu mordercy. Cóż, w końcu to oznaka zdrowia.

– Zajmiecie się gimnazjum – polecił Van Veeteren. – Ty i Reinhart. Domyślam się, że zaczniecie nie wcześniej niż w poniedziałek.

Münster skinął z wdzięcznością głową.

– List to oczywiście najważniejsza sprawa. Całkiem możliwe, że się mylimy, ale jak będziemy mieli szczęście, ktoś sobie o tym przypomni, a wtedy się dowiemy. I zabójca będzie nasz. I będziemy mogli zamknąć sprawę!

Münster nie odpowiedział.

– Nie sądzę jednak, żebyśmy mieli aż tak cholerne szczęście, czuję to przez skórę. W każdym razie sprawdź, jak to funkcjonuje na poczcie: kto rozdziela listy, czy trafiają do różnych skrzynek i tak dalej. Załatw kopertę, jakiej używają w Majornie, chociaż to pewnie zwykła koperta. I bądź ostrożny, nie chcę, żeby zbyt wiele osób wiedziało o tym liście.

– Ilu jest tam nauczycieli? – spytał Münster.

Van Veeteren skrzywił się.

– Chyba siedemdziesięciu. I dostają tygodniowo jakieś pół tony przesyłek pocztowych.

Münster nie był pewien, czy to nie zbyt duża przesada.

– A co z uczniami? – spytał.

– Jest ich siedmuset – westchnął Van Veeteren. Listy nie

przychodzą do nich na adres szkoły, ale aż siedmiuset... cholera!

– Czytałem kiedyś pewien kryminał – powiedział Münster. – Głównym bohaterem był uczeń, który zaczął zabijać jednego nauczyciela za drugim. Zdążył ich zabić dziewięciu i dopiero wtedy go złapano.

– Wiem. Mnie też przyszło to na myśl, kiedy tam byłem.

– Co będziemy robić potem? Sprawdzać alibi poszczególnych osób?

– Tak. Musimy przesłuchać każdego nauczyciela. Niech Reinhart mocno ich przycisnie. Od popołudnia w czwartek do rana w piątek. Jeśli ktoś będzie podejrzany, należy go przymknąć.

– Czy dotyczy to też zabójstwa Ewy Ringmar? A może wystarczy nam to, co mamy?

– Popytaj ich jeszcze raz, nie zaszkodzi. A jak się okaże, że któreś z nich miało możliwość popełnienia obu tych zbrodni, zachowuj się spokojnie, ja też bym chciał z taką osobą porozmawiać.

Sięgnął po kufel z piwem i dopił do dna.

– No dobra, wypijesz jeszcze jedno?

Münster potrząsnął głową.

– No tak, chyba jest już trochę późno. Niech Rooth i deBries robią swoje w Majornie, a potem niech pochodzą po sąsiadach. No i Bendiksen. Prędzej czy później musimy się przecież dowiedzieć, co się stało z Evą Ringmar.

– A co pan będzie robił?

Münster mimowolnie zaczął zwracać się do Van Veeterena służbowo. Inspektor siedział przez chwilę w milczeniu.

– Najpierw muszę się wybrać do jakiegoś perukarza. Czy wiesz, że w tym mieście można kupić albo wypożyczyć włosy w jedenastu

różnych miejscach?

– Nie miałem pojęcia.

– A poza tym zamierzam połączyć ze sobą kilka luźnych wątków – dodał Van Veeteren, wrzucając niedopałek do kufla. – Wiesz, co o tym myślę?

– Nie.

– Myślę, że to brudna sprawa. Naprawdę paskudna.

Postanowił, że pojedzie przez wrzosowiska. Wprawdzie będzie musiał nadłożyć godzinę jazdy, ale dzisiaj tego dodatkowego czasu potrzebował.

Samotny za kierownicą, z muzyką Juliana Breama i Tárregi w słuchawkach, w dzikiej i pustej okolicy, która miała go chronić przed zbyt natarczywą rzeczywistością. Właśnie tak to sobie mniej więcej wyobrażał. Samochód też wybrał po pewnym namyśle, była to czerwona toyota z zaciemnionymi szybami i głośnikami o dużej mocy, z przodu i z tyłu.

Już o ósmej był w drodze. Ranek był mglisty i ciemny. Wprawdzie później mgła trochę się przeczepiła, ale jej wilgotne, szare kłęby jakoś nie chciały unieść się w górę. Kiedy zatrzymał się na lunch w zajeździe w Moines, wieś nadal spowita była ciężką chmurą mgły, która zdawała się nadciągać znad wrzosowisk. Domyślił się, że to jeden z tych dni, kiedy światło nie zdoła się przebić. Nigdy nie pokona ciemności.

Zamówił rybę z dużą ilością cebuli i wino, a jego myśli krążyły wokół wydarzeń poprzedniego dnia i niewielkich efektów. Przez ponad osiem godzin rozmawiał z pracownikami sklepów z perukami. Była to męcząca i monotonna praca, którą mógł wprawdzie zlecić komuś innemu, ale w końcu zdecydował, że sam się do niej weźmie. Kiedy skończył, zasiadł przy biurku i podsumował efekty swych

starań, stwierdził, że żaden ze sklepów w ciągu minionego tygodnia nie sprzedał, nie wypożyczył ani nie zagubił peruki, która mogłaby przypominać tę, którą miał na sobie sprawca zbrodni popełnionej w Majornie.

Z drugiej strony wcale tego nie oczekiwał. No bo dlaczego tak inteligentna i wyrachowana osoba – bo wszystko wskazywało na to, że kimś takim był sprawca zabójstwa – miałyby postępować tak bezmyślnie? W każdym razie musiał sprawdzić i ten trop. Teraz miał to już za sobą.

Rozmowy z lekarzem, który przeprowadzał sekcję zwłok, i z technikiem laboratoryjnym też nie doprowadziły do żadnego przełomu. Obserwacje, które poczynił Meusse, potwierdziły się w najmniejszym szczególe, a tak zwana analiza odkurzacza też nie dała żadnych wyników, jakby miejsce zbrodni było w rzeczywistości oddziałem operacyjnym w klinice, a nie oddziałem, gdzie stosowano długotrwałą terapię psychiatryczną.

Tymczasem wieczorem trochę się rozjaśniło, choć nie miało to nic wspólnego z dochodzeniem. Chciał się właśnie położyć do łóżka, gdy zadzwoniła Renata. Oznajmiła mu, że pomysł na to, żeby znowu zamieszkali razem, nie należy chyba do najlepszych. W każdym razie nie trzeba się z tym spieszyć. Na wszystko jest czas, dodała, a on po raz pierwszy się z nią zgodził. Zakończyli tę rozmowę w jak najlepszej komitywie, a jej udało się nawet wyciągnąć z niego obietnicę, że kiedy tylko znajdzie na to czas, odwiedzi w więzieniu ich marnotrawnego syna.

Po południu wjechał na wijące się drogi biegnące wzdłuż rzeki, podczas gdy mgła i ciemność stawały się coraz gęstsze. Doszedł do

wniosku, że w obu zbrodniach kryje się coś szczególnego, coś, co przez cały czas go dołowało i napawało niesmakiem. Było to uczucie obrzydzenia i bezsilności, przypominało mu ono to, czego zazwyczaj doświadczał, kiedy miał do rozwiązania kolejną zagadkową zbrodnię, gdy jako młody policjant wciąż wierzył, że dokona wielkich zmian. Jednak codzienny kontakt z różnymi ludzkimi zachowaniami uczynił go zbyt otępiałym, aby mógł przejmować się swoją robotą.

W ślad za tym nawiedzała go myśl, że więcej wie, niż rozumie. Że jest jakaś kwestia, jakaś myśl przewodnia, którą powinien wychwycić i zbadać bliżej, lub też jakieś powiązania, które pominął, a które po wyciągnięciu na światło dzienne mogą okazać się kluczem do rozwiązania całej zagadki.

Było to jednak ulotne uczucie, może nawet jakaś fałszywa nadzieja w zastępstwie czegoś innego. Bez względu na to, czym było, nie pomogło mu w rozjaśnieniu tych mrocznych zakamarków. Pozostała tylko jazda w ciemnościach. Z drugiej strony czuł narastający niepokój: że wszystko będzie trwać zbyt długo, że znowu podąży w niewłaściwym kierunku, że zło okaże się o wiele potężniejsze, niż gotów jest się przyznać.

Zło? Nie lubił konfrontacji z tym pojęciem.

Kobieta, która otworzyła mu drzwi, miała gęste, rude włosy i wyglądała, jakby za chwilę miała rodzić.

– Nazywam się Van Veeteren – powiedział. – To ja wczoraj dzwoniłem. Mam przyjemność z panią Berger?

– Witam – uśmiechnęła się kobieta i jakby czytając w jego myślach, dodała: – Proszę się nie niepokoić, to dopiero ósmy miesiąc. Za każdym razem tak wyglądam.

Wzięła od niego płaszcz i wprowadziła go do przedpokoju.

Przedstawiła mu dzieci – chłopca w wieku czterech lub pięciu lat i o dwa lata młodszą dziewczynkę. Van Veeteren już od dawna nie potrafił ocenić, ile lat mogą mieć tak małe dzieci.

Pani Berger zawołała coś w stronę schodów, a jakiś głos odpowiedział jej, że już schodzi. Potem wskazała mu bujany fotel stojący przy kominku i przeprosiła, że musi wyjść do kuchni. Chłopiec i dziewczynka obserwowali go przez chwilę, a potem postanowili iść za matką.

Na chwilę został w pokoju sam. Po minucie mógł stwierdzić, że w domu pani Berger na pewno nie brakuje pieniędzy. Dom stał w pewnej odległości od osiedla, pośród przyrody i dorodnych sosen. Van Veeteren nie zdążył wyrobić sobie zdania na temat otoczenia domu, ale jego wnętrze świadczyło o dobrym smaku gospodarzy i o możliwościach finansowych, dzięki którym można było ten smak zaspokoić.

Przez chwilę żałował, że przyjął zaproszenie. Przesłuchiwanie osoby, która zaprasza nas na kolację, nie należy do miłych obowiązków. Nie kąsa się ręki, która nas karmi, pomyślał, bo o wiele łatwiej jest wbić w kogoś wzrok, siedząc przy kiwającym się stoliku w brudnym pomieszczeniu aresztu.

Miał jednak nadzieję, że sobie poradzi. Nie zamierzał oczywiście wziąć pana Andreasa Bergera w krzyżowy ogień pytań, chociaż sprawiłoby mu to przyjemność. Przyjechał tutaj, żeby wyrobić sobie zdanie, tak... tylko po to. Ale czyż nie o to chodzi? Bo chociaż z szacunkiem podchodził do oceny wyrażonej przez Münstera, a szacunek ten był o wiele większy, niż Münster mógłby sobie wyobrazić, to jednak zawsze istniała pewna szansa, możliwość, że i on sam coś odnajdzie. Coś, przy czym wymagany jest bystry umysł,

jakaś intuicja lub też szczególnego rodzaju perwersyjna fantazja.

W każdym razie co dwie pary oczu, to nie jedna.

Na przykład ten chłopiec: czy nie jest najstarszy z dzieci? Hm, może więc powinien sprawdzić, czy nowa pani Berger nie zaszła w ciążę, zanim poprzednia pani Berger nie rozeszła się z mężem tak jak należy? Zdecydowanie coś w tym musi być...

Andreas Berger wyglądał mniej więcej tak, jak Van Veeteren go sobie wyobrażał. Wysportowany, swobodny, około czterdziestki; miał na sobie sweterek polo, marynarkę i spodnie z manchesteru. Typowy wygląd inteligenta.

Van Veeteren pomyślał sobie, że to wzór mężczyzny sukcesu. Facet mógłby wystąpić w każdym filmie reklamowym i reklamować wodę po goleniu, dezodoranty, karmę dla psów czy polisy dla emerytów. Był cholernie przystojny.

Kolacja trwała półtorej godziny. Rozmowa toczyła się płynnie, a po deserze pani domu wraz z dziećmi wyszła do innego pokoju, podczas gdy panowie przenieśli się na bujane fotele. Pan Berger częstował Van Veeterena różnymi smakołykami, ale inspektor zadowolili się whisky i papierosem.

– Muszę jeszcze dojechać do hotelu – usprawiedliwił się przed gospodarzem.

– A może pan u nas przenocuje? Mamy w domu mnóstwo miejsca.

– Ani przez chwilę w to nie wątpiłem – odparł Van Veeteren. – Ale już się rozgościłem w moim pokoju, a najchętniej zasypiam tam, gdzie znajduje się moja szczoteczka do zębów.

Berger wzruszył ramionami.

– Poza tym rano muszę wcześniej wstać – dodał Van Veeteren. –

Czy moglibyśmy już przejść do rzeczy?

– Oczywiście. Proszę śmiało pytać, panie komisarzu. Jeśli będę mógł pomóc panu w rozwikłaniu tej sprawy, chętnie to uczynię.

No nie, pomyślał Van Veeteren. Jeszcze mi nikt nie zarzucił, że boję się zadawać pytania. Sprawdzimy, czy ty nie boisz się na nie odpowiedzieć.

– Jak pan się dowiedział, że Eva jest panu niewierna?

Van Veeteren uderzył na ślepo, ale od razu zauważył, że to był strzał w dziesiątkę. Berger tak się wzdrygnął, że kawałek lodu, który chciał właśnie wrzucić do szklanki, upadł mu na podłogę.

– Cholera – zaklął, próbując znaleźć lód w dywanie utkanym z długiego włosia.

Inspektor spokojnie czekał na jego odpowiedź.

– Co pan, do diabła, ma na myśli?

Berger wypowiedział te słowa w tak naiwny sposób, że Van Veeteren aż się uśmiechnął.

– Sam pan się domyślił, czy o wszystkim panu opowiedziała? – spytał.

– Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

– A może ktoś panu doniósł?

Berger zawahał się przez chwilę.

– Kto panu o tym powiedział?

– Chyba lepiej będzie, jak zaczniemy przestrzegać pewnych reguł – odparł Van Veeteren. – I to mimo tego, że zaprosił mnie pan na smaczną kolację.

– Jakich reguł?

– Że to ja zadaję pytania, a pan na nie odpowiada.

Berger zamilkł. Przez chwilę popijał alkohol małymi łykami.

– Był pan niezwykle miły – stwierdził Van Veeteren, wykonując przy tym zamaszysty gest, w którym zawarte było jedzenie, whisky, wino i kominek – ale teraz oczekuję od pana odpowiedzi!

– No dobrze – odparł Berger. – Rzeczywiście, w jej życiu był jakiś mężczyzna... faktycznie.

– Nie jest pan pewien?

– Nigdy nie udało mi się tego... potwierdzić.

– Chce pan powiedzieć, że nie przyznała się do tego?

Berger roześmiał się.

– Przyznała? Nie, absolutnie. Zaprzeczała tak energicznie, jakby chodziło o jej życie.

Może właśnie o to jej chodziło, pomyślał inspektor.

– Może mi pan o tym opowiedzieć?

Berger odchylił się i zapalił papierosa. Kilka razy zaciągnął się i dopiero wtedy odpowiedział. Widać było, że musi sobie to wszystko jakoś poukładać w głowie. Van Veeteren czekał cierpliwie.

– Kiedyś ich widziałem. Było to wiosną 1986 roku, mniej więcej w marcu albo kwietniu. Razem widziałem ich dwa razy i mam powody sądzić, że od czasu do czasu spotykali się i że trwało to przynajmniej do połowy maja. Było coś... zauważyłem to po niej, oczywiście. Nie należała do kobiet, które potrafiły zachować coś w tajemnicy, wszystko miała jakby wypisane na twarzy, niczym jakieś szaleństwo. Chyba pan rozumie, co mam na myśli?

Van Veeteren skinął głową.

– Czy może mi pan powiedzieć, kiedy się to dokładnie zaczęło?

– Na Wielkanoc. Zobaczyłem ich w Wielki Czwartek w 1986 roku, ale nie pamiętam dokładnie daty. To był zwykły przypadek, później nawet się nad tym zastanawiałem. Zobaczyłem ich w samochodzie,

w czasie przerwy na lunch. Musiałem wtedy przejechać przez całe miasto, żeby spotkać się z pewnym naukowcem w Irgenau, a oni siedzieli na skos ode mnie, z przodu, w innym samochodzie.

– Jest pan pewien, że to była pańska żona?

– Na sto procent.

– A tamten mężczyzna?

– Chce pan wiedzieć, jak wyglądał?

– Tak.

– Nie wiem. To on prowadził. Eva siedziała obok niego, widziałem jej profil, a jeśli chodzi o niego, widziałem tylko barki i kark. Stali na prawym pasie, a ja musiałem jechać prosto... Kiedy zapaliło się zielone światło, skręcili. Nie miałem szans, żeby za nimi pojechać, nawet gdybym chciał. Wydaje mi się, że... że byłem trochę zszokowany tym widokiem.

– Zszokowany? A skąd pan mógł wiedzieć, że chodzi o... zdradę? Czy pańska żona nie mogła po prostu jechać samochodem w jakiejś zwykłej sprawie?

– Oczywiście, nawet sobie to wmawiałem. Ale kiedy ją później o to zapytałem, jej reakcja była jednoznaczna.

– To znaczy?

– Moje pytanie strasznie ją wzburzyło. Twierdziła, że przez cały dzień była w domu, że mi się coś przywidziało albo że kłamię, bo chcę zniszczyć nasz związek. No i mnóstwo podobnych twierdzeń.

– A może mówiła prawdę?

– Nie... Zacząłem oczywiście wątpić w to, co zobaczyłem, ale dwa tygodnie później sytuacja się powtórzyła. Kolega z pracy zobaczył ich razem w kawiarni. Było to dla mnie bardzo bolesne przeżycie... Kolega powiedział mi o tym jakby mimochodem, w formie żartu, ale

obawiam się, że straciłem wtedy panowanie nad sobą.

– I jak na to zareagowała pana żona?

– Podobnie jak przedtem. I to mnie właśnie zdziwiło. Zaprzeczyła i znowu się zdenerwowała, powiedziała, że mój kolega to kłamca i że nigdy nawet jej stopa nie stanęła w tamtej kawiarni. Wszystko to było takie oczywiste. Myślę, że te kłamstwa były poniżej jej godności... tym bardziej że kłamała kilka razy. Powiedziałem jej wtedy, że o wiele gorzej jest, jeśli ma się do czynienia z kłamstwami niż ze zdradą... a najdziwniejsze było to, że zdawała się przyznawać mi rację.

– Co się stało potem?

Berger wzruszył ramionami.

– Nasz związek funkcjonował coraz gorzej, to oczywiste. Stała się dla mnie jak obca, chyba tak to mogę określić. Zastanawiałem się nad tym i zadawałem sobie różne pytania, jej zresztą też, ale nie chciała o tym rozmawiać. Za każdym razem, kiedy wracałem do tego tematu, zamykała się jak muszla... Dla mnie były to dwa okropne miesiące. A potem zrobiło się jeszcze gorzej, nigdy bym się tego nie spodziewał. Byliśmy małżeństwem od pięciu lat, znaliśmy się od dziesięciu i nigdy wcześniej do takich sytuacji nie dochodziło. Czy pan jest żonaty, panie komisarzu?

– W pewnym sensie.

– Aha... rozumiem. Tak więc w końcu zacząłem wierzyć, że chyba się jednak pomyliłem. Czułem, że cała sprawa zaczyna się obracać na jej korzyść, w pewnym sensie... Tak jakbym to ja był przyczyną wszystkiego, bo to ja ją oskarżyłem. Wiem, że uważałem wtedy, że zaczyna to przypominać prawdziwe *folie á deux*. Nie wiem, czy rozumie pan...

- Pan mnie nie docenia.
- Przepraszam...
- Powiedział pan, że przyłapał ją pan kilka razy?
- Tak, ale nigdy w takich samych okolicznościach. Gdzieś mi mignęła... jakieś strzępy rozmów...
- A słyszał pan, o czym rozmawiali?
- Nie, ale to, co usłyszałem, mi wystarczyło.
- Rozumiem.
- Kilka razy przyłapałem ją na kłamstwach, twierdziła na przykład, że siedziała w domu, chociaż byłem tam w porze lunchu i dom był pusty, albo że była w kinie z przyjaciółką, na filmie, który zszedł z ekranu tydzień wcześniej...
- I jak to skomentowała?
- Nigdy nie dążyłem do konfrontacji, po prostu nie wiedziałem, co mam robić. Głównie chyba czekałem, aż sprawa sama się rozwiąże. Cała ta sytuacja wydawała mi się taka nierzeczywista, że nie wiedziałem, jak mam postąpić.
- Czy rozmawiał pan o tym z kimkolwiek?
- Nie, niestety. Miałem nadzieję, że to się wreszcie skończy, że sami sobie z tym poradzimy.
- Van Veeteren skinął głową.
- Czy to obraz Vrejsmana? – spytał, wskazując na dużą akwarelę wiszącą nad kominkiem.
- Tak, to on – odparł Berger zdziwiony. – Czy pan jest znawcą sztuki?
- Tak – odparł Van Veeteren. – Znam się na twórczości Rembrandta i Vrejsmana. Vrejsman to mój wuj. Czy jest pan absolutnie pewien?

– Czego? Nie rozumiem.

– Że pana zdradzała? Może chodziło o coś innego?

– Na przykład o co?

Van Veeteren rozłożył ręce.

– Proszę mnie nie pytać. Z drugiej strony cała ta sprawa nie była dla pana kompromitująca, w końcu nie zastał ich pan *in flagranti*.

– Sądziłem, że to nie jest konieczne.

– A dlaczego nie opowiedział pan o tym wszystkim wcześniej, na przykład Münsterowi?

Berger zawahał się.

– Nigdy mnie o to nie pytał. Poza tym wydawało mi się, że nie ma to żadnego znaczenia. Zresztą, nadal tak myślę.

Van Veeteren zamilkł. Berger trochę się zdenerwował i było to po nim wyraźnie widać. Najchętniej zamknąłby go na noc w areszcie, żeby rano przedstawić mu kolejną serię pytań. Takie posunięcie bardzo by mu pomogło. Gdy się tak zastanawiał, co powinien zrobić, pojawiła się pani Berger, która poinformowała męża, że ktoś do niego dzwoni.

Diabeł chroni swoich, pomyślał Van Veeteren. Berger wyszedł, a on przez następne dziesięć minut spoglądał na żar w kominku i coraz słabsze płomienie, a jednocześnie rozmyślał o własnych zdradach.

W sumie były dwie. Ostatniej dopuścił się osiemnaście lat temu i zakończyła się ona równie fatalnie jak pierwsza. Jego małżeństwo też zresztą było nieudane, ale przynajmniej oboje się nie krzywdzili.

A może rozsądnie byłoby poruszyć mimochodem kwestię małżeństwa Bergera z Evą Ringmar? Postanowił, że w oczekiwaniu na następną rundę pozwoli sobie na jeszcze trochę whisky... Musi się

postarać, żeby mieć ją z głowy jeszcze szybciej niż pierwszą. Zegar wiszący nad kominkiem wskazywał wpół do dziesiątej, a chociaż nie miał zwyczaju poddawać się konwenansom, uznał, że istnieją jednak pewne granice.

Zapalił papierosa, a cztery inne wsadził do kieszeni.

– Czy może mi pan coś opowiedzieć o tym wypadku? – spytał Van Veeteren. – Obiecuję, że potem nie będę pana już dłużej męczył.

Berger podszedł do kominka i przerzucił żarzące się węgle. Przez chwilę siedział w milczeniu z rękoma między kolanami i wzrokiem wbitym w ogień.

– To było pierwszego czerwca. Sobota. Byliśmy zaproszeni do Molnarsa, mojego kolegi z pracy, który ma dom nad jeziorem Maaren. Mieliśmy u niego zostać na noc. Kiedy chcieliśmy zasiąść do stołu, zauważyliśmy, że nie ma Williego. Niedawno skończył cztery lata... Molnars miał dwoje dzieci, były o kilka lat starsze od naszego syna. Cała trójka bawiła się w ogrodzie. Willie powiedział, że musi iść do toalety. Znaleźliśmy go dopiero w niedzielę przed południem... Jacyś wędkarze wyciągnęli go z wody... Prąd zniósł ciało prawie trzy kilometry dalej...

Berger umilkł i zapalił papierosa.

– Jak daleko od jeziora stoi dom?

– Niecałe sto metrów. Wcześniej się w nim kąpaliśmy, ale Willie wiedział, że nie wolno mu tam iść samemu.

– Czy przeprowadzono porządne dochodzenie?

– Tak, ale o czym tu mówić? Willie poszedł prawdopodobnie na pomost i wpadł do wody. Miał na sobie ubranie, więc nie zaczął się kąpać sam. Panie komisarzu, czy musimy przez to znowu

przechodzić? Wszystko opowiedziałem już pana koledze... Münsterowi... tak ma na nazwisko?

Van Veeteren skinął głową.

– A czy może mi pan powiedzieć, jak zareagowała pańska żona? Rozumiem, że to dla pana nic miłego, ale proszę nie zapominać, że szukam mordercy. Ktoś zabił pana byłą żonę, ktoś zabił Janka Mittera, jej nowego męża, musiał być jakiś powód. Niestety, musimy rozważyć wszystkie możliwe wątki.

– Rozumiem. Mam nadzieję, że pan wie, jaka to trauma, kiedy się traci dziecko. Z tym, że umierają dorośli, można się jeszcze jakoś pogodzić, nawet jeśli dzieje się to nagle i nieoczekiwanie, ale kiedy spotyka to chłopca w wieku czterech lat... Cóż, wtedy wszystko staje się... naprawdę wszystko... wtedy wszystko traci swój sens.

– Rozumiem, że pańska była żona przeżyła to najgorzej?

– Tak – potwierdził Berger.

Nastąpiła chwila przerwy. Berger nalał do szklanki trochę whisky.

– Napije się pan?

Van Veeteren potrząsnął przecząco głową. Berger włożył szczypcę do pojemnika z lodem, ale nic nie wyłowił. Odłożył je więc na stół i posłużył się palcami. Wrzucił do szklanki z alkoholem trzy albo cztery na wpół stopione kawałki lodu i oblizał palce.

A gdzie dobre wychowanie? – pomyślał Van Veeteren.

– Jeśli chodzi o Evę... – zaczął Berger. – Całkowicie straciła kontrolę nad sobą, tak to chyba można określić.

– Jak?

– Wpadła w histerię, zachowywała się jak szalona. Nie można było z nią porozmawiać ani wydobyć z niej jednego mądrego słowa. Chciała odebrać sobie życie, więc dzień i noc musieliśmy jej

pilnować. No i wmuszać w nią lekarstwa.

– Ile to trwało?

– Całe lato. To było prawdziwe piekło, panie komisarzu. Przez to ja sam nie miałem jak opłakiwać syna, bo wszystkie siły przeznaczałem na podtrzymywanie Ewy przy życiu. A ponieważ to ja byłem silniejszy, musiałem sam ciągnąć ten wózek. Sądzę jednak, że takie są właśnie warunki...

W tym momencie Berger roześmiał się.

– Nie chciałbym, żeby tamten rok, 1986, kiedykolwiek się powtórzył. Wszystko zdarzyło się właśnie w tamtym roku. Może powinienem był iść do astrologa i sprawdzić horoskop? Musiały wtedy powstać jakieś straszliwe koniunkcje planet i gwiazd.

– Gdzie przebywała wtedy Eva, w domu czy w szpitalu?

– I tu, i tam... Na początku głównie w szpitalu. Przecież trzeba jej było pilnować cały czas... Zresztą ja też tam przeważnie siedziałem. Stopniowo zacząłem ją zabierać do domu na coraz dłużej, ale nigdy nie odważyłem się zostawić jej samej. Do pracy wróciłem dopiero w październiku.

– Ale w końcu jej się polepszyło?

– Tak, kiedy skończyło się lato, w każdym razie zauważyłem wtedy, że nie myśli już o samobójstwie.

– Czy rozmawialiście jeszcze o wypadku?

– Nigdy. Oczywiście, że próbowałem, ale nigdy mi się nie udało. Nigdy nie wymienialiśmy jego imienia. Eva zmusiła mnie, żebyśmy wyrzucili wszystkie jego rzeczy... z wyjątkiem kilku, które schowałem dla siebie. Wyglądało to tak, jakby Willie nigdy nie istniał, jakby chciała zabić pamięć o nim.

– A zdjęcia?

- Tak samo... Dałem je koledze, żeby mi je przechował.
- Czy nie uważa pan, że jej reakcja była dziwna?
- Oczywiście, że tak. Rozmawiałem z kilkoma psychologami i psychiatrami i twierdzili oni, że jej zachowanie ma podłoże psychiczne. Jednak w porównaniu z tym, co się działo latem, nastąpiła poprawa. W niektóre dni potrafiła zachowywać się prawie nienagannie.
- Czy ktoś udzielał jej pomocy?
- Psychiatrycznej? Przez cały czas.
- A kiedy zaczęła pić?
- Chyba wtedy, kiedy wróciłem do pracy, może trochę wcześniej. Dopiero kiedy została w domu sama, zaczęło się na dobre.
- Dlaczego nie poszła do pracy?
- Rozmawialiśmy o tym... Nie pracowała, od kiedy urodził się Willie. Myślałem, że będzie jej lżej, jeśli będzie miała się czym zająć w ciągu dnia. Ona chyba też tak uważała, ale odsuwaliśmy to na przyszłość. W każdym razie nie za bardzo nadawała się do tego, żeby znowu stanąć za katedrą.
- Zazwyczaj nie stanowi to żadnej przeszkody – powiedział Van Veeteren, a Berger uśmiechnął się szybko.
- Czy piła coraz więcej?
- Tak. Szybko to poszło... Nagle stała się po prostu jak gąbka. Każdego dnia, kiedy wracałem do domu, była pijana w sztok... Była w stanie wypić cztery albo pięć butelek wina, to było straszne. W listopadzie, tak, to było chyba wtedy, zrozumiałem, że dłużej się już tak nie da. Powoli zapijała się na śmierć, po prostu. Zadzwoiłem do jednego z moich dobrych znajomych w Rejmershus i natychmiast przyjęto ją na oddział. Myślę, że to ją uratowało, bo rzeczywiście jej

tam pomogli. Została tam aż do maja 1987, a gdy wróciła do domu, zaczęła funkcjonować jak kiedyś.

– Kiedy doszło do rozwodu?

– W kwietniu. To ona się tego domagała i była w tym względzie nieugięta. Od samego początku, kiedy było z nią najgorzej, chciała rozwodu... Tak to było, cholera.

I nagle głos mu się załamał. Chyba już wystarczy, pomyślał Van Veeteren. Zaczął szukać w kieszonce wykałaczki, ale zamiast niej znalazł papierosa. Zapalił go i czekał na to, co zrobi Berger. Ale ten milczał.

– To musiał być dla pana cholernie ciężki okres – powiedział w końcu Van Veeteren. – Niewierna żona, wypadek syna, szaleństwo żony... W końcu dzięki panu wraca do normalnego życia. W podziękowaniu za to żąda rozwodu...

Berger roześmiał się sucho.

– Kochał ją pan?

– A jak pan myśli?

– Długo to trwało?

– Mniej więcej do listopada. W końcu miałem już po dziurki w nosie jej pijaństwa, rzygania i poniżania mnie.

– Rozumiem.

– Na przełomie stycznia i lutego zacząłem mieć znowu nadzieję, kiedy zobaczyłem, że jest z nią lepiej, chociaż wtedy...

– Co takiego?

– Wtedy spotykałem się już z Leilą.

Van Veeteren skinął głową. Siedział w milczeniu i przez chwilę się zastanawiał, a potem wstał z fotela. Ostatnie pytania zadał, stojąc, podczas gdy Berger nadal siedział, sączył whisky ze szklanki

i wpatrywał się w kominek.

Męczy go to, pomyślał Van Veeteren. Wszystko to ciągle w nim jeszcze żyje.

– Czy zna pan psychiatrę, który nazywa się Eduard Caen?

– Tak, to on opiekował się Evą w Rejmershus. Potem chyba też, jak sędzę.

– Co pan o nim myśli?

– Bardzo zdolny, z tego co wiem. Ale spotkałem go tylko w przelocie.

– Aha, a tamten mężczyzna, którego pan podejrzewał o to, że ma romans z pana żoną, czy kiedykolwiek później znowu się pojawił?

– Nie... już więcej go nie widziałem.

– Czy rozmawiał pan z nim?

– Nie.

– A czy wie pan o jakichkolwiek innych mężczyznach, którzy pojawili się w jej życiu?

– Po rozwodzie czy przed nim?

– I przed, i po.

– Potem... potem nie było żadnego. Przedtem... tak, kiedy się poznaliśmy, miała dwadzieścia dwa lata i była prawie zupełnie niewinna. Nie, niestety, nie mogę panu więcej pomóc, panie komisarzu. To znaczy, nie sędzę, żeby ich było aż tylu.

Van Veeteren wzruszył ramionami.

– W takim razie bardzo panu dziękuję. Jeśli przypomni pan sobie coś, co uzna pan za ważne, proszę się ze mną skontaktować.

Podał mu swoją wizytówkę, a Berger wyjął portfel i schował ją do środka. Wstał z fotela, a wtedy Van Veeteren zauważył, że Berger jest trochę pijany. W tym momencie nie uosabiał już mężczyzny sukcesu.

W oczach inspektora był raczej typem człowieka ogarniętego rozpaczą.

W korytarzu stali jeszcze przez chwilę. Berger podał mu rękę i próbował zapanować nad sobą.

– Mam nadzieję, panie komisarzu, że pan go znajdzie. Mam nadzieję, że wsadzi pan za kraty bydlaka, który to zrobił.

Ja też mam taką nadzieję, pomyślał Van Veeteren, podnosząc kołnierz płaszcza.

Było kilka minut po dziewiątej, kiedy Münster i Reinhart zaparkowali samochód na ulicy, przy której znajdowało się gimnazjum Bunge. Nad potężnym gmachem ścieliło się szare światło poranka, podwórze było puste i ciche, co w pewnym momencie zakłóciło pojawienie się woźnego, pchającego taczkę pełną połamanych krzeseł. I nagle Münster poczuł silne obrzydzenie. Z trudem wyobraził sobie, że w środku jest siedmiuset uczniów. Światło świeciło się wszędzie, ale w bladożółtych, wysokich oknach nie było widać śladu życia. Wokół wież i kominów tkwiących w stromych dachach krążyły stada kawek, które darły się na cały głos.

– O rany – powiedział Reinhart. – Chodziłeś do tej szkoły?

Münster potrząsnął głową.

– Ja też nie. Całe szczęście, bo czuję się tu, jakby mnie pogrzebano w kamieniołomie. A te biedaki siedzą tutaj dzień w dzień!

Przez kilka minut nie wychodzili z samochodu. Reinhart wytrząsał fajkę i omawiał z Münsterem dalszą strategię działania. Wspólne działanie zawsze przynosiło im korzyści.

Skulili się przed wiatrem i szybko przebiegli przez podwórze.

– Czy pomyślałeś, że w tej właśnie chwili w którejś z sal nasz morderca przepytuje uczniów? – spytał Reinhart. – Wiesz, co powinniśmy zrobić?

Münster nie odpowiedział.

– Powinniśmy wziąć megafon i ogłosić, że otoczyliśmy cały budynek, a morderca powinien się poddać i wyjść do nas. Pomyśl, ile by nam to zaoszczędziło czasu.

Münster skinął głową.

– Masz ze sobą megafon?

– Nie.

– Szkoda. Musimy więc przepytac Suurnę.

Dyrektor Suurna miał na sobie ciemny garnitur i widać było, że na nich czekał. Na stole stała już taca z kawą, a na biurku z czerwonego dębu każdy przedmiot leżał na swoim miejscu.

– Dzień dobry, panie dyrektorze – powitał go Münster. – My się już znamy. A to mój kolega, Reinhart.

– Jaka straszna historia – powiedział Suurna. – Muszę przyznać, że jestem głęboko zszokowany. I zaniepokojony.

Gestem ręki poprosił ich, żeby usiedli w fotelach, ale sam nadal stał.

– Miałem zamiar zebrać uczniów w ciągu dnia w auli i powiedzieć kilka słów, ale jeszcze sobie tego nie ułożyłem. A może panowie też chcieliby coś powiedzieć? Cała ta historia jest straszna. Niezwykle straszna!

Niezwykle straszna? – pomyślał Münster. Facet ma chyba kłopoty z wysławianiem się.

– Panie dyrektorze – powiedział Reinhart. – Chciałbym pana prosić, aby pan w związku z tą sprawą nie podejmował żadnych działań, dopóki nie otrzyma pan naszej zgody. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że prawdopodobieństwo, iż morderca znajduje się w tym budynku, jest niezwykle wysokie.

Suurna zbladł.

– Omówimy teraz tę sprawę z panem, zajmie nam to mniej więcej pół godziny. Zakładam, że będzie pan z nami współpracował.

– Oczywiście, ale czy panowie są najzupełniej pewni...

– Nasza rozmowa ma charakter poufny – przerwał mu Münster. – Nie wolno panu pisać ani słówkiem o tym, o czym będziemy tu rozmawiać. Czy ma pan coś przeciwko temu?

– Nie... oczywiście, że nie, ale...

– Procedury zobowiązują nas do milczenia – stwierdził Reinhart.

– Musimy panu na sto procent zaufać – dodał Münster.

– I dlatego musi pan przestrzegać naszych poleceń co do joty.

Suurna usiadł w fotelu i zaczął nerwowo szczypać kant spodni. Przez chwilę Münster chciał go zapytać, co robił w czwartek wieczorem, ale już dawno to sprawdził.

– Oczywiście, oczywiście, jestem do panów dyspozycji – oznajmił dyrektor. – Ale chyba nie sądzicie panowie, że... że to może być ktoś z naszych... Nigdy by mi to nie przyszło do głowy...

– Dziękuję, to mi wystarczy – powiedział Münster. – Czy może pan dopilnować, żeby przez trzydzieści minut nam nie przeszkadzano? Przynajmniej przez te pół godziny?

– Oczywiście.

Suurna podniósł się z fotela, podszedł do biurka i nacisnął jakiś guzik. Münster zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli.

– Czy ma pan kawę? – spytał Reinhart.

Niezły początek, pomyślał.

– Ilu nauczycieli liczy ciało pedagogiczne? – spytał Münster.

– Chodzi panu o wszystkich?

– O wszystkich razem.

– To zależy, jak będziemy liczyć... Mamy około pięćdziesięciu osób zatrudnionych na stałe, na pełny etat albo na część etatu, i około piętnastu do dwudziestu zatrudnionych na godziny. Dotyczy to głównie mniej popularnych języków, jak suahili, hindi, fiński...

– Chcielibyśmy jutro wszystkich przesłuchać – powiedział Reinhart. – Zaczniemy o dziewiątej i będziemy kontynuować do...

– To niemożliwe! – zawołał Suurna. – Jak pan to sobie wyobraża? Przecież nie mogę...

– Jakoś pan to załatwi – przerwał mu Münster. – Proszę nam dostarczyć listę wszystkich zatrudnionych. Chcemy ich jutro przesłuchać według określonego porządku. Kto tu jeszcze pracuje?

– Co?

– Pytam, kto tu jeszcze pracuje. Chodzi mi o inny personel niż nauczyciele.

– Aha... No więc kierownictwo szkoły, oczywiście... ja sam i Eger, mój zastępca do spraw nauczania... pracownicy administracji... lekarz szkolny i pielęgniarka... portierzy... pedagog, psycholog, doradca do spraw kariery zawodowej...

– W sumie ile to osób?

– Dwadzieścia kilka.

– Czyli w sumie zatrudnia pan około osiemdziesięciu osób – policzył Münster. – Nas będzie czterech, więc nie powinno być żadnych problemów. Proszę dla nas zarezerwować cztery oddzielne pomieszczenia, gdzie będziemy mogli przeprowadzić nasze czynności, najlepiej, gdyby z sobą sąsiadowały.

– A co z lekcjami... – zaczął Suurna.

– ...poproszę też o cztery listy z nazwiskami. Na każdą osobę

przeznaczmy po dwadzieścia minut. Godzina przerwy na lunch. Jeśli może pan zorganizować lunch tu, w szkole, to dobrze.

– A uczniowie?

– Proponuję, żeby dał im pan wolne – odparł Reinhart. – Niech się pouczą w domu albo proszę wymyślić cokolwiek innego. Prowadzenie lekcji byłoby utrudnione, ale wybór zostawiam panu. W każdym razie proponuję, aby jak najszybciej zebrał pan personel.

– I żadnych spotkań z uczniami w auli! – polecił Münster. – Czy ma pan jakieś pytania?

– Muszę przyznać, że...

– No to w porządku – powiedział Reinhart. – Zaczynamy jutro o dziewiątej rano. Münster, czy mamy jeszcze coś do omówienia?

– Korespondencja.

– Ano właśnie. Czy zechciałby pan nam opisać, jak obsługiwana jest korespondencja w szkole?

– Obsługiwana?

– No, kiedy przychodzi listonosz, kto odbiera pocztę, kto ją rozdziela i tak dalej.

Suurna przymknął na chwilę oczy, a Münster pomyślał przez moment, że dyrektor zaraz zemdleje. Na jego czole pojawiły się drobne krople potu, a jego dłonie kurczowo zaciskały się na oparciach, jakby siedział w fotelu dentystycznym albo na wyciągu narciarskim.

– No więc? – spytał po chwili oczekiwania Reinhart.

– Bardzo przepraszam – odparł Suurna i podniósł wzrok. – Czasami miewam zawroty głowy.

Zawroty? Kiedy siedzi? – pomyślał Münster. Suurna wytarł czoło i chrząknął.

– Poczta przychodzi dwa razy dziennie – powiedział. – Rano i po lunchu... gdzieś tak o pierwszej albo o wpół do drugiej. Dlaczego pan o to pyta?

– Ze względów proceduralnych nie możemy panu powiedzieć – wyjaśnił Münster.

– O tym też proszę nikomu nie mówić – dodał Reinhart. – Pamięta pan o naszej prośbie? Bezwarunkowo!

– Tak... oczywiście...

– No więc kto zajmuje się pocztą?

– Panna Bellevue albo portierzy. Zależy. Staramy się być jak najbardziej elastyczni, jeśli chodzi o zakres obowiązków administracyjnych.

– Ma pan kilku portierów?

– Dwóch.

– Czy mógłby się pan dowiedzieć, kto obsługiwał pocztę we wtorek zeszłego tygodnia? Kto ją odebrał, a kto rozdzielał?

– Ranną pocztę czy popołudniową?

– Obie. Chcielibyśmy z tą osobą porozmawiać jak najszybciej.

Suurna wyglądał tak, jakby niczego nie rozumiał.

– Chce pan powiedzieć, że...

– Dokładnie – odparł Reinhart. – Gdyby zechciał pan zaprosić do nas portierów i pannę...

– Bellevue...

– No właśnie. Jeśli przyjdą do nas od razu, od razu będziemy mogli z nimi porozmawiać.

– Nie rozumiem, dlaczego... – zaczął Suurna, ale zaraz umilkł. Wstał z fotela i podszedł do wewnętrznego telefonu stojącego na biurku. – Panno Bellevue, proszę znaleźć Mattisena i Fergera

i przyjść z nimi do nas. Tak, pani też. Jak najprędzej, proszę!

Wyprostował się i spojrzał bezradnie na Münstera i Reinharta. Ten drugi wyjął fajkę i zaczął ją nabijać.

– Proszę nas zostawić na chwilę samych – powiedział, strzepując kilka kłaczków tytoniu na podłogę. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, urządzimy tu sobie naszą kwaterę główną.

– Proszę bardzo...

Suurna zapiął marynarkę i zniknął za drzwiami.

Münster uśmiechnął się. Reinhart dalej nabijał fajkę.

Rooth spotkał się z Bendiksenem w rzymskiej części Centralnej Łaźni. To Bendiksen zaproponował takie miejsce. W każdy poniedziałek spędzał tam dwie godziny, a po kolejnym dniu w Majornie Rooth nie miał nic przeciwko takiej propozycji.

Jak się później okazało, Bendiksen miał jeszcze inne regularne nawyki. Jako wieloletni stary kawaler przestrzegał dokładnego planu, zgodnie z którym poszczególne godziny tygodnia narzucały mu określony reżim. W poniedziałki chodził do łaźni, we wtorki i czwartki grywał w brydża, a we środy brał udział w spotkaniach kółka historycznego. W weekendy uprawiał jogging i spotykał się z przyjaciółmi; do kina chodził w piątki, a do knajpy w soboty. W niedziele jeździł na wycieczki, sprzątał mieszkanie i kończył czytać powieść historyczną. Wypożyczał ją w poniedziałki w bibliotece, gdzie pracował szesnaście lat temu.

O tym wszystkim opowiedział Roothowi w ciągu pierwszych pięciu minut, jakie spędzili w saunie.

A kiedy ty chodzisz do kibla? – pomyślał Rooth, który też był starym kawalerem.

– Jak pan ocenia Ewę Ringmar? – spytał Rooth, kiedy weszli do basenu z zimną wodą.

– Na temat kobiet wiem niewiele – odparł Bendiksen – ale za to

wiem sporo na temat kultury rzymskiej i hellenistycznej, aczkolwiek nie udaję Culbertsona.

– Wspaniale – powiedział Rooth. – Ile razy pan się z nią spotkał?

– Trudno powiedzieć. Trzy, może cztery razy, ale tylko w przelocie.

– W przelocie?

– Tak, w zgiełku dnia codziennego, jeśli mogę się tak wyrazić. Wpadliśmy na siebie parę razy... na mieście, w bibliotece. Tak, częściej chyba nie.

– Myślałem, że był pan dobrym przyjacielem Mittera?

– Zgadza się. Poznaliśmy się w gimnazjum i od tamtej pory utrzymywaliśmy kontakty... to znaczy od czasu do czasu.

– Jak?

– Co „jak”?

– Czym się wtedy zajmowaliście?

– Czasem wypijaliśmy kieliszeczek czegoś, czasem rozmawialiśmy, czasem było to jeszcze coś innego... Chodźmy teraz do suchej łaźni, inspektorze.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „coś innego”?

– Proszę mi mówić Kurt.

Nigdy w życiu, pomyślał Rooth.

– Czasem gdzieś wspólnie wyjeżdżaliśmy... to znaczy po rozwodzie Janka. Jakiś wypad na ryby... A o co panu właściwie chodzi?

Łaźnia była pusta i rozgrzana. Rooth westchnął i usiadł na najniższym stopniu.

– O nic szczególnego – odparł Rooth. – Szukamy mordercy, to wszystko. Jak pan myśli, kto mógł zabić Mittera?

– Ten sam sprawca, który zabił jego żonę.

Rooth skinął głową.

– My też tak uważamy. A więc nie ma pan do powiedzenia nic takiego, co mogłoby nas naprowadzić na ślad sprawcy?

Bendiksen podrapał się pod pachami.

– Musi pan wiedzieć, że od czasu, kiedy zaczął zadawać się z panną Ringmar, rzadko się spotykaliśmy. Któregoś wieczoru, to było w czerwcu, widzieliśmy się na imprezie z grupą przyjaciół „U Freddiego”. Było nas tam siedem albo osiem osób, ale nie rozmawiałem z nim za dużo. Poza tym pod koniec sierpnia poszliśmy jeszcze na zebranie kółka historycznego...

– Jaki był wtedy Mitter?

– Taki jak zwykle. Ale wtedy też nie za wiele ze sobą rozmawialiśmy... Kilka zdań na temat kultur megalitycznych, jeśli dobrze pamiętam. To było wtedy tematem spotkania.

– Mówi pan, że od kiedy pojawiła się Eva Ringmar, nie spotykał się pan z Mitterem za często. Dlaczego?

– Dlaczego? No bo tak to już jest.

– To znaczy jak?

– Z kobietami. Pliniusz pisze: „Możesz mieć albo przyjaciół, albo kobietę”. Jeśli nie masz przyjaciół, możesz się równie dobrze ożenić. Prawda, inspektorze?

– Być może – odparł Rooth – ale jak to było wtedy? Czy po śmierci Ewy Ringmar nie umówiliście się, że w niedzielę pojedziecie na ryby?

– Ma pan rację. Zazwyczaj jeździliśmy do domku Verhovena. To jeden z naszych dobrych znajomych. Robiliśmy to zazwyczaj którejś niedzieli w październiku. Domek stoi nad jeziorem Sojmen, na jego wschodnim brzegu. Świetnie bierze tam okoń i lipień, czasem trafi się sieja i golec. Verhoven, ja i Langemaar, komendant straży, nie wiem,

czy pan go zna... Jeździliśmy tam we trójkę, ale Mitterowi zawsze coś wypadło. Tak, inspektorze, to gówniana sprawa. Jak pan myśli, szybko go dostaniecie? To znaczy mordercę?

– Na pewno. A co pan robił w czwartek wieczorem?

– Ja? W czwartek? Byłem oczywiście na brydżu. Chyba nie wyobraża pan sobie, że to ja mógłbym...

– Nic sobie nie wyobrażam. Czy moglibyśmy już stąd wyjść i napić się piwa?

– Teraz? – zdziwił się Bendiksen. – Nie można. Najpierw popływamy, potem jeszcze jedna rundka w łaźni parowej, a potem musimy to wszystko wypocić. Dopiero wtedy można napić się piwa. Czy pan nigdy wcześniej nie był w saunie?

Rooth westchnął. Od dwóch dni próbuje wycisnąć co się da z różnego rodzaju maniaków, katatoników i schizofreników, aż w końcu trafił do sauny z byłym bibliotekarzem, Bendiksenem.

Po co ja zostałem gliną? – pomyślał. A nie na przykład pianistą? Albo księdzem? Albo komandosem?

Jutro idę na zwolnienie lekarskie, postanowił. Wprawdzie mam jutro wolne, ale i tak wezmę zwolnienie. Na wszelki wypadek.

– Szkoła Świętej Katarzyny to szkoła dla dziewcząt. Wykładają tu kobiety, kobiety pracują także jako portierki, opiekują się ogrodem, przygotowują posiłki. Ja też jestem kobietą i dyrektorką tej szkoły. Tak już tu jest od samego początku, to znaczy od 1882 roku, same kobiety. Uważamy, że jest w tym jakaś siła, panie komisarzu. To niezbyt dobre, jeśli w życiu młodych dziewcząt mężczyzna pojawia się zbyt wcześnie. Ale mam wrażenie, że gadam do ściany...

Van Veeteren potrząsnął głową i próbował się wyprostować. Bolał go kręgosłup i najchętniej położyłby się zaraz na podłodze z nogami opartymi o blat krzesła, czasem mu to pomagało. Jednak coś mu podpowiadało, że pani dyrektor Barbara di Barboza nie będzie zbyt zachwycona, jeśli położy się na podłodze w jej pokoju. Już sama wizyta mężczyzny w jej szkole była dla niej wielkim przeżyciem. Na domiar złego mężczyzna ten był policjantem.

Jednak ból nie ustępował. To przez to cholerne łóżko w hotelu. Kiedy się obudził, poczuł w plecach pewną sztywność, a dwugodzinna jazda samochodem jeszcze bardziej pogłębiła tę dolegliwość. Może po powrocie do domu będzie musiał zajrzeć do Hernandeza, kręgarza? Ostatni raz był u niego pół roku wcześniej, więc może już najwyższy czas na kolejną wizytę. Jeszcze gorzej przedstawiała się sprawa z badmintonem. Odbijanie szybkich piłek, które Münster kierował po przekątnej, mogło się źle skończyć dla jego kręgosłupa. Van Veeteren

wiedział o tym, ale nie miał ochoty zrezygnować z zaplanowanej na wtorkowy wieczór gry.

Przeniósł punkt ciężkości z prawej strony na lewą. Sprawilo mu to ból. Jęknął głośno.

– Czy pan się źle czuje, panie komisarzu?

– Niestety, trochę boli mnie kręgosłup.

– Prawdopodobnie z powodu złego odżywiania. Byłby pan zdumiony, gdybym panu opowiedziała, jaki wpływ na pracę mięśni ma niewłaściwa dieta.

– To niezwykle interesujące – powiedział. – Niestety, nie mam zbyt wiele czasu, więc musimy się skupić na tym, co mnie tu sprowadza.

– Chodzi o pannę Ringmar?

– Tak.

Pani di Barboza zdjęła z półki segregator i rozłożyła go przed sobą na biurku.

– Tak, Eva Ringmar, zatrudniono ją u nas 1 września 1987 roku. Wykładała angielski i francuski. Zwolniła się na własną prośbę 31 maja 1990 roku.

Zamknęła segregator i odłożyła go na swoje miejsce.

– Jakie wrażenie zrobiła na pani Eva Ringmar?

– Wrażenie? Oczywiście, że dobre. Osobiście przeprowadziłam z nią rozmowę wstępną. Nie było się do czego przyczepić. Odpowiadała moim oczekiwaniom, wykonywała swe obowiązki, jak należy, a w pozostałych sprawach zachowywała się bez zarzutu.

– W pozostałych sprawach? Co pani ma na myśli?

– Miała pewne obowiązki jako wychowawczyni klasy, a także dodatkowe zajęcia na terenie szkoły. Jak pan pewnie zdążył zauważyć, mamy tu internat. Nie zajmujemy się dziewczętami tylko

podczas lekcji. Staramy się wychowywać całego człowieka. To jedna z naszych zasad, której przestrzegamy od samego początku, i to właśnie na tym opiera się opinia, jaką się cieszymy.

– Naprawdę?

– Czy orientuje się pan, ilu mamy chętnych do nauki w naszej szkole każdego roku? Ponad dwa tysiące. Na dwieście miejsc.

Van Veeteren opuścił ramiona i próbował wygiąć swój kręgosłup w kabłąk.

– Czy kiedy pani ją tu zatrudniała, wiedziała pani cokolwiek o jej przeszłości?

– Oczywiście. Miała za sobą trudne chwile. My tu wierzymy w człowieka, panie komisarzu.

– A więc wie pani, co się wydarzyło? Że i ona, i jej mąż zostali zamordowani?

– Nie żyjemy tu w jakiejś izolacji, jeśli to miał pan na myśli. Czytamy gazety i śledzimy, co się dzieje na świecie. I robimy to lepiej niż wiele innych osób, śmiem twierdzić.

Van Veeteren zaczął się zastanawiać, czy pani dyrektor wie coś więcej na temat zwyczajów, jakie panują w policji, jeśli chodzi o czytanie, ale nie miał ochoty rozwijać tego tematu. Zamiast tego wyjął wykałaczkę, wsunął ją do ust i przesunął powoli z jednego kącika do drugiego. Pani di Barboza zsunęła okulary na czubek nosa i przyglądała mu się krytycznym wzrokiem.

Za chwilę każe mi, żebym jeszcze raz pokazał jej legitymację służbową, pomyślał. To niesamowite, że zwykły ból pleców może tak bardzo ograniczyć ludzką wydajność.

– Czy chce pan dowiedzieć się czegoś więcej, panie komisarzu? Nie mogę panu poświęcić całego dnia.

Van Veeteren wstał z krzesła i podszedł do okna. Przeciągnął się i wyjrzał na zewnątrz, na szary, zasnuty mgłą park. Między drzewami widać było kilka innych budynków z tej samej ciemnoczerwonej cegły co ten, w którym swój gabinet miała pani di Barboza. Z takiej samej cegły zbudowano mur, który otaczał całą posiadłość. Na wzór angielski posypano go kruszonym szkłem. Kiedy Van Veeteren wjeżdżał przez bramę, widok ten wywołał w nim uśmiech. Nie wiedział, przed kim szkło miało chronić: przed tymi, którzy chcieliby się na teren szkoły dostać, czy może raczej przed tymi, którzy chcieliby się z niej wydostać.

Na całe to miejsce spoglądał oczywiście krytycznym wzrokiem, z pewnym uprzedzeniem. Trochę go to irytowało, że nie znajduje dla niego żadnego potwierdzenia, chociaż dzięki pani di Barboza niektóre sprawy ujrzał w lepszym świetle. Zjadł lunch w wielkiej jadalni w towarzystwie setki kobiet w różnym wieku, przede wszystkim młodszych. Nie wyczuł jednak tego, co spodziewał się tu zastać, a mianowicie przytłumionej seksualności, zaprzeczania swojej płci lub czegokolwiek innego, co próbował sobie wcześniej wmówić. Być może chodziło po prostu o zwykły, odwieczny, kobiecy strach, świadomość, że to jednak ta druga płeć ma najlepsze widoki na to, aby wziąć się za bary z życiem.

Tak w każdym razie przedstawiłaby tę sprawę jego żona i ani przez chwilę nie wątpił, że mogłoby być inaczej.

Pomyślał, że gdyby był kobietą, to kto wie, może stałby się kimś takim jak ta di Barboza?

– No więc?

– Słucham?

– Co chciałby pan jeszcze wiedzieć? Nie mam już dla pana zbyt

wiele czasu.

– Dwie sprawy. Po pierwsze: czy wie pani cokolwiek o tym, jakoby pani Ringmar spotykała się z jakimś mężczyzną w okresie, gdy pracowała w tej szkole? Chyba tu nawet mieszkała, prawda?

– Tak, miała swój pokój w aneksie Marii Curie. Nie, nie słyszałam nic o żadnym mężczyźnie. Czy to było jedno, czy dwa pytania?

Van Veeteren zignorował jej ostatnie stwierdzenie.

– Czy może mi pani podać nazwisko którejś z nauczycielek, z którą utrzymywała bliższe kontakty? Może ona mogłaby odpowiedzieć na bardziej szczegółowe pytania?

Di Barboza nasunęła okulary z powrotem na swoje miejsce i zaczęła się zastanawiać.

– Kempf – odparła po chwili. – Panna Kempf zajmuje pokój sąsiadujący z tym, w którym mieszkała panna Ringmar. Były też chyba dobrymi przyjaciółkami, jak sędzę. W każdym razie od czasu do czasu widywałam je razem.

– Pani nie utrzymuje bliższych kontaktów z nauczycielkami, prawda?

– Nie, jestem zwolenniczką utrzymywania pewnego dystansu. Okazujemy sobie szacunek, ale nie można pominąć faktu, że pracujemy na różnych stanowiskach. Nasz statut jasno określa, że dyrektor sprawuje funkcję kierowniczą i że wiążą się z tym pewne obowiązki. Nie wypada, abyśmy kwestionowali zapisy tego statutu.

Pani di Barboza zerknęła na zegarek zawieszony na szyi, a wtedy Van Veeteren przypomniał sobie, co kiedyś powiedział mu Reinhart:

– Z zasady omijam kobiety, które noszą zegarek na szyi.

Zaczął się zastanawiać, co to może znaczyć. Może kryje się w tym jakaś głęboka mądrość, podobnie jak w wielu innych stwierdzeniach,

których autorem był jego kolega?

Najważniejsze, że mógł znowu wyjść na świeże powietrze. Przeszedł przez wielki trawnik, chociaż pani di Barboza upominała go, żeby skorzystał z wyłożonej kamieniami alejki. Czuł teraz jej wzrok na swoich plecach.

Dwie dwunastoletnie dziewczynki w roboczych ubraniach narzuconych na granatowe szkolne fartuszki zajęte były malowaniem na biało pnia jednego z drzew owocowych. Podszedł ostrożnie i zakasłał, żeby zwrócić na siebie ich uwagę.

– Przepraszam, czy to aneks Marii Curie?

– Tak. Wejście jest tam.

Dziewczynki wskazały mu wejście pędzlami i nieśmiało zachichotały.

– Po co malujecie to drzewo na białe?

Spojrzały na niego zdumionym wzrokiem.

– Nie wiemy. Po prostu nam kazano.

Pewnie po to, żeby nie przychodziły tu i nie sikały bezdomne psy, pomyślał, wchodząc do budynku.

Dopiero po chwili udało mu się znaleźć pannę Kempf. Miała jeszcze do poprawienia trzy klasówki, więc byłoby jej niezręcznie przerwać zajęcia w połowie lekcji. Jeśli więc pan inspektor pozwoli...

Van Veeteren skinął głową. Panna Kempf zajęta była swoją pracą, podczas gdy on usiadł w fotelu i obserwował ją od tyłu. Dość dobrze zbudowana kobieta, w średnim, to znaczy w jego wieku. Zastanawiał się, czy di Barboza rzeczywiście słusznie łączyła ją z Evą Ringmar. Przecież ta Kempf była od niej starsza przynajmniej o piętnaście lat?

Okazało się jednak, że to prawda. Eva Kempf nastawiła wodę na herbatę i zaczęła wyjaśniać. To zbyt dużo powiedziane, że były przyjaciółkami. Panna Ringmar nie należała do tego rodzaju kobiet, które lubiły się zwierzać. Z drugiej strony sprawiała wrażenie osoby, która potrzebuje... starszej siostry? Tak, chyba tak. Eva i Eva. Duża i mała. No i mieszkały obok siebie. Czy pan inspektor chce coś jeszcze wiedzieć?

Po raz setny zadał to samo pytanie i usłyszał tę samą odpowiedź.

Nie, nie zauważyła w jej otoczeniu żadnego mężczyzny. Panna Kempf jest lesbijką i nie zamierza się z tym kryć... a właściwie była nią; obecnie już na zawsze wycofała się z wszelkich form miłości.

Było to coś tak cholernie pięknego, żeby pan wiedział.

Nie, Eva Ringmar nie była lesbijką, takie rzeczy zauważa się od razu.

Mężczyźni?

Nie, o żadnym nie słyszała. No ale przecież nie wie wszystkiego o jej życiu.

Dlaczego siedzi pan w takiej pozycji? Plecy? Może więc położy się na łóżku, a ona przez chwilę wymasuje mu mięśnie.

Bo przecież chce jej jeszcze zadać jakieś pytania?

Van Veeteren zawahał się. Ale nie trwało to zbyt długo.

Przecież od masażu jego stan się nie pogorszy.

– O, tak. Proszę rozpiąć pasek od spodni, żebyśmy mogła zacząć. No!

– Do diabła! Proszę opowiadać, panno Kempf.

– A o czym, komisarzu?

– O czymkolwiek. Czy czasem wyjeżdżała? Dostawała listy? Może jakieś tajemnicze, nocne telefony?

Panna Kempf wbiła mu palce w kręgosłup.

– Przychodziły do niej listy.

– Od mężczyzny?

– Możliwe.

– Jak często?

– Niezbyt. W ogóle nie dostawała zbyt wielu listów.

– A skąd je wysłano?

– Nie mam pojęcia.

– Z kraju czy z zagranicy?

– Nie wiem. Może z zagranicy.

– W każdym razie przychodziły jakieś listy od tego samego nadawcy?

– Tak... chyba od mężczyzny.

– Dlaczego pani tak uważa? Oj, boli!

– To się czuje.

– A wyjazdy?

– Tak, właśnie... trochę podróżowała. Kilka razy do matki, w każdym razie tak twierdziła.

– Ale?

– Mogła kłamać.

– Czy to możliwe, że listy otrzymywała od tego samego mężczyzny i że czasami wyjeżdżała, żeby się z nim spotkać?

– Tak.

– A na ile ocenia pani prawdopodobieństwo czegoś takiego?

– Nie wiem. Ona była trochę... trudno dostępna. Tajemnicza... a ja nigdy na nią nie naciskałam. Ludzie mają prawo do prywatnego życia... Proszę mi wierzyć, jestem lesbijką, od kiedy skończyłam siedemnaście lat.

- Ależ to boli! Ostrożniej... to właśnie tam mnie boli najbardziej.
- Wiem, że pan to czuje. A gdzie pan spędzał ostatnią noc?

W jakiejś skrzyni? Proszę o kolejne pytania.

- Jak często?
- Chce pan wiedzieć, jak często wyjeżdżała?
- Tak.
- Może dwa albo trzy razy. I tylko w weekendy, na dwa dni.
- A urlopy?
- Nie wiem. Ja gdzieś zawsze wyjeżdżam, ale sama... W każdym razie nie sądzę, żeby siedziała tu przez cały czas na miejscu. Kiedyś poleciała czarterem do Grecji. Lubiła podróżować, na różne sposoby.
- A jej mąż, Andreas Berger?
- Nie, to nie on, bo o nim nigdy nie mówiła.
- To nie on pisał do niej listy?
- Być może, ale nie sądzę, żeby tak było.
- A czy opowiadała panu o swym synu, który zginął tragicznie?
- Tak. Ale tylko raz... No, już chyba wystarczy. Palce mi już drętwieją. Jak się pan teraz czuje?

Van Veeteren usiadł na łóżku. Nieźle. Poruszył się ostrożnie, pochylił do przodu, odwrócił się w prawo, w lewo. Może faktycznie ból zaczął ustępować?

- Wspaniale! Szkoda tylko, że znowu muszę sięść za kółkiem. Dziękuję pani. Jeśli kiedykolwiek trafi pani do więzienia, wystarczy zadzwonić, a ja się od razu zjawię i wypuszczę panią.

Panna Kempf uśmiechnęła się.

- Nie będzie takiej potrzeby. Sama stamtąd ucieknę. Niestety, za dziesięć minut mam lekcję, więc musimy już chyba skończyć.

Van Veeteren skinął głową.

– Chciałbym jeszcze na zakończenie zadać pani jedno pytanie. Widzę, że umie pani obserwować i oceniać. Proszę posłużyć się tą umiejętnością. Jeśli ma pani wątpliwości, proszę lepiej nie odpowiadać.

– Rozumiem.

– A więc... Czy uważa pani za możliwe, że przez ten cały okres, kiedy pani ją знаła, w życiu Evy Ringmar był jakiś mężczyzna, którego istnienie z jakichś względów chciała ukryć w tajemnicy?

Eva Kempf zdjęła swoje owalne okulary. Podniosła je w stronę światła i spojrzała przez nie. Chuchnęła mocno na szkła, a potem wyczystała je do czysta rożkiem swojej czerwonej tuniki.

Van Veeteren zrozumiał, że to pewien stały rytuał. W jego trakcie Eva Kempf przemyśliwała swoje wnioski. Potem założyła okulary i spojrzała mu w oczy. A później odpowiedziała krótko.

– Tak. Uważam, że to możliwe.

– Dziękuję – odparł Van Veeteren i wyszedł z pokoju.

Gimsen opuścił około trzeciej, a gdy wyjechał na drogę numer 64, rozpadał się deszcz. Równie szybko zapadł zmrok. Włączył jakąś muzykę i zamyślił się. Do jego uszu dobiegał monotony dźwięk, jaki wydają opony po zetknięciu z asfaltem.

Próbował wyrobić sobie jakiś obraz Evy Ringmar, ale za każdym razem umykała jego myślom, podobnie jak umykała innym osobom. Był na siebie zły, że nie próbował wydobyć więcej na jej temat od Mittera, ale teraz było już na to za późno. Może i tak by mu się nie udało. Mitter znał ją od pół roku. Ożenił się z nią pod wpływem jakiegoś nagłego impulsu, a o jej przeszłości wiedział prawdopodobnie nie więcej niż Van Veeteren na obecnym etapie

wiedzy o niej.

Był pewien, że mordercy powinien szukać w jej przeszłości. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Morderca tkwił tam przynajmniej od Wielkiego Czwartku 1986 roku, ale nie można wykluczyć, że był obecny w jej życiu wcześniej.

Czy aby na pewno?

No bo co on wie na ten temat? Ile będą warte wszystkie te przypuszczenia, kiedy przyjdzie co do czego?

Jeśli Eva Ringmar była postacią zagadkową, jeszcze mniej wiedział o mordercy. Cień żyjący w cieniu.

Van Veeteren zaklął i pogryzł wykałaczkę. Co przemawia za tym, że trafił na właściwy ślad? Czyż nie jest tak, że porusza się po omacku? I to dosłownie?

A jaki może być motyw?

Wypluł kawałeczki drewna i zaczął się zastanawiać, jaki powinien być jego następny krok. Istnieje kilka możliwości, a jedna bardziej skomplikowana od drugiej. Najprościej byłoby pokładać całą nadzieję w tym, czego dowiedzą się Münster i Reinhart. Z odrobiną szczęścia uda się rozpiąć sieć wokół gimnazjum i może dzięki temu wpadnie w nią jakaś grubsza ryba, a wtedy będzie mógł zająć się nią bliżej.

Pod warunkiem że to właściwe miejsce, gdzie można taką sieć zarzucić.

No cóż, wkrótce się okaże. W każdym razie jest kilka pytań, które na pewno będzie musiał zadać. Miał nadzieję, że jutro rano przesłuchanie ruszy z kopyta. Dzisiaj mieli tylko na tyle czasu, żeby zatopić pazury w dyrektorze Suurnie i nakreślić główny plan postępowania. Spojrzał na zegarek i wyliczył, że o tej godzinie Münster powinien już być w domu. Doszedł też do wniosku, że nie

ma zbyt wielkiej ochoty, żeby tego wieczoru przejechać kolejne czterysta kilometrów. Za jakąś godzinę zatrzyma się przy którymś z moteli, porozmawia z Münsterem i zejdzie na dobrą kolację. Zamarzył mu się spory kawałek mięsa z sosem czosnkowym.

I jakieś ciężkie wino.

Sięgnął ręką do stosu kaset leżących na siedzeniu obok. Znalazł Vaughana Williama i wsunął kasetę do magnetofonu.

Liz Hennan bała się.

Dopiero kiedy wzięła prysznic i pół godziny przeleżała w ciemności, uświadomiła sobie, że właśnie o to chodzi.

Strach odczuwała dość rzadko. Leżała w ciemnym pokoju, spoglądała na wskazówki elektronicznego budzika i próbowała sobie przypomnieć, co czuła.

Kiedy bała się ostatnio? Tak jak teraz?

Chyba dość dawno temu, przynajmniej tego była pewna.

Może wtedy, gdy była jeszcze nastolatką. Teraz skończyła już trzydzieści sześć lat i rzeczywiście miała powody, żeby odczuwać strach. Było ich sporo, ale czy to, że było ich tak dużo, nie nauczyło jej czegoś? Oczyszcziło i nauczyło?

Tego mianowicie, że życie nie jest aż tak niebezpieczne. Wprawdzie nie jest też usłane różami, ale wcale tego nie oczekiwała. Jeśli jej matce udało się coś w nią wpoić, to właśnie to.

Istnieją różni faceci. Czasem można trafić na tego właściwego. Jednak zawsze można się jakoś wycofać i o to właśnie chodzi. Jeśli się trafi na jakiegoś łobuza, zawsze można potem zacząć od nowa. Kazać mu, żeby się wynosił, i zacząć na nowo.

Tak to właśnie było i tak to wyglądało przez całe jej życie. Miała w nim chwile szczęśliwe i paskudne. *That`s life*, jak mawiał Ron.

Budzik pokazywał dwadzieścia cztery minuty po północy. Nie

umiała przemówić sobie tego wieczoru do rozsądku, coś czuła... w brzuchu i piersiach... i w łonie. Dotknęła palcami sromu... suchy, jak strup po skaleczeniu... nie zdarzało jej się to, kiedy była tak blisko faceta...

A więc strach.

Nie bała się Rona, choć nie chciałyby się znaleźć przy nim, kiedy dowie się o tym nowym. Ale skąd mógłby się dowiedzieć? Była przecież ostrożniejsza niż zazwyczaj, nie wspomniała o tym nikomu ani słowem, nawet Johannie. Nie, tak naprawdę to teraz tęskniła za Ronem. Marzyła o tym, żeby leżał koło niej, jak najbliżej, żeby obejmował ją swoim silnym ramieniem...

Tak to powinno być. Wyszła za Rona trzy lata temu i nie był to zły okres w jej życiu. Ale teraz go tu nie było i nie będzie przez osiemnaście miesięcy, a to strasznie długi czas, jeśli trzeba czekać. Następną przepustkę dostanie dopiero za trzy tygodnie, ale wtedy będzie koniecznie musiał pojechać do Hamburga, żeby spotkać się z tym pieprzonym Heinzem. Zamiast przyjechać do niej... gnojek. A właściwie to jakie on ma prawo, żeby jej cokolwiek zarzucać, jeśli od czasu do czasu spotka się z innym facetem?

Oczywiście bała się tego, co Ron zrobi, gdy się o tym wszystkim dowie, ale tu w grę nie wchodził tego rodzaju strach. Być może da jej wycisk, może ją wyrzuci, ale w tym przypadku chodziło o coś innego. O strach, który czuła.

Tak po prawdzie nie wiedziała, co to za uczucie. Musi to być coś nowego. Nie sądziła, że kiedykolwiek zdarzy się jeszcze coś nowego, wydawało jej się, że już przeżyła wszystkie szaleństwa, jakie tylko są na tym świecie... To uczucie... wstręt?

A może „strach” to niewłaściwe słowo? Zbyt ciężkie? Może chodzi

o coś większego?

Przerażenie?

Wzdrygnęła się i mocniej owinęła się kołdrą.

Tak, właśnie o to chodzi. O pełzające uczucie przerażenia. Jej nowy facet napawał ją przerażeniem.

Wyciągnęła rękę i zapaliła lampkę. Oparła się plecami o ścianę i zapaliła papierosa. O co w tym wszystkim chodzi? Zaciągnęła się kilka razy głęboko i spróbowała uporządkować myśli.

Dziś wieczorem spotkali się po raz trzeci, ale i tym razem nie poszli ze sobą do łóżka. Tylko ze sobą rozmawiali. Coś tu musi nie grać.

Za pierwszym razem miała okres. Kiedy sobie o tym przypomniała, doszła do wniosku, że to chyba dobrze, że tak się stało.

Za drugim razem poszli tylko do kina. I nawet nie padło jedno słowo na temat łóżka.

Jednak dziś wieczorem powinno już było do tego dojść. Wypili kilka kieliszków i oglądali jakiś idiotyczny program rozrywkowy w telewizji. Ona miała na sobie cienką, luźną sukienkę i siedzieli obok siebie na kanapie. Zaczęła pieścić mu kark, ale on nagle bardzo się usztywnił, a potem położył swoją ciężką dłoń na jej kolanie. Leżała tam jak zdechła ryba, a on tylko szybko napił się wina.

Potem przeprosił ją, że jest mu niedobrze, i poszedł do łazienki. Zaraz po jedenastej pożegnał się i wyszedł.

Do czwartego spotkania miało dojść w sobotę. Miał przyjechać po nią zaraz po pracy. Mieli się wybrać na przejażdżkę, jeśli pogoda na to pozwoli, a potem miał ją zabrać do siebie, do domu, i nalegał, żeby koniecznie została u niego na noc. Zaledwie pół godziny po tym, jak się z nią pożegnał, zadzwonił i zmienił plany. Znowu ją przeprosił, że

nie jest w formie. A ona jak zwykle znowu mu ustąpiła i zgodziła się.

Pożałowała, jeszcze zanim odłożyła słuchawkę. Dlaczego nie powiedziała po prostu, że jest zajęta? Dlaczego zachowała się tak idiotycznie i umówiła się z facetem, którego tak naprawdę nie chciała?

Czemu nigdy się niczego nie uczy?

Poirytowana zgasiła papierosa i zauważyła, że przerażenie zaczęło ustępować miejsca złości. Może to dobry znak.

Znak i dowód na to, że sobie coś wmówiła. Przecież nie może to być aż tak niebezpieczne? Miała w swym życiu już tylu facetów, że i z Johnem sobie poradzi. Z Johnem, bo tak się jej przedstawił. I pośle go tam, dokąd zechce.

Zadowolona z wniosków, do których doszła, zgasiła lampkę i przewróciła się na bok. Najwyższy czas, żeby zasnąć. Rano musi wstać o siódmej, o wpół do dziewiątej być w sklepie... jak zwykle. Jednak jeszcze zanim zasnęła, zdążyła podjąć dwie ważne decyzje i postanowiła, że przypomni je sobie po przebudzeniu.

Najpierw porozmawia z Johanną. Zobowiąże ją, że będzie milczeć jak grób, a potem o wszystkim jej opowie.

Po drugie: w sobotę spotka się z tym facetem, ale jeśli i tym razem do niczego nie dojdzie, wstanie od stołu i to będzie koniec.

I tak ma być.

Po podjęciu swoich postanowień Liza Hennan mogła wreszcie zasnąć.

Jej myśli zaczęły teraz krążyć wokół bardziej ziemskich spraw.

Na przykład takich jak drogie buty do joggingu, które zamierzała sobie kupić, żeby łatwiej się jej biegało, a tym samym łatwiej spalało tłuszcz.

Była to zbędna inwestycja, bo zostały jej jeszcze tylko trzy dni życia.

– A gdzie Reinhart? – spytał Van Veeteren i położył na biurku dwie zużyte wykałaczki.

– Tu jestem! – odparł Reinhart i wszedł do pokoju. – Zasiedziałem się trochę na aukcji książek. Spóźniłem się?

– Kto dziś ma, do cholery, czas, żeby czytać książki? – zdziwił się Rooth.

– Ja – odparł Reinhart i siadł koło kaloryfera. – Paskudna dziś pogoda! Dziwię się, że ludziom chce się wychodzić w taką ulewę na dwór i zabijać innych!

– Wychodzić? – spytał deBries, wycierając nos. – Większość z tych, których znałem, zabijała w czterech ścianach.

– Tak, ale tylko dlatego, że nie mogli wyjść – powiedział Rooth. – To jasne, że działają sobie na nerwy, jeśli muszą siedzieć w domu i gapić się na deszcz, który pada dniem i nocą.

– Przedwczoraj po południu przestało na chwilę padać – włączył się do rozmowy Heinemann.

– Czy możemy już zacząć? – spytał Van Veeteren i sprawdził, kto jest na miejscu: Münster, Reinhart, Rooth, deBries, Jung i Heinemann. Razem z nim siedem osób. I wszyscy zajmują się tą samą sprawą. To nietypowe. No, ale to dopiero pierwszy tydzień. Gazety nadal się o tym rozpisują. Morderca psychopata... gimnazjum śmierci, choć w każdym kolejnym wydaniu pisano o tym mniej. Van Veeteren miał

nadzieję, że od poniedziałku kilku z nich skieruje do innych spraw: deBriesa, Junga i Heinemanna... może nawet Rootha.

Jak dotąd działali w pełnym składzie. Hiller złożył w prasie i telewizji kilka oświadczeń. Już wkrótce będzie walczył o budżet na kolejny rok. Przydałoby się więc, żeby sprawca zbrodni znalazł się pod kluczem na przykład przed Bożym Narodzeniem.

Tym razem musi to być prawdziwy morderca.

Rooth wytarł nos. Reinhart chciał zrobić to samo, ale zamiast tego zapalił fajkę. Van Veeteren ostrożnie zgiął kręgosłup. Wtorkowy mecz z Münsterem bez wątpienia odbił się na jego samopoczuciu. Odczuwał ból, zwłaszcza kiedy siedział. Zerknął na deBriesa i Heinemanna. Oni też wyglądali niespecjalnie... może byli przeziębieni, a może niewyspani. W każdym razie wszyscy razem, jak tu są, sprawiają dość marne wrażenie, trzeba to uczciwie przyznać.

Kiepski widok, na pewno nie nadaje się, żeby pokazać go na żywo. Trzeba mieć tylko nadzieję, że w środku prezentują się lepiej niż na zewnątrz.

– No to jak, możemy zacząć? – powtórzył Van Veeteren.

– Najpierw Majorna?

Van Veeteren skinął przyzwalająco głową, a deBries wyjął z teczki notatnik.

– Nie mam zbyt wielu informacji – powiedział deBries. – Rozmawialiśmy tam ze wszystkimi, z wyjątkiem osób z objawami mutyzmu i pacjentami w stanie wegetatywnym... z lekarzami, z personelem, pacjentami... w sumie gdzieś sto szesnaście osób. Jakaś setka z nich nic nie widziała, ale przynajmniej połowa stwierdziła, że tak. Wielu miało nocne wizje... do diabła! Czterech przyznało się do

popęnienia zbrodni.

Przerwał na chwilę i wytarł nos w chusteczkę higieniczną.

– Mimo to udało nam się stworzyć obraz, który mniej więcej się zgadza. Przynajmniej na dziewięćdziesiąt pięć procent. Morderca pojawił się w recepcji kilka minut po piątej, pytał o pacjenta Janka Mittera. Powiedział, że jest jego koleżanką z pracy i chce go odwiedzić. Nie było w tym nic dziwnego. Przedtem też go odwiedzano.

– Czy rzeczywiście użył słowa „koleżanka z pracy”? – spytał Van Veeteren.

– Tak, są tego pewni. Kiedy przyszedł do biura, były tam dwie osoby.

– I obie te osoby później o nim zapomniały? – spytał Reinhart. – Ładnie!

– No właśnie. Tylko jedna z nich przekazała potem sprawę nocnej zmianie – powiedział Rooth. – Zadaliśmy kilka pytań dotyczących głosu i wszystko wskazuje na to, że mamy tu do czynienia z mężczyzną. W drodze na oddział musiał kilka razy spytać o drogę i każda z pytanych osób odniosła wrażenie, że z tym głosem jest coś nie tak.

– Okej – powiedział Van Veeteren. – Już wiemy, że to mężczyzna. Dalej.

– Jeśli chodzi o miejsce, gdzie się ukrył – mówił deBries – to nie wiemy nic konkretnego. Jest sporo możliwości, ściślej mówiąc, szesnaście takich miejsc, które nie były zamknięte na klucz: magazynki, toalety, sale spotkań i różnego rodzaju komórki...

– Wydawało mi się, że zamykają tam wszystko oprócz pacjentów – przerwał mu Reinhart.

– Nie, to nieprawda – odparł Rooth. – W każdym razie nigdzie nie udało nam się znaleźć choćby najmniejszego śladu.

– Nie sądzę, żeby to było aż tak ważne – odparł Van Veeteren. – Zajmijmy się lepiej listem!

Rooth przerzucił kilka kartek w swoim notatniku.

– Sprawdziliśmy, co Mitter robił w poniedziałek od chwili, gdy się obudził, aż do chwili, kiedy przekazał list Ingrunowi.

– Ingrunowi?

– Ingrun to pielęgniarz, odbiera listy dokładnie pięć po drugiej. Próbowaliśmy się dowiedzieć, czy przed napisaniem listu Mitter sprawdzał cokolwiek w książce telefonicznej... chodzi mi o adres.

– Opowiedz, co robił po lunchu, to nam wystarczy.

– Pewnie tak. Ustaliliśmy dość interesujący szczegół dotyczący popołudnia, ale powiem o tym później. Na każdym piętrze stoi budka telefoniczna, z której mogą korzystać pacjenci, a w budce jest książka telefoniczna z lokalnymi numerami. Mitter jest już po lunchu, mniej więcej kwadrans po pierwszej, potem przez jakieś dziesięć minut siedzi w palarni z kilkoma innymi pacjentami i dwoma pielęgniarkami. Później – jak zeznało dwóch świadków – idzie do toalety, wychodzi z niej kilka minut po wpół do... tutaj mamy pewną lukę. Ktoś zeznał, że poszedł do swojego pokoju, inni mówili, że do biura po przybory do pisania i że czekał tam przez kilka minut. W każdym razie Ingrun przychodzi do biura około pierwszej czterdzieści pięć. Widzi, że Mitter nadal tam czeka, odbiera długopis, papier i koperty, a potem zabiera Mittera do dziennego pokoju... później czeka tam dziesięć minut, aż Mitter skończy pisać. Robi to, bo chce w spokoju wypalić papierosa. Przed chwilą wypił kawę w jadalni dla personelu...

– Czy Mitter miał jakieś pojedyncze kartki? – spytał Münster.

– Nie – odparł tym razem deBries. – Mocno naciskaliśmy Ingruna w tej kwestii. Spośród tych, których przesłuchiwaaliśmy, Ingrun nie należy do najbardziej bystrych, ale jesteśmy raczej pewni. Mitter nie miał żadnych kartek oprócz tych, które dostał od Ingruna.

– Czy ten bystrzacha zwrócił może uwagę na to, czy Mitter najpierw napisał list, czy adres na kopercie?

– Niestety, nie – odparł Rooth. – Był zbyt zajęty paleniem. Pan też chyba z nim rozmawiał?

– Tak – odparł Van Veeteren. – Podzielał opinię w tej sprawie.

Zrobił przerwę i przyglądał się stosikowi wykałaczek leżących przed nim na biurku.

– Tak więc pytanie brzmi – kontynuował – czy Mitter pisał do gimnazjum, czy do kogoś innego. Jeśli chodzi o mnie, uważam, że list wysłał do gimnazjum. Wy możecie mieć o tym własne zdanie. A co wiecie na temat tego, co robił przed południem? Wydaje mi się, że wiem, do czego zmierzacie, ale wolałbym, żeby wszyscy zebrani zostali o tym poinformowani...

Rooth westchnął.

– Mitter był w budce telefonicznej przed południem, ale nie po to, żeby szukać adresu. Poszedł tam, żeby zadzwonić.

– Bardzo ciekawe – powiedział Van Veeteren. – A dokąd, jeśli wolno mi spytać?

– Chyba pan komisarz sam o tym powie, jeśli dobrze pana zrozumiałem.

– Hm... – mruknął Van Veeteren. – Widzę, że Klempje się przyznał.

– Przyznał? Do czego? – spytał Rooth, wydmuchując kółka

z dymu.

– W poprzedni poniedziałek ktoś dzwonił z Majorny do oficera dyżurnego. Dzwonił Mitter, który chciał coś przekazać. Chciał ze mną porozmawiać, ale nie było mnie w biurze. Dyżurny zapomniał mi o tym powiedzieć.

– O cholera! – zawołał Reinhart.

Przez kilka sekund panowała cisza.

– A co z Klempjem? – spytał Jung. – Kiedy dowiedział się pan o wszystkim?

– Wczoraj. Klempje został czasowo zawieszony w czynnościach.

Reinhart skinął głową, a deBries wytarł nos.

– Coś jeszcze na temat Majorny? – spytał Van Veeteren.

Rooth potrząsnął głową.

– Jeśli znajdziemy tam jeszcze jedną ofiarę, to proszę, abyśmy ja i deBries nie musieli znowu tam jechać. To niezbyt zdrowe miejsce dla delikatnych policjantów z sekcji kryminalnej.

– Jakież pytania? – spytał Van Veeteren.

– Jedno – odparł Reinhart. – Jeśli personel zapomniał, że nasz morderca został tam na całą noc, można przypuszczać, że wymknął się stamtąd, a oni nic nie zauważyli... Musiał to zrobić dość wcześnie rano?

– W zasadzie tak – przyznał Rooth. – Ale chyba nie wyszedł głównymi drzwiami.

– Mógł opuścić budynek innym wyjściem?

– Oczywiście – powiedział deBries.

Reinhart wytrząsnął fajkę, stukając nią w kosz na papiery.

– Czy jesteś pewien, że w fajce nie ma już żaru? – spytał Rooth.

– Nie, ale jak wybuchnie pożar, zauważymy to. Przecież jest nas

tutaj aż siedmiu gliniarzy.

Van Veeteren zapisał coś w notatniku, który leżał przed nim na stole.

– Cholera – zaklął. – Zupełnie nam to umknęło. Dzięki, Reinhart.

Reinhart rozłożył ręce.

– Nie ma za co.

– No to idziemy dalej. Gimnazjum! Najpierw sprawa listu, jeśli mogę prosić.

Münster usadowił się wygodniej na krześle.

– Niestety – powiedział – żadnych śladów. Razem z Reinhartem maglowaliśmy portierki i pannę Bellevue, ale nie można od nich żądać, żeby zapamiętały list, który przyszedł tydzień wcześniej. Każdego dnia dostają prawie trzysta przesyłek, około dwustu rano i prawie połowę z tego po południu.

– Kto rozdziela pocztę?

– Tamtego dnia rano robiła to panna Bellevue i jedna z portierek.

Druga portierka roznosiła listy po południu.

Van Veeteren skinął głową.

– Szkoda – powiedział. – Czy mamy jeszcze jakiś punkt zaczepienia?

– Być może – odparł Reinhart. – Ale musimy zbadać to bardzo drobiazgowo. Zdobyłem trzy koperty. Dwie z nich z pewnością znajdowały się w poczcie do gimnazjum w poprzednim tygodniu...

– Jak ci się to, do cholery, udało? – przerwał mu deBries.

– Nieważne – powiedział Reinhart. – Mam tam swoje znajomości.

– To chyba ta zatrudniona na godziny Portugalka – sprecyzował Münster.

– No właśnie – mówił dalej Reinhart. – W każdym razie cała trójka, to znaczy dwie portierki i panna Bellevue, rozpoznała dwa inne, ale nie przypominały sobie listu z Majorny.

– Jaki z tego wniosek? – spytał Van Veeteren.

– Cholera wie – odparł Reinhart. – Raczej żaden. Może to coś znaczy, że rozpoznały koperty, chociaż nie mogły sobie przypomnieć odbiorcy, a w każdym razie nie zauważyły listu od Mittera.

– To niezbyt konkretna konkluzja – powiedział deBries.

– Zgadza się – odparł Reinhart.

Van Veeteren westchnął i zerknął na zegarek.

– Dlaczego nikt nie zrobił kawy? Rooth, czy mógłbyś...?

– Tak – odparł Rooth i wyszedł z pokoju.

– Możecie kontynuować – powiedział Van Veeteren, sięgając po kromkę pieczywa.

– Okej – zgodził się Münster. – Zajęło nam to całą środę. Ja, Reinhart, Jung i Heinemann przesłuchaliśmy łącznie osiemdziesiąt trzy osoby. Siedem z nich było nieobecnych, ale wczoraj Jung odwiedził je osobiście. Dwóch pracowników jest na urlopie od trzech tygodni, więc myślę, że możemy ich skreślić. Większość ze wspomnianych osób poznałem osobiście w związku z dochodzeniem przed miesiącem, ale bałbym się twierdzić, że nasze ponowne spotkanie wywołało na mojej i na ich twarzach wielką radość.

– Nie płacą nam za to, żeby ludzie nas kochali – powiedział Van Veeteren. – Czy znaleźliście jakiegoś mordercę?

– Nie – odparł Münster. Ci, których podejrzewałem, siedzą już pod kluczem, ale żaden się nie przyznał...

– A nie macie jakichś podejrzeń? – zdziwił się Van Veeteren.

– Jeśli chodzi o mnie, to żadnych – powiedział Münster.

– Ja też nie – dodał Heinemann. – Nikogo nie podejrzewam.

Jung i Reinhart potrząsnęli przecząco głowami.

– No i nie ma się co dziwić – stwierdził Reinhart. – Jest ich przecież pięćdziesięciu i każdy z nich może być potencjalnym zabójcą!

– Prawdopodobnie tak – zgodził się Van Veeteren. – W takim razie skoncentrujmy się na głównych sprawach, to znaczy alibi i okresie zatrudnienia.

– A co ma z tym wspólnego okres zatrudnienia? – spytał Rooth.

– Uważam, że morderca był zatrudniony w szkole od niedawna – odparł Van Veeteren.

– A dlaczego?

– Mam takie przeczucie, to żadna racjonalna przesłanka i nie da się tego obronić w sądzie. Idźmy dalej!

Jung położył kartki, z których korzystał, na kolana Münstera.

– *All right* – powiedział Münster – to, co teraz powiem, to raczej żonglerka liczbowa. Jeśli uda nam się wykluczyć osiemdziesiąt dziewięć osób spośród pięćdziesięciu, to potem nie pozostanie nam już nic innego, jak tylko capnąć mordercę.

– Pod warunkiem że twoja wersja obroni się w sądzie – wtrącił Rooth.

– Dziewięćdziesiąt osób, to znaczy wszystkie, twierdzą, że są niewinne – zaczął Münster.

– Naprawdę? – zdziwił się deBries.

– Osiemdziesiąt dwie osoby twierdzą, że mają alibi na czwartkowy wieczór, kiedy zamordowano Mittera; pozostałe osiem poszło do domu bezpośrednio po szkole i cały wieczór spędziło samotnie.

Van Veeteren znowu coś napisał.

– Spośród osiemdziesięciu dwóch osób sprawdziliśmy sześćdziesiąt jeden, sprawdziliśmy i wyeliminowaliśmy z kręgu podejrzanych. Spośród dwudziestu jeden pod znakiem zapytania skreślimy prawdopodobnie kolejnych piętnaście. Pozostaje osiem plus sześć, które nie mają alibi albo ich alibi jest słabe. Jeśli policzyliśmy dobrze, a sędzę, że tak, pozostaje nam czternaście osób plus ewentualnie ktoś jeszcze, kto miał możliwość... czysto hipotetyczną, oczywiście, żeby zamordować Mittera.

Münster przerwał na chwilę. Rooth podniósł się i zaczął nalewać kawę z dzbanka. DeBries chrząknął, a Reinhart wyjął fajkę z ust i pochylił się do przodu. Van Veeteren usuwał okruszki pieczywa za pomocą wykałaczki.

– Czternaście osób – powiedział w zamyśleniu. – Czy masz listę nazwisk?

Jung sięgnął po kolejną kartkę papieru.

– Tak – odparł Münster.

– Czy sprawdziliście, kto miał alibi podczas pierwszego zabójstwa?

– Tak – rzekł Münster. – Sześć osób ma murowane alibi, jeśli chodzi o zamordowanie Evy Ringmar.

– Czemu aż tyle? – przerwał mu deBries. – Przecież na coś takiego wystarczy pół godziny... może czterdzieści pięć minut, to była przecież noc.

– Konferencja – wyjaśnił Reinhart. – Czworo z nich brało udział w tej samej konferencji czterysta kilometrów stąd.

– Dwie inne osoby były w Rzymie i Londynie – uzupełnił Münster.

– Pozostaje nam jeszcze osiem – powiedział Van Veeteren. – Ile z nich to kobiety?

– Pięć – odparł Münster.

– No to mamy jeszcze trzech. Zgadza się?

– Tak. W całym gimnazjum jest tylko trzech mężczyzn, którzy nie mają alibi na oba dni, kiedy dokonano zbrodni.

Rooth wyjął z kieszeni chusteczkę, nie wstając z miejsca.

– To dobrze – powiedział Van Veeteren. – Który z nich został zatrudniony w ostatnich latach?

– Żaden – odparł po chwili Münster. – Najmłodszy z nich pracuje w szkole od czternastu lat.

– Cholera – zaklął Van Veeteren.

– Coś tu się nie zgadza.

– I to nawet sporo, jak mi się wydaje – powiedział Münster.

Była to bez wątpienia bezczelność ze strony Münstera, ale Van Veeteren nie zareagował. Poczłł się nagle bardzo zmęczoney... jak przemęczoney wół, który powoli zapada się w błoto.

Spojrzał na swoje notatki. Gdzie popełnił błąd?

A może całe jego założenie jest błędne, jak twierdzi Münster?

A może chodzi tylko o jakiś szczegół?

Münster westchnął i spojrzał na zegarek.

– Co teraz zrobimy? – spytał. – Może dokładniej sprawdzimy ich alibi?

– Nie – odparł Van Veeteren. – Pewnie uda nam się rozbić jedno czy drugie, ale otrzymałem wyraźne polecenie, żeby nie angażować w to za bardzo gimnazjum. Komitet rodzicielski zapowiedział, że każe zostać dzieciom w domach, jeśli pojawimy się tam jeszcze raz. Suurna dzwonił w tej sprawie do Hillera siedemnaście razy.

– Ach tak – powiedział Münster. – No to ja już nie wiem...

– Zawołaj Rootha – przerwał mu Van Veeteren.

Münster podniósł się z krzesła.

– Albo nie, zostawcie mnie najpierw na pół godziny samego.

Münster otworzył usta i chciał coś odpowiedzieć Van Veeterenowi, ale komisarz odsunął krzesło od stołu i odwrócił się do niego plecami.

W dziewiętnastu przypadkach był pewien swego. W dwudziestym...

Pośród połamanych i zgniecionych zębami wykałaczek leżał jego notatnik, który po chwili przyciągnął jego uwagę.

Dwadzieścia sześć dni do Bożego Narodzenia, policzył.

Dziewiętnaście małych dziewczynek złożył porucznik u swych stóp...

Ile czasu mu jeszcze zostało?

Numer dwudziesty dała mu kosza...

Prawdopodobnie wystarczy, żeby wziąć sobie wolne do końca roku?

Dwudziestka jedyńska doprowadziła go do śmierci...

Czym ja się zajmuję?

Co to tak brzęczy w jego starym, zgnuśniałym mózgu? Może chce się poddać? Zaczął się zastanawiać.

To nie ma sensu. Utkwiło mu to w głowie od razu i już się tego nie pozbędzie... lepiej się przyznać... Bujany fotel na tarasie dachu w... Casablance. Już za kilka dni będzie tam siedział! Łagodny wiaterek, książka i kieliszek białego wina... Po co sobie wmawiać, że te pretensjonalne zgadywanki prowadzą do jakiegoś celu?

A czy nie powinien...? Czy nie był tego winien Mitterowi – doprowadzić sprawę do końca? Á propos, jaka jest średnia temperatura w północnej Afryce w grudniu? Pewnie nie ma się czym chwalić... zimne powiewy znad Sahary...

W dwudziestym pierwszym przypadku się pomylił!

Czy nie byłoby lepiej, gdyby przejął to ktoś inny?

Australia! To tam! Zaraz, jak to się Caen wyraził?

Dwadzieścia pięć stopni ciepła... kwiaty cytrynowca? Australia...

Wykręcił numer Hillera.

– Chciałbym przekazać tę sprawę Münsterowi. Ja utkwilem w miejscu.

– Nie zgadzam się – odparł Hiller.

– Jestem stary i zmęczony – upierał się Van Veeteren.

– Gówno prawda!

– Bolą mnie plecy.

– Masz pracować głową, a nie plecami. Nie zapominaj, że podlega ci sześciu ludzi!

– Chciałbym wyjechać do Australii.

W pokoju zapanowała całkowita cisza.

– Okej – powiedział po chwili Hiller. – Jak chcesz. Wsadź tamtego typka, a dam ci miesiąc urlopu. Powiedzmy, sześć dni? Obiecałem w telewizji, że poradzimy sobie z tą sprawą w dwa tygodnie. W czwartek będzie bezpośrednia transmisja do Sydney.

Van Veeteren zastanawiał się przez chwilę. Odłożył słuchawkę i znowu zaczął studiować notatnik.

– Jesteś tu jeszcze?

– Tak, do cholery – odparł Van Veeteren.

– No i?

– Niech ci będzie – westchnął Van Veeteren. – Ale jeśli nie zakończę sprawy do środy, złożę wymówienie. Tym razem mówię to poważnie. Jutro pójde kupić bilet.

Odłożył słuchawkę, zanim Hiller usłyszał ostatnie słowa. Jeszcze raz przejrzał notatki, a potem wyrwał kartki i wrzucił do kosza na papiery.

Jeszcze sześć dni, pomyślał.

Przy okazji – czy dwudziesty pierwszy pozostanie bezkarny?

Rooth usiadł na tym samym krześle, na którym siedział pół godziny wcześniej.

– Co wam się jeszcze udało załatwić oprócz Majorny? – spytał Van Veeteren.

– Bendiksena.

– Typowany na mordercę?

– Nigdy w życiu.

– Dostał jakiś list?

– Nie.

– No to opowiadaj!

– Była żona. Dzieci, żadnych listów...

– Dostałeś jakiś cynk?

– Nie. Jego żona wyglądała na zszokowaną.

– Sądzę więc, że możemy go wykluczyć z kręgu podejrzeń. Kto jeszcze?

– Marcus Greijer i Uwe Borgmann.

– Szwagier i... sąsiad?

– Zgadza się. Ale też nic.

– Alibi?

– Całkiem porządne.

– Jak dawno mieszkają w mieście?

– Greijer mniej więcej od dziesięciu lat, Borgmann przez całe życie.

– Rozumiem. Coś jeszcze?

Rooth potrząsnął głową. Van Veeteren odszukał w szufladzie jakąś kartkę.

– Mam tu listę, a na niej dwadzieścia jeden nazwisk. Wytypował je Mitter jako potencjalnych sprawców zabójstwa jego żony.

Sprawdziliśmy większość z nich, ale nie wszystkich.

Podał kartkę Roothowi.

– Chciałbym, żebyście z deBriesem zerknęli na to.

– Czego mamy szukać?

– Przede wszystkim alibi. I pogrzebcie trochę w przeszłości.

Najbardziej interesują mnie ci, którzy mieszkają tu od niedawna. No, ruszcie głową!

Rooth wytarł głośno nos.

– Do kiedy mamy to skończyć?

Van Veeteren zerknął do kalendarza.

– Powiedzmy do poniedziałku. Ale jeśli uda wam się znaleźć mordercę wcześniej, pozwalam wam skontaktować się ze mną od razu.

– Z przyjemnością – powiedział Rooth. – Miłego weekendu!

Złożył kartkę i schował ją do kieszeni. Potem podniósł się z krzesła i dodał:

– Na pewno go znajdziemy. Niech pan się nie niepokoi, panie komisarzu.

– No, znikaj już – powiedział Van Veeteren.

– A co z nami? – spytał Münster, kiedy znowu zostali sami.

Van Veeteren podał kilka kolejnych kartek z notatkami i przez chwilę się zastanawiał.

– Ty i Reinhart możecie robić, co wam się żywnie podoba. A ten, kto rozwiąże tę sprawę, ma u mnie butelkę koniaku.

– Z pięcioma gwiazdkami? – upewnił się Münster.

– Z czterema. Czy mogę udzielić wam paru wskazówek?

Münster skinął głową.

– Skoncentrujcie się na tych, którzy pracują w gimnazjum od niedawna. Założę się o wszystko, że sprawca znajduje się wśród nich. Tylko za cholere nie chodźcie już tam na rozmowy!

– Przecież mamy ich nazwiska. To znaczy tych, których przyjęto do pracy po Evie Ringmar.

– A ilu ich jest?

Münster sięgnął po blok i przerzucił kilka stron.

– Chodzi panu o mężczyzn?

– Tak, jasne, tylko.

– Jedenastu.

– Aż tylu?

– Tak, jest ich tam trochę. Zresztą może to wcale nie takie dziwne.

– Ilu z nich ma alibi przy pierwszym zabójstwie?

– Tylko przy pierwszym?

– Tak.

Münster przez chwilę starał się sobie przypomnieć.

– Jeden.

– Tylko jeden?

– Tak.

– Zostaje nam dziesięciu. Czy któryś z nich znajduje się na liście Mittera?

– Przecież dałeś ją Roothowi.

Van Veeteren wyciągnął z szuflady biurka kolejną kartkę.

– Czy kolega słyszał coś o kopiarkach?

Münster wziął listę i zaczął ją przeglądać. Van Veeteren podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Stał tak z rękami założonymi na plecach i patrzył na padający deszcz.

– Dwa – powiedział w końcu Münster. – Tom Weiss i Erich Volker.

– Weiss to ktoś nowy?

– Tak, zatrudniono go mniej więcej w tym samym czasie co Evę Ringmar.

– Aha. No a Erich Volker? Któż to, u diabła?

– To dodatkowy nauczyciel chemii i fizyki. Pracuje tam od września 1991 roku.

– Ciekawe... – mruknął Van Veeteren. – Gdybym był taki jak wy, przycisnąłbym go trochę, oczywiście pozostałych też, no i Weissa. Pokaż mi tę listę z nowymi!

Münster podał mu kartkę; Van Veeteren studiował ją przez pół minuty, a jednocześnie przestępował z palców na pięty i mruczał coś do siebie.

– No proszę. A może... a może jednak nie. Nigdy nie wiadomo.

Münster czekał na jakieś wyjaśnienie, ale się nie doczekał.

– Masz jakieś inne wskazówki? – spytał po chwili.

– Wielki Czwartek 1986 roku – odparł Van Veeteren.

– Co masz na myśli?

– Po prostu Wielki Czwartek 1986 roku. Jeśli nasz sprawca znajdował się w czasie lunchu w samochodzie w Karpacz... to może być tylko on! To znaczy razem z Evą Ringmar.

Münster zrobił taką minę, jakby połknął żabę. W końcu skinął głową i zapisał wszystko. Już kiedyś doświadczył czegoś takiego.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Cały kwiecień i maj 1986 roku – odpowiedział Van Veeteren. – Oczywiście mam na myśli Karpacz, ale za cholere nie dawaj do zrozumienia, o co ci chodzi! Jeśli się domyśli, wywinie się ze wszystkiego.

Münster zapisał i te słowa.

– Czy to już wszystko?

Van Veeteren skinął głową, a Münster schował notes do kieszeni marynarki.

– Poniedziałek?

– Poniedziałek – potwierdził Van Veeteren.

– A czym pan się będzie zajmował? – spytał Münster, stojąc w otwartych drzwiach.

– Zobaczymy – wzruszył ramionami inspektor. – Na początku Beate Lingen.

Münster zamknął drzwi i wyszedł.

Kim, do cholery, jest Beate Lingen? No tak, przez kilka kolejnych dni może zapomnieć o badmintonie. Jeśli popracuje przez cały piątek, może uda mu się załatwić wolne na weekend.

Kiedy wszedł do swojego pokoju, zadzwonił telefon.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział do słuchawki Van Veeteren. – Pierwszy czerwca to też niezła data. Oczywiście mam na myśli 1986 rok. Sobotnie popołudnie, w okolicach jeziora Maaren... ale to tylko luźna myśl, musicie być cholernie ostrożni. Zrozumiałeś?

– Nie – odparł Münster.

– To dobrze – zakończył Van Veeteren i odłożył słuchawkę.

W piątek wziął sobie wolne i został w domu.

Obudził się około dziewiątej i włożył wtyczkę od telefonu do gniazdka.

Otworzył katalog z ofertami biura podróży i zanim wstał z łóżka, zarezerwował sobie bilet na samolot. Odlot liniami Australian Airlines w czwartek 5 grudnia o wpół do ósmej rano. Bez daty powrotu.

Potem znowu wyjął wtyczkę z gniazdka i wstał, żeby zjeść śniadanie.

Siedział w kuchni przy stole, wsłuchiwał się w szum padającego deszczu i żuł solidną kanapkę z gruboziarnistego chleba z serem i ogórkiem. Na stole rozłożył poranną gazetę i nagle naszły go różne myśli.

Przede wszystkim poczucie tego, że w tej konkretnej chwili jest mu dobrze. Próbował się pozbyć tej myśli, ale tkwiła w nim mocno... była ciepła i uparta, i absolutnie niedwuznaczna. Poczucie wdzięczności wobec niezbadanego bogactwa, jakie oferuje życie.

Bez względu na to, co się stało, już za siedem dni usiądzie na balkonie jakiegoś hotelu w Sydney, jedząc śniadanie. A jednocześnie będzie uważnie przeglądał przewodnik po Wielkiej Rafie Koralowej, zapali papierosa i wystawi twarz na słońce.

Ale wcześniej musi złapać mordercę... albo podać się do dymisji.

W tej grze mógł być tylko jeden zwycięzca. Któregoś ranka...

upojony wolnością... Żadnych psów rzygających pod lodówką, żadnej żony, która poinformuje go o swoich planach powrotu do domu. Zamknięte drzwi, wyłączony telefon.

Przypomniał sobie Ferratiego i stringi. Jednak życie jest symfonią.

Potem zaczął myśleć o Mitterze. I o Evie Ringmar, której nie miał okazji poznać osobiście. To o nią tak naprawdę chodzi.

I wtedy zrozumiał, że to symfonia w tonacji molowej.

Do jedenastej zdążył przeczytać całą gazetę. Wlał do wanny pieniaący się płyn, włączył suitę wiolonczelowe Bacha, zapalił świecę na stoliku w toalecie i wszedł do wanny.

Przez dwadzieścia minut leżał nieruchomo, cały czas intensywnie rozmyślając. Z ciepłej wody, z płomienia świecy i ostrego tonu wiolonczeli wyłoniła się jedna myśl.

Była naprawdę straszna. Ewentualność, którą najchętniej odepchnąłby od siebie. Utopił. Zamknął gdzieś.

Był to obraz zbrodniarza.

To prawda, jeszcze go nie złapał, ale istnieje pewien sposób.

Dostępny, wystarczyło, że będzie się do niego stosował do samego końca. Możliwie jak najdłużej, żeby zobaczyć, co się kryje u celu.

Po południu leżał na kanapie i nadal słuchał Bacha. Zdrzemnął się na chwilę, a gdy się obudził, na dworze było już ciemno.

Wstał, wyłączył magnetofon i włożył wtyczkę telefonu do kontaktu.

Dwie rozmowy.

Pierwsza z Beate Lingen. Pamiętała go, tak mu przynajmniej powiedziała, a on wyczuł to w jej głosie. Udało mu się wkręcić na

herbatę w niedzielne popołudnie. Ma dla niego godzinę, czy to wystarczy?

Tak, powiedział. Dla niego była tylko przystankiem.

Drugą rozmowę przeprowadził z Andreasem Bergerem. Tu też miał szczęście. Berger odebrał telefon, bo Leila była na dworze z dziećmi. Wykazał chęć do rozmowy, a to już się liczyło.

– Mam do pana pytanie, które ma bardzo osobisty charakter. Wydaje mi się, że może to być klucz do całej tej tragedii. Może pan nie odpowiadać, jeśli nie chce.

– Rozumiem.

Van Veeteren zrobił przerwę. Starał się dobierać słowa.

– Czy Eva była dobrą kochanką?

W słuchawce zapadła cisza. Ale za chwilę usłyszał odpowiedź.

– Czy zamierza pan w jakikolwiek sposób wykorzystać to, co mówię? To znaczy...

– Nie. Ma pan moje słowo.

Berger chrząknął.

– Ona była... – zaczął ostrożnie – umiała się kochać jak żadna inna kobieta. Nie miałem ich wiele, ale chyba wolno mi tak powiedzieć... Była... no nie wiem, trudno znaleźć na to właściwe słowa... aniołem i dziwką... kobietą i matką... i przyjacielem. Potrafiła zadowolić we wszystkim... tak, we wszystkim.

– Dziękuję panu, to mi sporo wyjaśnia. Nie wykorzystam nigdzie tego, co mi pan powiedział.

W niedzielę blade niebo zasnuły przelotne, lekkie chmury. Słońce zdawało się zimne i oddalone, od morza wiał wiatr. Przed południem wyszedł na dwór i spacerował wzdłuż kanałów, gdzie ku swemu

zdumieniu zauważył, że może oddychać. Powietrze było rześkie, czuło się w nim powiew zimy.

Okolo drugiej pojechał tramwajem do Leimaar. Beate Lingen mieszkała w jednym z dwóch nowych domów na wzgórzu. Wysoko, na siódmym piętrze, z widokiem na całe miasto, na równinę i rzekę, która wiała się w stronę morza.

Miała balkon obudowany szkłem z ogrzewaniem na podczerwień i domową uprawę pomidorów. Siedzieli na balkonie, popijali rosyjską herbatę i zajadali się cienkim ciastem z kremem i marmoladą.

– Spędzam tu prawie cały wolny czas, gdy jestem w domu – wyjaśniła. – Gdyby było tu więcej przestrzeni, pewnie przestawiłabym tu łóżko.

Van Veeteren skinął głową. Było to niezwykle miejsce. Jakby się siedziało w ciepłej, szklanej klatce, unosząc się swobodnie nad światem. No i ten widok na wszystko, choć przecież czuło się izolację od świata.

W takim otoczeniu właśnie będę pisał swoje pamiętniki, pomyślał.

– No więc co chciałby pan wiedzieć, panie komisarzu?

Niechętnie wrócił myślami do rzeczywistości.

– Panno Lingen – zaczął. – Evę Ringmar znała pani przecież jeszcze z gimnazjum, jeśli dobrze pamiętam. Tym razem bardziej mnie interesuje tamten okres. Niech sprawdzę... To było w...

– Mühlboden. Wyższa szkoła powszechna.

– Chodziłyście do tej samej klasy?

– Tak. Od 1970 do 1973 roku. W maju zdałyśmy maturę.

– Urodziła się pani w Mühlboden?

– W niewielkiej pobliskiej wiosce... Do szkoły jeździłam autobusem.

– A Eva?

– Ona też. Ona mieszkała w Leuven, nie wiem, czy pan zna to miejsce?

– Byłem tam – potwierdził Van Veeteren.

– Tak, wiele osób stamtąd pochodzi, to duża szkoła, chyba jedyna w całym okręgu.

– Jak dobrze pani ją znała?

– Tak naprawdę to wcale... nie utrzymywałyśmy bliskich kontaktów. Nigdy też nie należałyśmy do tej samej grupy. Wie pan, jak to jest. Chodzi się do tej samej klasy, każdego dnia siedzi w tej samej sali, ale o większości osób wie się niewiele.

– A nie orientuje się pani, czy Eva miała jakiegoś chłopaka, takiego, z którym... chodziła?

Co za słowo, pomyślał.

– Zastanawiałam się nad tym – powiedziała Beate Lingen. – Przypominam sobie jedną taką historię w trzeciej klasie. Ostatni rok nauki, jesienią... jeden z chłopaków uległ wypadkowi. Nie chodził do naszej klasy, był chyba o rok starszy od nas, ale wydaje mi się, że Eva miała z nim coś wspólnego.

– To znaczy?

– Nie wiem, stało się to chyba po jakiejś imprezie... W każdym razie kilka dziewczyn z naszej klasy było przy tym, no i wtedy zdarzył się ten wypadek...

– Jaki wypadek?

– Ten chłopak zginął. Spadł z urwiska... byliśmy wtedy w letnim domku koło Kerran... jest tam kilka stromych zboczy... znaleźli go chyba rano. Wydaje mi się, że miało to coś wspólnego z alkoholem.

– Ale nie jest pani pewna, czy Eva tam była?

– Tak, na pewno tam była... i chyba próbowano całe to zdarzenie zatuszować. Nikt nie chciał mówić, co się właściwie stało. Prawie jakby chodziło o jakąś... wstydliwą rzecz.

– I był to nieszczęśliwy wypadek?

– Tak, oczywiście.

– I nigdy nie pojawiły się jakieś podejrzenia?

– Podejrzenia? Na przykład jakie?

– Nieważne – odparł Van Veeteren. – Panno Lingen, czy później kiedykolwiek rozmawiała pani z Evą o tym wydarzeniu? W Karpacz albo tutaj, w naszym mieście?

– Nie, nigdy. W Karpacz właściwie nie utrzymywałyśmy kontaktów. Spotkałyśmy się może ze dwa razy, w końcu przecież chodziłyśmy do tej samej klasy. Raczej z obowiązku. Ona już wtedy miała swoje towarzystwo... ja zresztą też.

– A tutaj, w Maadram? Czy zdarzało wam się wspominać lata gimnazjalne?

– Nie, raczej nie. Może kiedyś tam wspomnialiśmy jakiegoś nauczyciela, ale obracałyśmy się w różnych kręgach, jeśli mogę się tak wyrazić. Nie za bardzo miałyśmy ze sobą o czym mówić.

– Czy odnosiła pani wrażenie, że Eva unikała rozmów o przeszłości?

Beate Linge zawahała się.

– Tak – odparła niepewnie – ma pan chyba rację.

Przez chwilę Van Veeteren siedział w milczeniu.

– Panno Lingen, bardzo mi zależy, żeby dowiedzieć się czegoś bliższego o tamtych latach spędzonych w gimnazjum w Mühlboden. Czy może pani wymienić nazwisko osoby, która była Evie bliska, kogoś, kto wiedział o niej więcej niż pani? Może chociaż dwie takie

osoby...

Beate Lingen zastanawiała się przez chwilę.

– Grete Wojdat – powiedziała po chwili. – Tak, Grete Wojdat i Ulrike deMaas. Trzymały się razem, jestem tego pewna. Ulrike też chyba stamtąd pochodziła... z Leuwen. W każdym razie na pewno jeździły tym samym autobusem do szkoły.

Van Veeteren zanotował oba nazwiska.

– Czy orientuje się pani, gdzie one przebywają teraz? Zmieniły nazwiska, wyszły za mąż, itepe?

– O Grecie Wojdat nie wiem zupełnie nic, a jeśli chodzi o Ulrike... Spotkałam ją przed kilku laty. Mieszkała we Friesen, przynajmniej wtedy, była mężatką, ale chyba zachowała panieńskie nazwisko.

– Ulrike deMaas – powiedział Van Veeteren i dwa razy podkreślił to nazwisko w notesie. – Friesen... sądzi pani, że warto się do nich pofatygować?

– Skąd ja mam wiedzieć? – spytała zdumionym głosem Lingen. – Przecież ja nawet nie wiem, czego pan szuka!

I lepiej, żeby pani się nigdy o tym nie dowiedziała, panno Lingen, pomyślał.

Kiedy wyszedł na dwór, było już ciemno, a wiatr wzmagął się coraz bardziej. Na przystanku stała grupa kiboli w czerwono-białych szalikach i czapkach. Van Veeteren postanowił, że wróci piechotą.

Szedł przez dzielnicę Deijkstraa, minął Pampas w pobliżu lasu, gdzie kiedyś zaczynał swą karierę w policji. Na rogu ulic Burgerlaan i Zwille zatrzymał się na moment i popatrzył na zniszczony budynek, który przylegał do browaru Ritmeeterska.

Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętał. Poniszczona i spękana

fasada, odchodzący tynk. I nawet obsceniczne gryzmoły na ścianie robiły takie wrażenie, jakby pochodziły z poprzedniego stulecia.

W oknach na trzecim piętrze światło było zgaszone, tak jakby to był ów ciepły i pachnący wieczór przed dwudziestu dziewięciu laty, kiedy Van Veeteren i inspektor Munck włamali się do mieszkania, reagując w ten sposób na histeryczny telefon. Munck wpadł do środka jako pierwszy, a wtedy Ocker strzelił mu w brzuch. Potem Van Veeteren siedział na podłodze i trzymał na kolanach głowę Muncka, który się wykrwawiał. Ocker leżał trzy metry dalej, w głębi mieszkania. Van Veeteren zdążył dwa razy przestrzelić mu szyję.

Panią Ocker i ich czteroletnią córkę znalazła później ekipa pogotowia ratunkowego. Ocker udusił je i wepchnął do szafy w sypialni.

Próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni słyszał coś o Elisabeth Munck. Chyba przed wielu laty. Został wtedy kimś w rodzaju jej kochanka, w desperackiej próbie zadośćuczynienia jej i uspokojenia własnych wyrzutów sumienia.

Szedł dalej wolnym krokiem, minął most Alexandra i zastanawiał się, co go skłoniło do wybrania tej właśnie drogi. Nie musiał jakoś specjalnie reanimować wspomnień o wydarzeniach, jakie rozegrały się kiedyś przy Burgerlaan 35, żeby odżyły w jego pamięci.

Było kilka minut po wpół do szóstej, kiedy wszedł do swojego pokoju na czwartym piętrze i już po kwadransie rozmawiał z Ulrike deMaas. Złapał ją pod telefonem i umówił się na spotkanie na następny dzień.

Potem zadzwonił do garażu i zamówił ten sam samochód, co zeszłej niedzieli. Kiedy już wszystko załatwił, zgasił światło i przez chwilę siedział w ciemnościach z dłońmi założonymi na karku.

To dziwne, że wszystko odbywa się tak płynnie.

Jakby ktoś pociągał za sznurki, pomyślał.

Nie była to nowa myśl, ale jak zwykle odegnał ją od siebie.

Zwłoki Elizabeth Karen Hennan znalazł w pobliżu parku Leisner w Maardam pewien mężczyzna, który rankiem spacerował z psem. Ciało było obnażone i leżało w krzakach w odległości zaledwie kilku metrów od ścieżki rowerowej przecinającej park. Wszystko wskazywało na to, że sprawca zbrodni po prostu wyrzucił kobietę z samochodu lub z innego pojazdu.

Nie starał się nawet ukryć zwłok. Pan Moussére ujrzawszy je, jeszcze zanim jego owczarek zdążył dobiec do krzaków, chociaż jego wysiłki powstrzymania naturalnych instynktów psa należałoby uznać za bezskuteczne.

Policję wezwał z pobliskiej budki telefonicznej, a rozmowa została nagrana o godzinie 6.52. Już po kilku minutach jako pierwszy na miejscu zjawił się patrol numer 26 wraz z inspektorami Rodinem i Markovićem. Natychmiast zabezpieczyli teren i przeprowadzili pierwsze przesłuchanie pana Moussére`a.

O godzinie 7.25 zameldował się aspirant Reinhart w towarzystwie inspektora Heinemanna i dwóch specjalistów od szukania śladów na miejscu zbrodni. Lekarze pojawili się dwadzieścia minut później, a pierwszy dziennikarz, którym był Aaron Cohen z gazety „Allgemejne”, przybył na miejsce dopiero około wpół do dziewiątej. Oznaczało to, że ktoś, kto prowadził nasłuch kanału policyjnego, prawdopodobnie przeoczył tę informację. W każdym razie Cohen

zapewniał, że to nie on.

Po pierwszym przeszukaniu miejsca wszystko było już z grubsza wiadome, a Reinhart mógł przedstawić swoją teorię na temat tego, co się wydarzyło.

Ofiarą była Elizabeth K. Hennan, lat trzydzieści sześć, urodzona w Maardam, zatrudniona w sklepie z pamiątkami „Gloss” przy placu Karola. Choć kobieta nie miała na sobie ubrania, identyfikacja przebiegała bez problemów, jako że przedmioty do niej należące znaleziono trochę dalej, w tych samych krzakach. Leżało tam ubranie (z wyjątkiem majtek), torebka z pieniędzmi, klucze i dokumenty.

Na razie nie udało się ustalić dokładnej godziny dokonania zbrodni, ale lekarz policyjny ocenił w przybliżeniu, że sądząc po temperaturze ciała i *rigor mortis*, śmierć nastąpiła między pierwszą a trzecią w nocy.

Nie było natomiast żadnych wątpliwości co do przyczyny zgonu. Kobieta została uduszona, prawdopodobnie w jakimś innym miejscu, skąd ją później przywieziono. Nic nie wskazywało na to, że broniła się przed zabójcą, ale tylko dlatego, że wcześniej została uderzona ciężkim przedmiotem w skroń.

Reinhart nie powiedział na razie o tym, że ciało nosiło ślady przemocy seksualnej. Kobieta została zgwałcona prawdopodobnie zarówno przed śmiercią, jak i po niej.

Komendant policji Edmund Hiller został poinformowany o zdarzeniu około godziny dziewiętej przed południem, kiedy popijał w domu poranną kawę. Od razu zadzwonił do Reinharta i polecił mu, by rozpoczął dochodzenie wstępne. Jednocześnie odsunął Rootha i Heinemanna od sprawy Mittera i oddał ich do dyspozycji Reinharta.

Ani Hiller, ani nikt inny nie miał podstaw do przypuszczeń, żeby

między obu tymi sprawami istniało jakieś powiązanie.

Kiedy tego samego ranka Van Veeteren wyprowadzał czerwoną toyotę z policyjnego garażu, nic nie wiedział o nowej zbrodni. Z drugiej strony nic nie wskazuje na to, że gdyby się o niej dowiedział, mogłoby to jakoś znacząco zmienić przebieg dalszych zdarzeń.

III

Niedziela 1 grudnia
– czwartek 5 grudnia

Miasto Friesen nie za bardzo miało ochotę obudzić się w ten szary, mglisty, grudniowy poranek. Dokładnie o wpół do trzeciej zaparkował samochód przed stacją kolejową, a po kilku minutach znalazł restaurację „Posejdon”, która mieściła się w podziemiach od północnej strony placu targowego.

W lokalu nie było żywej duszy, ale mimo wszystko z dużą uwagą i starannością wybrał stolik w najdalszym kącie. Usiadł i zamówił piwo. Pulchny i łysy kelner przypominał mu jakiegoś gangstera z filmu, który oglądał przed laty.

Właściwie to był jakiś serial, ale tytuł gdzieś mu umknął. Nie pamiętał też, kto w filmie występował ani kto grał jaką rolę.

Kiedy tak siedział, oczekując przyjścia Ulrike deMaas, nasza go jeszcze jedna myśl... mianowicie, że wybrał właściwe miejsce.

To tu powinien był już dawno przyjść na rozmowę z dawną przyjaciółką. Czuł to w wypełniającym otoczenie powietrzu i wilgoci. Zupełnie tak, jakby restauracja i to niedzielne popołudnie czekały na niego. Gdyby to był film, ta scena musiałaby poprzedzać całą fabułę. Było to jedno z tych ujęć, które można wyciąć i powtarzać przy różnych okazjach. Pokazać w parę sekund przegląd całej fabuły... wszystko to jawiło się tak wyraźnie, choć z drugiej strony była to wiedza, od której najczęściej starał się uciec. No i ta intuicja, której

doznawał... sprawiała, że potrafił sobie wyobrazić, iż jest swego rodzaju narzędziem w rękach wyższej sprawiedliwości, narzędziem, które nigdy nie popełnia błędu, nawet w dwudziestym pierwszym przypadku.

W każdym razie nie miał z czego być dumny. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś udało mu się schwytać gwałciciela, bo zamknął się na klucz w pokoju i przez pół godziny stawiał pasjansa.

Powoli dopił piwo i czekał. Siedział przy brudnożółtym stole jak jakiś ojciec chrzestny. W pewnej chwili pojawił się łysy kelner, który zapalił świeczkę, żeby w ten sposób zaznaczyć, że stolik jest zajęty. Na razie ukrywał się w cieniu i czekał, tak jak Van Veeteren na zjawienie się Ulrike deMaas.

Przyszła zaraz po trzeciej, tak jak obiecała. Szczupła kobieta o śniadej karnacji, w dżinsowej kurtce do kolan i rdzawoczerwonym szalu. Skończyła pracę w muzeum o trzeciej, do lokalu miała tylko kilka kroków przez plac, a zgaszenie świateł i zamknięcie drzwi zabrało jej zaledwie kilka minut. Van Veeteren uznał, że liczba gości w lokalu odpowiada jego kategorii; była niedziela, pierwsza niedziela adwentu, a ludzie mieli chyba coś innego do roboty niż chodzenie do restauracji i muzeów.

– Komisarz Veeteren?

– Tak, proszę siadać. Pani Ulrike deMaas?

Potwierdziła skinieniem głowy i powiesiła kurtkę na krześle.

– Proszę wybaczyć, że zaprosiłam pana tutaj, a nie do mojego mieszkania, ale mam tam trochę bałaganu, a pan chciał porozmawiać w spokoju i ciszy, prawda?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– To naprawdę bardzo dobre miejsce – odparł komisarz. – Co dla pani zamówić?

W tym momencie z cienia wysunął się łysy kelner.

– Coś do jedzenia? – zawahała się Ulrike deMaas.

– Oczywiście – odparł Van Veeteren. – Prowadziłem samochód przez dwie godziny, ale czeka mnie taka sama droga powrotna. Zamówię sobie jakąś potrawkę, a pani może wybrać, co chce, i tak za wszystko płaci państwo.

Ponownie się do niego uśmiechnęła. Zdjęła opaskę z włosów w kolorze kasztanów i rozpuściła je. Van Veeteren przypomniał sobie, że do emerytury zostało mu jeszcze dziesięć lat.

Zapaliła papierosa.

– Wie pan, kiedy przeczytałam o jej śmierci, poczułam się... no może nie tak, jakbym się tego spodziewała, ale na pewno nie byłam zszokowana albo przerażona. Czy to nie dziwne?

– Być może. Czy może mi pani wyjaśnić to bliżej?

Tak – odparła Ulrike, choć przez chwilę się zawahała. – Eva była taką osobą... prowadziła ryzykowny tryb życia... nie, to chyba za dużo powiedziane... w każdym razie wisiało nad nią coś dramatycznego.

– Znała ją pani dobrze?

– Tyle co wszyscy inni. To znaczy w tamtym okresie. Później już nigdy się nie spotkałyśmy. Przez sześć lat chodziłyśmy do tej samej klasy, trzy ostatnie lata w Leuven, a trzy do gimnazjum... w Mühlboden. W gimnazjum trzymałyśmy się razem, tworzyłyśmy taką grupę, cztery albo pięć osób... właściwie to bandę, można powiedzieć.

– Dziewczyny?

– Tak, to była babska banda. Najczęściej, kiedy coś robiłyśmy, to we dwie albo trzy. Pozostałe były zajęte chłopakami... ale to się zmieniało...

– Rozumiem. Czy w tamtym okresie Eva miała wielu chłopaków?

– Nie, ona była z nas wszystkich najostrożniejsza, bez wątpienia, chociaż....

– Tak?

– Miała o wiele większy powód niż my wszystkie, żeby zachowywać ostrożność. Zabrzmiałoby to dziwnie, ale bardzo się we wszystko angażowała... Musiała się pilnować, żeby ktoś nie zrobił jej krzywdy... to znaczy, żeby jej nie zranił. Była jednocześnie mocna i krucha, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

– Nie za bardzo – przyznał Van Veeteren.

– W gimnazjum też dość szybko się zmieniła... W szkole w Leuven słabo ją znałam. Ona i jej brat, Rolf... byli bliźniętami i byli ze sobą bardzo blisko związani. Mniej więcej w tamtym okresie zmarł im ojciec, ale myślę, że dobrze się dla niej stało... facet pił. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby ich bił... i ich mamę.

– W jaki sposób Eva zmieniła się w gimnazjum?

– Stała się... bardziej otwarta. Znalazła dobrych przyjaciół, zaczęła żyć, tak można by to określić...

– Dzięki śmierci ojca?

– Tak, tak myślę. Jej więzi z Rolfem trochę się poluzowały, bo potrzebowali się głównie chyba po to, żeby wspólnie bronić się przed ojcem.

– Rolf się później wyprowadził?

– Tak, on też poszedł do gimnazjum, chodził do równoległej klasy, ale przerwał naukę. Ciągnęło go na morze... W końcu wyjechał do

Ameryki, tak mi się wydaje.

Van Veeteren skinął głową.

– Czy przypomina pani sobie nazwiska chłopaków, z którymi spotykała się Eva?

– Tak... Zastanawiałam się nad tym po pana telefonie, ale jedyne nazwiska, jakie mi przychodzą na myśl, to znaczy chłopcy, z którymi była naprawdę blisko... jeśli pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć... to Rickard Antoni, chodził z nami do klasy. To było zaraz po zakończeniu szkoły i chyba trwało nie dłużej niż kilka tygodni. W każdym razie rozstała się z nim, kiedy jesienią poszła na uniwersytet, bo wtedy on spotykał się już z inną. To była moja przyjaciółka, Kristine Reger. Potem się pobrali.

– A kim był ten drugi?

– Ten drugi?

– Tak, wspomniała pani, że spotykała się z dwoma chłopakami.

– Paul Bejsen, oczywiście. Już nie żyje.

Beate westchnęła głęboko. Zapaliła kolejnego papierosa i przez chwilę siedziała w zupełnej ciszy z głową wspartą na jednej ręce.

Potrzebuje trochę czasu, żeby przyjść do siebie, pomyślał Van Veeteren. Żeby przezwyciężyć opór.

– To było w dniu Wszystkich Świętych, ostatni rok szkoły. Jeden z chłopców z naszej klasy, Erwin Lange, miał domek letni, to znaczy jego rodzice mieli domek letni... w pobliżu Kerran, jest tam wspaniała przyroda, łąki i skałki, wąwozy... był pan tam kiedyś?

Van Veeteren potrząsnął przecząco głową.

– Pojechaliśmy tam na imprezę... było nas gdzieś tak ze dwadzieścia osób, większość z naszej klasy i kilka osób spoza. Eva chodziła wtedy z tym Bejsenem od dwóch miesięcy... był od niej

trochę starszy, w tym samym roku zdał maturę. W każdym razie byli ze sobą mocno związani, wiem o tym dobrze.

– Czy był jej pierwszym kochankiem?

– No nie wiem... – zawahała się – kto inny mógłby nim być...

– Ale...?

– Ale miałam wrażenie, że wcześniej też coś takiego przeżyła... że była już doświadczona w tych sprawach.

– Dlaczego pani tak sądziła?

– Nie wiem. Coś takiego od razu widać. My, dziewczyny, to znaczy kobiety, umiemy to dostrzec... Po dziewczynie od razu widać, czy była już w łóżku z jakimś facetem.

Van Veeteren skinął głową. Pewnie miała rację.

– I co się wydarzyło tamtego wieczoru?

– Sporo wtedy wypiliśmy, mieliśmy też trochę haszu, ale nikomu nie urwał się film, było naprawdę przyjemnie. Przez cały wieczór siedzieliśmy przy ognisku w ogrodzie, piekliśmy prosię, piliśmy i śpiewali... no wie pan, jak to jest. Od czasu do czasu ludzie dobierali się w pary i znikali na jakiś czas... w domku albo gdzieś na wrzosowiskach... Wiem, że przynajmniej dwie dziewczyny straciły wtedy dziewictwo... ja byłam jedną z nich – dodała po krótkim wahaniu.

Van Veeteren zamienił wykałaczkę na papieros.

– Cholera, miałam wtedy osiemnaście lat! To był już najwyższy czas... Tak, a rano dowiedzieliśmy się, co się stało, i muszę panu powiedzieć, że to był naprawdę popieprzony ranek... Na pewno potrafi pan to sobie wyobrazić. Obudziła nas policja, była chyba godzina wpół do ósmej... dwudziestka pijanej młodzieży i dwie godziny snu... Policja i sąsiad... To on znalazł zwłoki pod urwiskiem...

Wie pan, to chyba właśnie wtedy wielu z nas dorosło.

Na chwilę umilkła.

– Ja na pewno dorosłam. Tej samej nocy straciłam dziewictwo i dobrego przyjaciela...

– Czy Paul Bejsen był pani dobrym przyjacielem?

– Hm... może nie całkiem, ale na pewno go znałam. To był miły chłopak, sympatyczny i utalentowany, wszyscy go lubili, kilka dziewczyn na pewno się w nim podkochiwało...

– Pani też?

– Nie... wtedy nie. Może wcześniej...

– A co się dokładnie wydarzyło?

Ulrike deMaas ściągnęła ramiona, jakby nagle zmarzła.

– Poszedł z Evą na wrzosowisko... ona z nim z jakiegoś powodu zerwała i zostawiła go tam. Nie wiem, ale chyba musiał być bardzo pijany... Później się o tym nie mówiło... no w każdym razie zabił się. Rzucił się z góry w dół urwiska. Na nieszczęście wybrał miejsce, które nadawało się do tego najlepiej. Tamtą skałę nazywają klifem Vejme... przynajmniej w tradycji ludowej... to jedno z tych miejsc, jakich pełno na całym świecie. Przychodzili tam dawniej starzy ludzie, kiedy wyczuwali, że zostało im już niewiele życia. Nie chcieli być ciężarem dla rodziny... To była straszna historia, panie komisarzu – mówiła dalej Ulrike. – I nigdy wcześniej żadnej sprawy nie starano się wyciszyć tak jak tej. Jego rodzice byli bardzo religijni, należeli do Kościoła Reformowanego, a on był ich jedynym dzieckiem... pewnie pan to rozumie. Mühlboden to niewielka miejscina.

Van Veeteren skinął głową.

– A co pani wie na temat dochodzenia prowadzonego przez policję? Musieli was przecież wszystkich przesłuchać?

– Tak, kazali nam się zgłosić na posterunek i złożyć zeznania. Pytali o to, co się działo o różnych godzinach. Trwało to kilka dni, musieliśmy się zwalniać z lekcji. Jednak nie mieliśmy zbyt wiele do powiedzenia.

– Zostawił po sobie jakiś list?

– Nie.

– A jak zareagowała na to Eva Ringmar?

– Ciężko to przeżyła. Bardzo ciężko. O ile dobrze pamiętam, przez resztę semestru nie przychodziła do szkoły... albo prawie przez cały semestr... Pamiętam, że przyszła po świętach Bożego Narodzenia, tak. Śpiewała ze mną w chórze, wcześniej nic oczywiście nie ćwiczyła, ale to nie miało znaczenia. Śpiewaliśmy wtedy stare, tradycyjne kolędy.

– Dzisiaj przypada pierwszy dzień adwentu – powiedziała po krótkiej przerwie. – Od tamtych wydarzeń minęło już dwadzieścia lat... nawet o tym nie pomyślałam. Czy wolno mi zadać panu pytanie?

– Oczywiście.

– Po co szuka pan czegoś w przeszłości? Chyba pan nie sądzi, że tamte wydarzenia mogą mieć cokolwiek wspólnego z...?

– Z czym, panno deMaas... a może pani deMaas?

– Właściwie to tak pośrodku... z tym, co się wydarzyło niedawno. Z zamordowaniem Ewy i jej męża... Chyba pan nie sądzi, że jest jakiś związek?

– Panno deMaas – powiedział Van Veeteren – jeśli nauczyłem się czegoś w tym zawodzie, to przede wszystkim tego, że na świecie istnieje o wiele więcej powiązań niż pierwiastków we wszechświecie.

Odczekał chwilę i pozwolił, żeby przyglądała mu się swoimi zielonymi oczyma, a potem dodał:

– Cała trudność polega na tym, żeby znaleźć te właściwe.

– A panu się to udało? – spytała, zanim pożegnali się na rynku. – Znalazł pan te właściwe powiązania?

– Chyba tak – odparł. – Muszę tylko trochę dokładniej przestudiować poszczególne składniki, żeby być pewnym.

Nie bardzo wiedział, co ma na myśli, wypowiadając takie słowa. Miała takie duże i poważne oczy, a to, co usłyszał, nie brzmiało wcale głupio. Kto powiedział, że myśl koniecznie musi poprzedzać słowa? Czyż przez te wszystkie lata nie nauczył się, że może być odwrotnie...

Niech słowa płyną, bo zawsze coś w sobie kryją, jak mawiał Reinhart.

Objęła go i podziękowała, że państwo zafundowało jej obiad. I nagle uświadomił sobie, że to druga kobieta, jaką poznał w trakcie tego dochodzenia, która mogłaby mu się spodobać.

Gdyby oczywiście był w odpowiednim wieku. I gdyby mu się spodobała.

Dopiero po trzydziestu minutach jazdy otrząsnął się z tych niepożądanych myśli, choć z drugiej strony miał wystarczająco dużo czasu, żeby się zastanowić, czego tak naprawdę się dowiedział, i zaplanować następny krok.

Czuł, że jest już całkiem blisko. Jeszcze może jedna albo dwie rozmowy. Kilka konkretnych pytań zadanych właściwym osobom i będzie już wiedział o jej przeszłości wszystko.

A wtedy nie pozostanie mu już nic innego, jak tylko odszukać najważniejszą postać tego dramatu. Kogoś, kto gra główną rolę.

Mordercę.

Westchnął i poczuł narastający niesmak.

Zmęczenie i poczucie beznadziejności.

Ile to osób? Ilu ludzi musiało oddać życie tylko po to, żeby ten perwersyjny...

Nie wiedział.

Dwoje... to na pewno.

Troje... z dużym prawdopodobieństwem.

Czworo... to możliwe.

A może więcej?

Nie wykluczał takiej ewentualności. Po tak długim czasie spędzonym po mrocznej stronie życia już całkiem niewiele rzeczy uważał za niewiarygodne.

A jednak. A jeśli się nie przyzna?

Jeśli jest już tak zatwardziałym łajdakiem, że zaprzeczy, kiedy on, Van Veeteren, przeprowadzi konfrontację z jego udziałem?

Nie jest to zbyt prawdopodobne, ale całkiem możliwe... a wtedy będzie musiał mu to wszystko udowodnić!

Zaklął głośno i przyspieszył, ale od razu przypomniał sobie o warunkach.

Dowody?

To nie jego broszka. Niech inni się tym zajmą, Münster, Reinhart i Rooth, a on w tym czasie będzie siedział pod palmą w Brisbane...

Czy w Brisbane są palmy?

Włączył muzykę Händla i jeszcze bardziej przyspieszył.

Münster spojrział na listy, a potem na Junga, który drzemał pod portretem ministra sprawiedliwości.

Pan i niewolnik, pomyślał Münster. Minister o sokolim wzroku stał sztywno wyprostowany na jasnoniebieskim tle, mając po swojej jednej stronie flagę państwową i figurę lwa, a po drugiej biurko, kodeks karny i młotek.

Z kolei Jung przypominał mu zawodowego przestępcę ubranego w brudne spodnie z manchesteru i koszulę z plamami po kawie. Był nieogolony, a worki pod oczami świadczyły, że przez ostatnie dwa dni niezwykle ciężko pracował.

– Aha – powiedział Münster i chrząknął. – Sądząc po tym, co widzę, jesteście gotowi.

– Hmmm? – zainteresował się Jung.

– Zostało nam tylko jedno nazwisko. W takim razie to on.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – spytał Jung, pocierając oczy dłońmi. – Czy mamy więcej kawy?

Münster nalał kawę do dwóch kubków.

– Siądź tutaj i sprawdzaj, to jeszcze raz przelecimy listę.

Jung opuścił miejsce pod portretem ministra i siadł przy biurku.

– Na liście są nazwiska osób, które nie mają alibi na czas, kiedy zamordowano Evę Ringmar – powiedział Münster i przerzucił kilka papierów. – Jest ich oczywiście sporo.

– Czy mówimy o całej ludzkości, czy też ograniczamy się jedynie do Europy? – spytał Jung.

– Bungare plus kilku znajomych – odparł Münster.

Jung skinął głową i upił trochę kawy.

– Na liście są ci, którzy mieszkają w mieście nie dłużej niż dwa lata – wyjaśnił Münster i położył na biurku następną kartkę.

– A na tej ci, co mają... późne alibi na czas zbrodni na Mitterze.

– To ci, co mogli wejść do budynku i z niego wyjść – powiedział Jung.

– I w tym czasie zabić Mittera – dodał Münster.

– Zakłuć – sprostował Jung.

– Niedawno dostałem raport od deBriesa – mówił dalej Münster. – Sprawia wrażenie dość solidnego. Píše w nim, że ktoś wbił się Mitterowi w gardło, za jednym razem.

– A jak deBries doszedł do takiego wniosku?

– DeBries i Moss pojechali tam i urządzili sobie wspinaczkę – uśmiechnął się Münster. – To znaczy Moss się wspinał, a deBries sporządzał protokół... próbowali ośmiu różnych rynien łączących trzecie piętro z podłogiem. Wszystkie te rynny wytrzymały bez problemu pierwszą próbę, kiedy Moss schodził w dół, trzy z nich wytrzymały cztery próby...

– Ile waży Moss? – spytał Jung.

– Około dziewięćdziesięciu kilogramów – odparł Münster. – Zastanawia się nad rezygnacją z pracy w policji, tak przynajmniej twierdzi deBries, ale jak rozumiem, zarówno pacjenci, jak i lekarze świetnie się bawili w tamto popołudnie... No dobra, przejrzyj teraz te nazwiska i porównaj. Ile nazwisk powtarza się na wszystkich trzech listach?

– Tylko jedno – odparł Jung po przestudiowaniu nazwisk.

– No właśnie. No to go mamy. Ale jest jeszcze coś. Zwróciłeś na to uwagę?

– List? – spytał Jung.

– Tak – odparł Münster. – Jeśli to on, teza z listem też się zgadza.

Idziemy?

– A dokąd? – spytał Jung, spoglądając na zegarek.

– To jasne, do domu. Do Van Veeterena zadzwonię jutro rano.

– Posłuchaj – rzekł Jung, kiedy zjeżdżali windą w dół. – O co w tym wszystkim chodzi? Myślę o motywie.

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł Münster.

– Mówi Reinhart – rozległ się głos w słuchawce.

– Do cholery – odparł Van Veeteren. – Czy ty wiesz, która jest godzina?

– Wpół do piątej – powiedział Reinhart. – Spałeś już?

– Spadaj na drzewo. Czego chcesz?

– Czy słyszałeś już o morderstwie w parku Leisner?

– Tak, coś słyszałem. O co chodzi? Ofiara ożyła?

– Myślę, że istnieje powiązanie.

– Powiązanie?

– Tak, związek.

– Z czym?

– Z twoim mordercą, to jasne. A może rozmawiam z kimś innym niż z byстрыm komisarzem Van Veeterenem?

– Tak, z tym, co z niego zostało. Powiedz w końcu, o co ci chodzi, bo inaczej tobą też się zajmę.

– Przesłuchałem kilka osób.

– Mam nadzieję.

– W tym między innymi przyjaciółkę ofiary, nazywa się Johanna Goertz. Wygląda na to, że Liz Hennan zwierzała jej się z różnych spraw.

– Hennan? To nazwisko ofiary?

– Tak, Liz Hennan... Opowiedziała tej Goertz... to było w czwartek... że poznała nowego faceta. I że ma się z nim spotkać w sobotę... no i że się trochę boi. Trochę też o nim opowiedziała, ale nie za dużo, bo sama pewnie niewiele o nim wiedziała. Nawet tego, jak się gość nazywa. Przedstawił się jako John, ale nie bardzo wierzyła, że to jego prawdziwe imię... Słuchasz mnie?

– Tak – odparł Van Veeteren. – Przejdź do rzeczy.

– Za chwilę. W każdym razie w rozmowie z Liz facet powiedział jej coś dziwnego, jakby mimochodem... Mówił, że pewnego razu złapał w niedwuznacznej sytuacji pewnego kuratora z młodym chłopakiem.

– Co?

– No właśnie. *In flagranti*. Kuratora z uczniem... Jak myślisz, o czym to może świadczyć?

– Musi to mieć coś wspólnego ze szkołą – powiedział po chwili milczenia inspektor.

– Jak też tak myślę. Ale teraz jestem trochę zmęczony... Pójdę do domu, prześpię się trochę i nie będę odbierał telefonów. Zadzwoń do mnie około dziewiątej.

– Poczekaj – zdążył jeszcze powiedzieć Van Veeteren, ale było już za późno.

Na samym końcu książki zapisał szóste nazwisko.

Przez chwilę przyglądał się liście. Trzy kobiety i trzech mężczyzn.

Stan równowagi, chociaż ten trzeci „mężczyzna” był jeszcze dzieckiem.

Wpisał też datę. Próbował i to jakoś uporządkować, ale poszło mu gorzej. Poszczególne godziny rozkładały się na lata i miesiące. Jedyna prawidłowość, jaką zaobserwował, to ta, że odstęp czasowy malał. Osiem lat... sześć... znowu sześć... siedem tygodni... dziesięć dni...

Zamknął książkę i wsadził ją do zewnętrznej przegródki. Spojrzał na zegarek. Kilka minut po piątej. Na dworze nadal panowała zupełna ciemność. Walizki leżały spakowane na łóżku. Nie ma już co dłużej czekać. Trzeba jechać.

Po raz kolejny zostawić wszystko za sobą.

Odczuwał ogromne zmęczenie, jakby ktoś nakłuwał go igłami. Obiecał sobie, że nie będzie jechał zbyt szybko. Dwadzieścia, trzydzieści mil, potem jakiś motel i łóżko.

Najważniejsze, żeby stąd zniknąć.

Jeśli będzie mógł się przespać, stawi życiu czoło już jutro rano. Zacznie od początku.

To, co dawne, zostawi daleko za sobą. Tamto już się skończyło. Zrozumiał, że wreszcie jest gotów.

Jutro. W nowym miejscu.

– Co pan tu, do cholery, robi? – spytał Suurna.

– Przyszedłem, żeby odwiedzić moją starą budę – odparł Van Veeteren. – A od kiedy to pan dyrektor przeklina?

– Przyszliśmy tutaj, żeby aresztować mordercę – oznajmił Reinhart.

Suurna otworzył i zamknął usta, zrobił to kilka razy, ale nie wypowiedział ani słowa. Złapał się rękami za biurko, a Münsterowi po raz kolejny wydawało się, że pan dyrektor zemdleje.

– Niech pan dyrektor usiądzie. O, tak.

– Chodzi nam o Carla Fergera – powiedział Van Veeteren. – Czy pan wie, gdzie możemy go teraz znaleźć?

– Ma pan na myśli naszego portiera? Czy jest pan absolutnie pewien, że...

– Całkowicie – odparł Reinhart. – Czy może się pan dowiedzieć, gdzie on teraz jest?

– Tak... oczywiście. Poproszę pannę Bellevue...

Suurna wcisnął przycisk wewnętrznego telefonu.

– Niech pan ją tylko poprosi, żeby tu przyszła – powiedział Van Veeteren. – Nie chcielibyśmy, żeby go ostrzegła.

Panna Bellevue zjawiała się pół minuty później.

– Panowie szukają Fergera – powiedział Suurna. – Czy wiesz, gdzie go można znaleźć?

– Jeszcze nie przyszedł – odparła panna Bellevue, potrząsając kolczykami.

– Nie przyszedł? A dlaczego...

– O której godzinie miał zacząć? – przerwał mu Van Veeteren.

– O wpół do ósmej – odparła panna Bellevue. – Ale nie zgłaszała nam, że ma zwolnienie lekarskie. Nie wiem, co się mogło stać. Mattisen już kilka razy pytał o niego. Mieli dzisiaj jakąś pracę do wykonania...

– Cholera jasna! – zaklął Van Veeteren.

– Czy ktoś do niego dzwonił? – spytał Reinhart.

– Tak, Mattisen, ale nikt nie podnosił słuchawki. Może popsuł mu się samochód albo zdarzyło się coś innego.

– Dwie godziny? – zdziwił się Suurna. – Przecież on mieszka dziesięć minut stąd.

– Cholera jasna – zaklął ponownie Van Veeteren. – Proszę mi natychmiast dać jego adres! Münster, pojedziesz ze mną do niego! Reinhart, zajmij się kuratorem!

– Z przyjemnością – powiedział Reinhart.

Zastukał do drzwi i wszedł do środka.

Kurator był mężczyzną w wieku czterdziestu kilku lat. Miał brodę, sandały i kolczyk w uchu.

– Nie, proszę, tu nie... – zaczął.

– Nie mam za dużo czasu – przerwał mu Reinhart. – Proponuję, żebyś zajął się chłopcem trochę później.

Chłopak leżący na kanapie podniósł się niechętnie.

– Poczekaj chwilę na zewnątrz – powiedział kurator. – Jak pan, do cholery, śmie wpadać tutaj i...

Reinhart odczekał, aż drzwi za chłopakiem się zamknęły.

– Szczerze mówiąc, cholernie mi się spieszy. Dlatego dam ci szansę, żebyś się z tego wywinął.

– Nie rozumiem, o czym ty mówisz. A przede wszystkim, kim ty jesteś?

– Policja – odparł Reinhart. – Jeśli przyznasz się od razu, obiecuję, że nie zrobię z tego sprawy... tym razem. Jak będziesz kręcił... cóż, trudno ci będzie zachować tę pracę.

Kurator milczał. Potem usiadł ostrożnie przy drugim końcu biurka.

– Powiedz mi, czy w ostatnim roku byłeś związany z jakąś uczennicą? A może nawet ją posuwałeś tu, w szkole?

Żadnej odpowiedzi. Kurator przełknął ślinę i złapał się za brodę.

– Kurwa, mnie nie chodzi o ciebie! – zawołał Reinhart. – Tu chodzi o większe gówno. Masz dziesięć sekund, a potem zabiorę cię na posterunek!

Kurator puścił brodę i spojrzał Reinhartowi w oczy.

– Tak – odparł. – To...

– Dziękuję – powiedział Reinhart. – To mi wystarczy.

Potem wyszedł z pokoju, a drzwi zamknął z takim hukiem, że aż echo rozniosło się po korytarzu.

– Wyważyć drzwi! – rozkazał Van Veeteren.

– Nasi chłopcy mogą tu przyjść i otworzyć zamek – przypomniał Münster.

– Nie zdążą.

– W takich budynkach mieszka zazwyczaj gospodarz domu.

– Wyważyć drzwi, powiedziałem! Mam to sam zrobić?

Münster rozpedził się. Drzwi znajdowały się w bardzo dobrym

miejscu, na samym końcu korytarza. Od schodów dzieliło je osiem metrów. Van Veeteren odszedł na bok.

– Walnij porządnie!

Münster z całej siły uderzył ramieniem w drzwi. Zatrzeszczały, ale skutek był żaden.

– Jeszcze raz! – rozkazał Van Veeteren.

Münster rozpędził się jeszcze raz, ale z podobnym skutkiem.

– Przyrowadź gospodarza domu! Ja tu poczekam.

Po dziesięciu minutach wrócił Münster, prowadząc ze sobą szczupłego mężczyznę w roboczym kombinezonie i w czapce z daszkiem.

– Nazywam się Gobowsky – przedstawił się.

Wokół stóp Van Veeterena utworzył się pierścień ze zużytych wykałaczek. Gobowsky przyglądał się temu krytycznym wzrokiem. Poprosił Van Veeterena, żeby pokazał mu swoją legitymację służbową.

Niech to szlag, właśnie dziś wybierał się do kina.

Mieszkanie składało się z dwóch małych pokoiów i jeszcze mniejszej kuchni. Wystarczyło im kilka sekund, żeby stwierdzić, że lokator zniknął. Van Veeteren opadł na fotel ze sztucznej skóry.

– Uciekł – stwierdził. – Musimy ogłosić alarm na terenie całego kraju. I mam w nosie, ile to będzie kosztować. Münster, zostaniesz tu i przeszukasz mieszkanie! Przyślę ci jeszcze kogoś do pomocy.

Münster skinął głową. Komisarz odwrócił się do gospodarza, który stał w przedpokoju i przyglądał się wszystkiemu z zaciekawieniem.

– Czy on ma samochód? – spytał Van Veeteren.

– Tak, niebieskiego fiata, chyba model 326.

– Gdzie go zazwyczaj stawia?

– Na parkingu – odparł Gobowsky, wskazując na podwórze.

– Pójdzie pan ze mną i powie mi, czy samochód nadal tam stoi.

W mieszkaniu zostanie mój pracownik.

– Zaczekajcie! – zawołał nagle Münster, gdy wychodzili z mieszkania. – Popatrzcie na to!

W ręce trzymał niewielką fotografię w ramce. Van Veeteren wziął ją do ręki i przyjrzał się jej bliżej.

– Eva Ringmar – powiedział. – Ma tu kilka lat mniej, ale to na pewno ona.

– Teraz nie ma już żadnych wątpliwości, prawda? – spytał Münster.

– A czy ja kiedykolwiek w to wątpiłem? – odparł Van Veeteren i wyszedł z mieszkania.

– Tak, Carl Ferger – powiedział Reinhart. – Przeprowadził się tutaj prawdopodobnie w 1986 roku albo jakiś rok wcześniej... i od razu wyślijcie faks! I dopiszcie, żeby odpowiedzieli natychmiast, jak tylko go znajdą! Zaangażujcie Interpol i wykorzystajcie wszystko, co mamy do dyspozycji, a potem meldujcie o wszystkim mnie albo któremuś z naszych. Od razu, jak przyjdzie odpowiedź! Zrozumiałeś?

Widmar Krause skinął głową.

– Wyślijcie też faks do Urzędu do spraw Imigracji i na drugą stronę – powtórzył Reinhart. – Niech się trochę pościgają.

Krause wyszedł z pokoju, a Reinhart spojrzął na zegarek. Piętnaście po dwunastej. Potem zerknął na Van Veeterena, który prawie leżał na biurku.

Wygląda jak wyjęty z wyzymaczki, pomyślał.

– Jak myślisz, gdzie on teraz jest? – spytał.

– Prawdopodobnie kima w jakimś motelu. Jeśli tak, to wcale niegłupi pomysł. A wiesz, dzisiaj, o wpół do piątej rano, obudził mnie jakiś gnojek. Może pójdziemy coś zjeść?

– Dobrze, tylko nie na stołówce.

– Nie, za cholere. Jeśli faktycznie mamy czas, żeby trochę poczekać, możemy sobie pozwolić na coś bardziej wykwinanego.

– Świetnie – ucieszył się Reinhart. – To chodźmy do „La Canaille”, a u oficera dyżurnego zostawimy numer do lokalu. A co, jeśli dyżur ma Klempje?

– Bez obaw – odparł Van Veeteren. – On nadal ma szlaban.

Zmiana sytuacji nastąpiła o dwunastej, kiedy w radiu spiker czytał wiadomości.

Ferger spał przez trzy godziny w swoim samochodzie stojącym na parkingu. Leżał skulony pod kocem na tylnym siedzeniu i obudził się, gdy przemarzł. Zanim ruszył w dalszą drogę, włączył radio i trafił na wiadomości. To z nich dowiedział się, że jest poszukiwany.

Szukają go na terenie całego kraju. Carl Ferger, podejrzany o popełnienie trzech zabójstw. Podróżuje niebieskim fiatem 326, numer rejestracyjny...

Wyłączył radio. Przez kilka sekund świat zawirował mu w głowie, a krew zaczęła mocniej pulsować w skroniach. Jego dłonie obejmowały kierownicę z taką siłą, że aż pobiełały mu kostki.

Wpadli na jego trop. Szukają go.

Polują na niego.

Jak na zwierzyne.

Dopiero po chwili się uspokoił.

Trzy zabójstwa?

Roześmiał się.

A które? Takie właśnie pytanie zada im, kiedy go schwytają. Pan wybaczy, panie glino, ale ja popełniłem sześć zabójstw. Za które chcecie mnie aresztować?

Od jego oddechu szyby zaszyły parą. Wytarł je do czysta

chusteczką, uchylił jedną z nich i rozejrzał się. Parking był pusty, nie licząc wielkiej ciężarówki, która stała około pięćdziesięciu metrów dalej.

Niebieski fiat... cholera, po co wyłączył radio? Znowu je włączył, ale tym razem grała tylko muzyka.

Co jeszcze mogą o nim wiedzieć?

Czy wiedzą, gdzie jest?

Alarm na terenie całego kraju... co to znaczy? Blokady na drogach?

Chyba nie. Od kiedy opuścił Maardam, przejechał ponad trzysta kilometrów... Jeśli wiedzą, kiedy mniej więcej wyjechał, chyba się domyślają, że może być w każdym miejscu...

Ale jak mogli trafić na jego ślad?

Zapуścił silnik. Przejechał powoli obok ciężarówki i wjechał na autostradę.

To chyba Liz im powiedziała. Co za kurwa! Coś poszło nie tak, ale nie potrafił zrozumieć, jak udało im się powiązać ją z pozostałymi... Pieprzona dziwka! Gdyby tylko od początku posłuchał, co mu podpowiada jego wewnętrzny głos... głos, który go ostrzegał, żeby trzymał się z dala od tej... wywłoki. Była dla niego tylko kawałkiem mięsa...

Obrzydliwym kawałkiem mięsa.

W każdym razie już nigdy więcej nie popełni podobnego błędu. A policja będzie musiała przyznać, dla przyzwoitości, że wyświadczył społeczeństwu przysługę, uwalniając je od kogoś takiego jak Liz Hennan. Jeśli o nią chodzi, nie ma sobie nic do zarzucenia. Trochę gorzej sprawa wygląda z innymi. Tam chodziło o coś zupełnie innego. No, ale teraz nie ma czasu, żeby siedzieć i zastanawiać się nad tym.

Teraz musi działać. Coś jednak zaskoczyło, a to oznacza, że wyczuł odpowiedni moment i dzięki intuicji uratował się kolejny raz. No bo jak inaczej wytłumaczyć to, że opuścił mieszkanie w ostatniej chwili? Dokładnie tak samo było w przypadku Ellen...

Ellen. To już dwanaście lat. Ona też była dziwką. Bez dwóch zdań. Zwykłą, pieprzoną dziwką, tak jak Liz. Widzi je przed sobą... tak samo wyużdane, tak samo bezwstydne, tak samo...

Przyspieszył. Spojrzał na wskaźnik poziomu paliwa i zobaczył, że niedługo będzie musiał zatankować. Czemu ciągle je widzi? Ich nagie ciała, pulsujące podbrzusza... Teraz nie ma na to czasu, musi skoncentrować myśli na bardziej konkretnych sprawach, a nie na tym, co jest tak odpychające. Musi zachować jasny umysł. Musi jasno myśleć, podejmować właściwe decyzje, a przecież ma tak mało czasu...

Szukają go.

Spojrzał na zegarek. Kwadrans po dwunastej. Czy komunikat, że jest poszukiwany, nadali po raz pierwszy, czy też powtarzali go od samego rana? Najlepiej, jak radio będzie włączone przez cały czas, wtedy nic nie przeoczy.

Włączył radio i zapalił papierosa. One też mu się zaraz skończą.

Najpierw musi zatankować i kupić papierosy.

A potem?

Radio... A jak to wygląda w telewizji? W gazetach? Czy mają już jego zdjęcie?

Czy kiedy pojawi się na stacji benzynowej, będzie już tak znany jak prezydent?

Telewizja nie stanowi chyba zbyt wielkiego ryzyka. Przecież nikt nie siedzi i nie ogląda jej przed południem. Bardziej niebezpieczne są

gazety... Na szczęście w porannych gazetach nic na ten temat nie ma, przynajmniej nie w tej, którą kupił rano. Znalazł tam oczywiście notatkę o ostatnim zabójstwie, ale ani słowa o Carlu Fergerze, który porusza się niebieskim fiatem.

Na pewno coś będzie w gazetach wieczornych. Może nawet wydrukują afisze z jego zdjęciem... tak jak kilka lat temu wydrukowali afisze ze zdjęciem zabójcy ministra.

Nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Kiedy drukują pierwszy nakład? O drugiej? O wpół do trzeciej?

Wcześniej będzie musiał stać się kimś innym.

Tak po prostu. Musi jak najszybciej wjechać do jakiegoś miasta... zdobyć jakieś przebranie. Szkoda, że wyrzucił perukę, choć z drugiej strony i tak o niej wiedzieli. Co dalej?

Samochód.

Pozbyć się tego i wypożyczyć inny?

Czuł, że to zły pomysł. Narazi się w ten sposób na duże ryzyko, w końcu postanowił jechać dalej tym, który ma teraz. Jeśli będzie parkował w bezpiecznym miejscu, może nikt nie zauważy. Zabrudzi trochę tablice rejestracyjne... Przecież po tym kraju jeżdżą tysiące niebieskich fiatów.

No a potem?

Pytanie utkwiło mu w głowie i ścisnęło mu ją jak żelazna obręcz. Co, do cholery, zrobi później?

Wieczorem? W nocy? Jutro?

Przyspieszył jeszcze bardziej. Próbował odpędzić od siebie takie myśli. Musi to wszystko jakoś uporządkować. Najpierw zajmie się swoim wyglądem, a kolejne decyzje będzie podejmował w zależności od rozwoju sytuacji. Na tym polega jego siła. Ma intuicyjny dar

dokonywania właściwego wyboru w rozstrzygającym momencie... na przykład pieniądze... już w sobotę opróżnił swoje konto... bank je oczywiście zlikwidował, ale teraz miał ich tyle, że starczą mu przynajmniej na dwa tygodnie.

No i bez pośpiechu. Wszystko ma pod kontrolą. Tym razem też go nie dostaną, bydlaki... Myśl o tym, że kilka kolejnych dni spędzi w jakimś hotelu na uboczu, wywołała na jego twarzy uśmiech. Będzie czytał w gazetach o pościgu, oglądał wieczorem telewizję i słuchał, jak go poszukują...

Następny zjazd... Malbork... tysiąc metrów. Wspaniale.

Włączył kierunkowskaz i zaczął bębnić palcami po kierownicy.

– Która godzina? – wymamrotał Van Veeteren. – Czym zajmuje się detektywistyczna brać? Dlaczego go nie szukają?

– Wpół do dziewiątej – odparł Münster. – Chyba się gdzieś ukrył, jak sądzę.

– Naprawdę?

– Chyba się domyśla, że jest poszukiwany. Kolejny komunikat pójdzie w telewizji o dziewiątej.

– Nie jestem idiotą – przerwał mu Van Veeteren. – A dlaczego nie odpowiadają na nasz faks? Może pan aspirant zechce mi to wyjaśnić?

– W Urzędzie Imigracyjnym mają awarię komputera, ale jutro rano ją naprawią. A po drugiej stronie mają różnicę czasową. Odpowiedź może nadeść około dwunastej, pierwszej w nocy.

Van Veeteren przyjrzał się swojej wykałaczkę.

– Czy mogę o coś zapytać? – spytał Münster.

– Jasne – odparł komisarz – ale nie obiecuję, że odpowiem.

– Kim jest ten Carl Ferger?

– To ty naprawdę się nie domyślasz?

Münster poczerwieniał na twarzy, a potem chrząknął.

– A skąd mam wiedzieć, jeśli nie udzielasz mi żadnych informacji? Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, po co pan komisarz ukrywa przede mną niektóre ważne szczegóły... ważne sprawy dotyczące dochodzenia...

Znowu poczerwieniał na twarzy, choć tym razem dlatego, że odważył się na tak śmiałe stwierdzenie. Ale Van Veeteren nie zareagował. Siedział nieruchomo na krześle przy biurku z brodą opartą na dłoniach. Przymknął oczy, zostawiając w nich tylko dwie wąskie szczeliny, i spoglądał na Münstera. Nie spieszył się z odpowiedzią.

– Münster – powiedział po dłuższej chwili – jeśli przez moment mnie posłuchasz, wszystko ci wyjaśnię. Pewnie nic z tego nie zrozumiesz, ale mimo to gotów jestem poświęcić ci parę minut.

– Dzięki, to bardzo miłe z pana strony.

– Różne rzeczy są ze sobą na różny sposób powiązane... są pewne wzory i reguły prawne. My się wśród nich poruszamy, myślimy, żyjemy w zgodzie z nimi. Chodzi tylko o pewne subtelności, trudno do nich dojść, ale musimy do nich dążyć, szukać ich i budować na nich, by znaleźć właściwą drogę. Czy wiesz, co to jest determinanta?

– Determinanta?

– Tak.

– Nie mam pojęcia – odparł Münster.

– Ja też nie. Ale staram się dowiedzieć. To właśnie ona nas prowadzi, to taka zbiorcza zasada, Münster... dotyczy ona tego, jak posuwamy się do przodu, jak działamy, jak wybieramy określoną drogę postępowania... Zakładam, że zgadzasz się ze mną, że w książce powinna istnieć akcja?

– Oczywiście.

– I musi w niej też być intryga albo przynajmniej jakaś myśl przewodnia, tak samo jak w sztuce albo w filmie?

– Tak...

– Powieść, sztuka albo film to takie wymyślone życie. Uchwycione

i wymyślone tak, byśmy łatwiej mogli mu się przyglądać. Wyjść z terażniejszości i przyjrzeć się życiu z dystansu. Zgadzasz się ze mną?

– Tak... być może...

– A jeśli po to, żeby takie wymyślone, sztuczne życie trzymało się kupy, trzeba posługiwać się intrygami i wplatać w nie myśl przewodnią, oznacza to, że te same zasady dotyczą prawdziwego życia. I taka jest właśnie puenta.

– Puenta?

– Tak, puenta. Możesz oczywiście prowadzić życie bez penty, jeśli masz taką ochotę... oglądać film od tyłu albo trzymać książkę do góry nogami, kiedy ją czytasz. Ale nie sądz, że cokolwiek zrozumiesz, bo nie istnieje tylko jedna puenta... są ich tysiące, całe serie, wzory, determinanty. W czwartek jadę do Australii i nie dzieje się tak przez przypadek. Tak właśnie miało być. Nie sądzisz?

Münster przez chwilę wyobraził sobie swoją wymarzoną lagunę... wspólne wakacje z Synn i dziećmi, dwa tygodnie nad błękitnym morzem...

– Gdybyśmy byli takim filmem, ty i ja – ciągnął Van Veeteren, łamiąc w pewnej chwili wykałaczkę – albo książką, to gdybym zechciał ci w tym momencie opowiedzieć o pewnych sprawach, byłoby to rzeczą niewybaczalną. Stanowiłoby to obrazę dla osoby, która przyszła na ten film do kina, a także szyderstwem z tego gatunku, a może nawet brakiem szacunku dla twoich talentów, Münster. Rozumiesz?

– Nie – odparł Münster.

– Byłoby zbrodnią na determinantach – dodał Van Veeteren i przez chwilę zanosilo się na to, że się nawet uśmiechnie. – Jeśli nie wyznajemy żadnej religii, możemy przynajmniej próbować żyć,

jakbyśmy byli książką albo filmem. Żadnych innych wskazówek nie będzie.

Co to za brednie? – pomyślał Münster. Czy on to wszystko opowiedział, czy też ja śnię?

– To dlatego jestem taki poirytowany – zakończył swój wykład Van Veeteren. – Powinni go znaleźć dziś wieczorem. Chcę go tu mieć jutro rano i chcę go skonfrontować z informacjami, które mają przyjść do nas faksem... i z pewną inną osobą. Mamy tu do czynienia z seryjnym mordercą. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? To prawdziwa rzadkość.

Ja jednak chyba śnię, uznał w końcu Münster.

W tej chwili rozległo się stukanie do drzwi i za chwilę pojawiła się w nich głowa aspiranta Beygena.

– Przepraszam, panie komisarzu – powiedział. – Właśnie dostaliśmy faks z odpowiedziami na nasze pytania.

– Bardzo dobrze – ucieszył się Van Veeteren. – Dawaj!

– Słowo honoru! – powiedział Ulich.

Tomas Heckel miał zacząć swoją zmianę dopiero o dziesiątej, ale umówili się, że dziś wieczorem przyjdzie za piętnaście dziewiąta, a wtedy Ulich zdąży na galę bokserską, na której jego syn miał się zmierzyć w wadze ciężkiej z kolorowym Anglikiem, Whitecockiem.

Nie była to oczywiście główna walka tego wieczoru, tylko jedna z przedwalk, ale młody Ulich miał tak jak jego ojciec obiecujący cios, a poza tym był zadziwiająco odporny na uderzenia przeciwników.

Heckel, który studiował na drugim roku medycyny, bardzo dobrze wiedział, jak wiele Ulich ryzykuje, wystawiając się na ciosy w głowę, ale ponieważ na stanowisku portiera pracował od niedawna, nie chciał się wdawać w żadne dyskusje. Nie chciał też przeszkodzić staremu Ulichowi w oglądaniu widowiska, w czasie którego jego syn straci kolejne komórki mózgowie. Oprócz kanapek i kawy przyniósł na swoją zmianę trzy grube podręczniki do anatomii. Była to jego własna metoda na to, żeby nie zasnąć i móc uczyć się przez całą noc. Czas to pieniądz, a do egzaminu zostało tylko sześć dni.

– Słowo honoru – powtórzył Ulich, starając się wynieść swoje ogromne ciało z ciasnej dyżurki. – Jeśli chłopak wygra, dostaniesz ode mnie flaszkę!

– Nie ma mowy – odparł Heckel. – Masz mi coś do przekazania?
Ulich zastanowił się przez chwilę.

– Drużyna piłki ręcznej z Kopenhagi, na trzecim piętrze – oznajmił.
– Miej ich na oku, to wystarczy. Jeden z gości musi przestawić samochód, bo zaparkował go tak, że jutro rano nie wjedzie tu śmieciarka. Był tu Pravitz i mówił... przy telefonie leży kartka. Chodzi chyba o tego Czerpńskiego z dwudziestki szóstki. Próbowałem się do niego dodzwonić, ale nie było go w pokoju.

– Okej – powiedział Heckel. – Miłego wieczoru. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

– Niech mnie diabli porwą, jak się nie uda! – rzucił jeszcze Ulich, a wychodząc przez drzwi obrotowe, stoczył walkę z cieniem.

Heckel usiadł na krześle i zerknął na grafik. Trzydzieści pokojów spośród trzydziestu sześciu było zajętych. Nieźle jak na grudniowy poniedziałek. Włączył telewizor Ulicha. Zanim weźmie się do książek, obejrzy wiadomości. Zresztą do północy i tak nie będzie miał zbyt dużo spokoju, żeby się pouczyć.

Zostały dwie minuty. Trwał jeszcze jakiś śmieszny teleturniej. O czym to Ulich mu mówił?

Źle zaparkowany samochód?

Popatrzył na kartkę. Trzymał ją w ręce, żeby zapamiętać numer rejestracyjny, a jednocześnie wybierał numer pokoju 26. Nikt się nie zgłaszał. Odłożył słuchawkę, a kartkę przykleił taśmą do aparatu, żeby nie zapomnieć o sprawie.

Zaczęły się wiadomości. Najpierw komunikat o pościgu za zabójcą. Po południu już kilka razy słyszał, jak go powtarzali. W gazetach, które leżały na kontuarze, też o tym pisano. Carl Ferger... trzy morderstwa... przynajmniej... niebieski fiat... numer rejestracyjny...

Spojrzał na numer, jaki wyświetlił się na ekranie telewizora.

Spojrzał na telefon.

Wyłączył telewizor i sięgnął po jedną z gazet. Artykuł był na pierwszej stronie. Zerwał z aparatu kartkę, którą przed chwilą przykleił, i zaczął porównywać, litera po literze, cyfra po cyfrze. Jakby nie potrafił dobrze czytać albo jakby trzymał w ręku los, na który wygrał kilka milionów i nie mógł uwierzyć, że to prawda.

Potem w jego głowie pojawiła się niepokojąca myśl, że tej nocy będzie miał problemy z nauką. W końcu jednak opanował się i zadzwonił na policję.

Pierwszą rozmowę połączono po wpół do dziesiątej. Odebrał ją Münster, ponieważ Van Veeteren był właśnie w toalecie.

– Wspaniale – powiedział do słuchawki. – Rozumiem. Zadzwoni za pięć minut. A jaki to numer?

Zapisał go i rozłożył wieczorną gazetę. Do pokoju wszedł Van Veeteren. Münster odczekał kilka sekund.

– Znaleźli go w Schaabe – powiedział najspokojniejszym tonem, na jaki go było stać.

– O czym ty mówisz?! – zawołał Van Veeteren. – Że też lichy mnie podkusiło, żebym stąd wyszedł.

– Chyba faktycznie tak było – odparł Münster. – Masz do nich zatelefonować. Dzwonił komisarz Frank. Znasz go?

Van Veeteren skinął głową i wybrał numer.

– Frank? Mówi Van Veeteren. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że trafiło się ślepej kurze ziarno. Słucham?

Münster obserwował komisarza znad gazety. Van Veeteren siedział pochylony nad telefonem i wyglądał tak, jakby chciał wyrwać mordercę ze słuchawki. Jednocześnie intensywnie gryzł dwie wykałaczki i słuchał.

– Tak, tak... zatrzymajcie go, kiedy przyjdzie, bo inaczej obedrę cię żywcem ze skóry. W czwartek lecę do Australii i chcę go wcześniej przymknąć.

Frank odpowiedział mu coś, a Van Veeteren skinął głową.

– *All right*, w takim razie zostanę. Zadzwoń, jak już będzie po wszystkim.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Münstera:

– Możesz już jechać do domu. Zdejma go od razu, jak się pojawi w hotelu. Ogolił sobie głowę, kupił okulary i nałożył makijaż... pomysłowy facet. Wprowadził się na cztery noce do Hotell Palace, odbywa się tam kongres wytwórców protez. Słyszałeś o czymś takim? Wytwórcy protez!

– A jak go znaleźli?

– Źle zaparkowany samochód – odparł Van Veeteren i wzruszył ramionami. – Największy grzech w naszych czasach, bez wątpienia.

Kiedy Münster wyszedł na dwór, zauważył ku swemu zdumieniu, że nie ciągnie go już do domu, bo wolałby zostać z komisarzem i poczekać na dalszy rozwój wypadków. Siedziałby sobie z gazetą w ręce i czekał na następną rozmowę.

Taką, która będzie oznaczać, że pościg dobiegł końca.

Że sprawa jest zakończona, a przestępca trafił za kraty.

A wtedy zajmie się nim machina sprawiedliwości...

Nadal istniały oczywiście pewne znaki zapytania, ale wszystko wskazywało na to, że to już koniec. Faks wszystko wyjaśnił, nie mogło już być żadnych innych teorii ani opcji. Van Veeteren miał rację... jak zwykle. Sprawcą był Carl Ferger.

Zresztą – jak to ktoś stwierdził przez dwoma tygodniami – to była

paskudna historia.

W drodze do domu zastanawiał się nad tym, co Van Veeteren mówił o determinantach. Nie bardzo wiedział, czy ma to traktować poważnie. Nie da się zaprzeczyć, że słowo to ma swój ciężar i może było tak jak zwykle, tylko że... tego, co wielkie i trudne, nie da się złapać inaczej niż w tę nieszczęlną sieć pełną tego, co poważne, i tego, co niepoważne.

Przez chwilę rozmyślał zdumiony tym sformułowaniem, aż w końcu doszedł do wniosku, że to chyba zapożyczenie od Reinharta.

Nieszczęlna sieć...

Na koniec postanowił, że zaraz po powrocie do domu odszuka słowo „determinanta” w swoim dwudziestoczterotomowym leksykonie.

Van Veeteren czekał krócej, niż się spodziewał. Już o wpół do jedenastej Frank oddzwonił z potwierdzeniem, że mają sprawcę. Ferger został schwytany.

Wszedł do hotelu zupełnie spokojnie, ale natychmiast został obezwładniony przez dwunastu uzbrojonych policjantów.

– Dwunastu? – spytał Van Veeteren.

– Tak – odparł Frank.

– Przyznał się?

– Nie. Odstawia teatr.

– Okej, wsadźcie go do więźniarki i przywieźcie do nas w nocy.

Chcę go zaprosić na śniadanie.

– Jak zwykle do usług – powiedział Frank. – A jak tam twój bekhend? Pamiętam, że miałeś z nim problemy we Frigge.

– Teraz to moja zabójcza broń. Jak będziesz gdzieś w pobliżu,

możesz się sam przekonać.

Münster zupełnie by go nie rozpoznał.

Właściwie to nie za bardzo go pamiętał z gimnazjum, ale jego obecna, skurczona postać niewiele miała wspólnego z wizerunkiem pokazywanym w telewizji i w gazetach.

W pewnym sensie wyglądał młodziej. Jego gładka i okrągła twarz nadawała mu wątpliwy wygląd niewiniątka. Naiwności, a może raczej zaawansowanej zgrzybiałości.

A może to była kombinacja obu tych cech?

Siedział przy ścianie z dłońmi na stole. Opuszczony wzrok. Od czasu do czasu rzucał spojrzeniem w jakimś kierunku.

Reinhart i Münster siedzieli przy przeciwnej ścianie, po obu stronach drzwi prowadzących do ich kiszkowatego pokoju. Krzesło komisarza stało chyba dokładnie w samym środku, przed nimi. Münster widział tylko jego plecy. W czasie całego przesłuchania komisarz pozostawał niewzruszony niczym sfinks. Pytania zadawał tonem beznamiętnym i pogardliwym, jakby już znał odpowiedzi i jakby cała ta sprawa w ogóle go nie interesowała.

– Czy wie pan, dlaczego się tutaj znajduje?

– Nie.

– Nie pytałem, czy przyznaje się pan do winy. Spytałem tylko, czy wie pan, dlaczego tu jest. Poszukiwaliśmy pana przez radio, telewizję i za pośrednictwem sześćdziesięciu ośmiu gazet. Było tam pana

nazwisko i zdjęcie. A mimo to twierdzi pan, że nie wie, dlaczego tu trafił. Chce pan udawać idiotę czy twierdzi pan, że nie umie czytać?

– Nie. Wiem, dlaczego tu jestem.

Głos miał słaby, ale opanowany.

– Chciałbym na początku powiedzieć, że pogardzam panem, panie Ferger. Pański widok napawa mnie wstrętem. W innych okolicznościach, w jakimś mniej cywilizowanym kraju, ani przez sekundę bym się nie zawahał, tylko od razu bym pana zabił. Czy jasno się wyraziłem?

Ferger przełknął ślinę.

– Jestem przekonany, że moje odczucia podzielają nie tylko moi koledzy z pracy, ale też większość innych osób, które wiedzą, czego się pan dopuścił.

– Jestem niewinny.

– Milczeć! Siedzi pan tutaj dlatego, że jest pan zbrodniarzem. Zostanie pan oskarżony o zamordowanie Ewy Ringmar w dniu 5 października, Janka Mittera w dniu 22 listopada i Elizabeth Hennan w dniu 30 listopada. Poza tym 1 czerwca 1986 roku zamordował pan czteroletnie dziecko, ale na razie nie udało nam się jeszcze zebrać wystarczających dowodów.

– To nieprawda.

Słowa te Ferger wypowiedział tak cichym szeptem, że Münster ledwie go zrozumiał. Van Veeteren nie zwrócił na to uwagi.

– Jeśli pan sądzi, że odpowiedzi, jakich pan udziela, mają jakiegokolwiek znaczenie, chciałbym wyprowadzić pana z błędu. Zostanie pan skazany i spędzi resztę życia w więzieniu... ale już teraz ostrzegam pana przed ryzykiem śmierci.

– O czym pan, do cholery, mówi?

Ferger nadal wypowiadał te słowa bardziej do stołu niż do Van Veeterena.

– Do egzekucji nie dojdzie oczywiście w imię prawa, tylko dokona jej któryś ze współwięźniów. Także w naszych zakładach karnych istnieje pogarda dla takich jak pan. Czasami odbywa się to w bardzo bolesny sposób... Mówię o tym, żeby miał się pan na baczności.

Ferger niespokojnie poruszył się na krześle.

– Założę się o każdą kwotę, że nikt panu nie pomoże. Dlaczego nie chce pan adwokata?

– To moja sprawa.

– Nikt oczywiście nie będzie miał ochoty pana bronić, ale mimo to obrona panu przysługuje, jeśli wyrazi pan takie życzenie. Prawo obowiązuje również wobec takich jak pan. Dlaczego zabił pan Liz Hennan?

– Nigdy jej nie widziałem.

– Czy dlatego, że nie potrafił jej pan zaspokoić?

– Nigdy jej nie widziałem.

– Czy dlatego, że szydziła z pańskiej męskości?

Brak odpowiedzi.

– Czy boi się pan kobiet? Uważa pan, że Liz Hennan była dziwką?

Ferger coś wymamrotał.

– Czy to twierdząca odpowiedź?

– Nigdy jej nie spotkałem.

– A dlaczego miała pańskie zdjęcie?

– Nigdy nie dawałem jej swojego zdjęcia.

– Ale miał pan jej zdjęcie?

– Nie, pan kłamie.

– Przepraszam, chciałem powiedzieć, że miał pan zdjęcie Evy

Ringmar, zgadza się?

- Być może... nie pamiętam.
- Znaleźliśmy je u pana w domu. Czy coś pana z nią łączyło?

Brak odpowiedzi.

- Czy Eva Ringmar też była dziwką?
- Nie. Nie mam już ochoty odpowiadać na żadne pytania.
- A ja nie mam ochoty pana pytać. Dlaczego 4 października

poszedł pan do domu Mittera i Ewy Ringmar?

Brak odpowiedzi.

- Przyszedł pan tam wieczorem, ale rano wrócił i ją zamordował.

Utopił pan Ewę Ringmar w wannie.

Brak odpowiedzi.

- Sądzi pan, że nie wiemy, kim pan jest?
- Nie rozumiem, o czym pan mówi.
- Czy ma pan alibi na czas, kiedy został zamordowany Mitter?
- Byłem w pizzerii...

– Tak, między jedenastą a dwunastą. Ale Mitter został zamordowany później. Nie ma pan lepszego alibi?

- Poszedłem do domu i zasnąłem... sądziłem, że...

– Co pan sądził?

– Nic. Nie będę odpowiadał na więcej pytań.

– Jak pan sądzi, dlaczego Eva Ringmar wolała Mittera, a nie pana?

Ferger jeszcze bardziej opuścił głowę nad stołem.

– Dlaczego wolała Andreasa Bergera?

Van Veeteren odczekał kilka sekund.

– Nawet jeśli jest pan niezgułą, to chyba nie ma powodu, żeby był pan aż tak wielkim niezgułą? Twierdzi pan, że jest niewinny, że nie ma nic wspólnego z zabójstwem Ewy Ringmar, Mittera i Liz Hennan.

Czy tak?

– Tak.

– Dlaczego ogolił pan sobie głowę, nałożył makijaż i dlaczego się pan ukrywa, jeśli jest pan niewinny?

– Ukryłem się, kiedy zauważyłem, że jestem poszukiwany.

– Po raz pierwszy komunikat pojawił się wczoraj o dwunastej.

A pan uciekał już od kilku godzin.

– Nie... Popsuł mi się samochód. Przez weekend byłem w podróży... Nie miałem jak wrócić do domu.

– Gdzie pan przebywał?

– Na północy...

– A gdzie pan nocował?

– W motelu...

– Gdzie, i jak się nazywał?

– Nie pamiętam...

– Dlaczego nie zgłosił pan tego w szkole?

– Chciałem zadzwonić... ale się nie dodzwoniłem.

– Proponuję, żeby pan się zamknął, jeśli nie umie pan odpowiadać mądrzej, jest pan po prostu śmieszny.

Van Veeteren zrobił krótką przerwę.

– Chce pan papierosa?

– Tak, poproszę.

Van Veeteren wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wytrząsnął z niej jednego. Włożył go do ust i zapalił.

– Nie dostanie pan. Mam już pana dosyć.

Wstał z krzesła i odwrócił się do Fergera plecami. Ten po raz pierwszy podniósł wzrok. Trwało to sekundę, ale Münster zdążył zauważyć to, co się w nich kryło. Strach, po prostu strach.

– Aha, jeszcze jedna sprawa – powiedział Van Veeteren i spojrzał na Fergera. – Co to za uczucie, kiedy się topi dziecko? Przecież chłopiec musiał się jakoś bronić... Ile czasu to panu zabrało? Jak pan sądzi, co wtedy myślał?

Ferger mocno splótł dłonie, a głowa mu trochę zadrżała. Nic nie odpowiedział, ale Münster wcale by się nie zdziwił, gdyby Ferger w tej właśnie chwili się załamał, rzucił na podłogę albo przewrócił stół lub też po prostu zaczął wyć.

– Zajmijcie się nim – polecił Van Veeteren. – Przez trzy godziny mnie nie będzie. Nie wolno mu opuścić tego pokoju, nie dawajcie mu też nic do jedzenia ani do picia. Nie wolno mu palić. Jak macie ochotę, możecie mu zadawać pytania. Daję wam wolną rękę.

Potem skinął głową Reinhartowi i Münsterowi i wyszedł.

Im bardziej się zbliżał, tym wolniej jechał.

Kilka kilometrów przed celem zatrzymał się na jakimś parkingu. Wyszedł z samochodu, stanął plecami do wiatru i zapalił papierosa. Palenie stało się już prawie przyzwyczajeniem. Nie pamiętał sprawy, w czasie której wypaliłby tyle papierosów. W każdym razie nie w ostatnich latach.

Miał swoje powody, ale teraz dochodzenie zostało właściwie zakończone. Jeszcze tylko jedno drobne potwierdzenie. Ostatnie pociągnięcie pędzlem na tym odpychającym obrazie.

Zastanawiał się nad słowem „konieczność”. Robił to w czasie jazdy. Próbował znaleźć jakiś powód, żeby to obejść, uniknąć tego ostatniego kroku. Oszczędzić sobie i jej tego ostatecznego poniżenia.

Może jemu też?

Tak, nawet jemu.

To było takie żalosne. Tak samo jak uczucie, które pojawiało się za każdym razem, kiedy musiał zadzwonić do drzwi, które otworzy żona, a wtedy on poinformuje ją z przykrością, że, niestety, przynosi nie dobrą wiadomość...

Nie miał innego wyjścia.

Żadnej okoliczności łagodzącej.

Niczego, co mogłoby ukoić ból.

Rzucił papierosa do kałuży i wsiadł do samochodu.

Otworzyła mu już po chwili. Najwidoczniej czekała na niego.

– Dzień dobry – przywitał ją. – Już jestem.

Skinęła głową.

– Czy słuchała pani wiadomości w ostatnich dniach?

– Tak.

Rozejrzała się, jakby chciała sprawdzić, że niczego nie zapomniała.

Na przykład podlać kwiaty albo wyłączyć piecyk.

– Jest pani gotowa ze mną pojechać?

– Tak. Jestem gotowa.

Miała taki głos, jaki kiedyś zapamiętał. Mocny i jasny, ale bezbarwny.

– Czy mogę panią o coś spytać? Czy wiedziała pani, jak to wtedy było?

– Jedźmy, panie komisarzu.

Zdjęła płaszcz z wieszaka, a Van Veeteren pomógł jej go założyć. Owinęła głowę szalem, wzięła torebkę i rękawiczki leżące na komódce i odwróciła się do niego.

– Jestem gotowa.

Podróż powrotna zajęła mu mniej czasu. Kobieta przez cały czas siedziała obok niego wyprostowana i nieruchoma. Ręce złożone na torebce, wzrok skierowany przed siebie, na drogę.

Nie wypowiedziała ani słowa. Wszystko było najzupełniej jasne, sprawa rozwiązana, więc nie musiała niczego komentować. Van Veeteren rozumiał to i dlatego cisza panująca w samochodzie nie wydawała mu się wcale niezręczna.

Może faktycznie chciałby ją o coś zapytać, o coś oskarżyć, ale zrozumiał, że to niemożliwe.

Widzi pani – mógłby powiedzieć – gdyby pani mi o tym opowiedziała za pierwszym razem, moglibyśmy uratować ludzkie życie. A może nawet dwa.

Ale nie mógł tego od niej żądać.

Żeby odpowiadała mu na takie pytania właśnie teraz.

Nie mógł też żądać, żeby opowiedziała mu o wszystkim już wtedy.

Kiedy weszli do pokoju, wszystko było takie jak wówczas, gdy z niego wyszedł.

Reinhart i Münster siedzieli na krzesłach koło drzwi. Ferger przy stole, przy przeciwległej ścianie. W pokoju panowała ciężka atmosfera, a Van Veeteren zaczął się zastanawiać, czy od jego wyjścia padło tu chociaż jedno słowo.

Kobieta zrobiła w jego stronę trzy kroki. Zatrzymała się za komisarzem i położyła dłonie na oparciu krzesła.

Ferger podniósł wzrok. Jego dolna szczęka zaczęła drżeć.

– To ty, Rolf? – spytała kobieta.

W jej głosie zabrzmiała nutka pewnego zadowolenia połączonego ze zdumieniem, ale uczucie to natychmiast ustąpiło pod naciskiem

brutalnej rzeczywistości.

Rolf Ringmar powoli opadł na stół.

– Niech mnie diabli wezmą, jak to nie jest prawdziwy dramat ludzkiego przeznaczenia – powiedział Van Veeteren i zamknął drzwi samochodu. – Od samego początku jest w tym coś nieuniknionego... Chyba wiesz, że kazirodztwo zawsze uważane było za jeden z najcięższych grzechów, jaki człowiek mógł popełnić. Była to po prostu obraza bogów.

Münster skinął głową i zaczął cofać samochód, żeby wyjechać z parkingu.

– Wyobraź sobie – kontynuował Van Veeteren – że masz trzynaście albo czternaście lat. Wczesna młodość... Jesteś wrażliwy jak świeża, otwarta rana... chłopiec, który staje się mężczyzną... pierwsze, niepewne kroki. Jaki będzie twój pierwszy obiekt identyfikacyjny?

– Ojciec – odparł Münster. Chyba sam coś takiego przeżył, pomyślał o komisarzu.

– Słusznie. A co robi twój ojciec? Pije i poniża się. Bije cię. Spuszcza ci manto, i to nie raz, ale każdego wieczoru... dręczy cię, upokarza... twoja matka jest zbyt słaba, żeby się wtrącać. Ona boi się go tak samo jak ty. Wszyscy udają, że nic się nie dzieje... milczą... niech będzie, jak jest... takich spraw nie wywleka się poza grono rodzinne... Nikt cię nie chroni, nie masz żadnych praw, bo ojciec, jako twój wychowawca i głowa rodziny, ma nad tobą całkowitą władzę. Nie masz dokąd pójść... nie masz gdzie szukać pocieszenia... Chociaż

nie, jest ktoś taki, kto może ci przynieść ulgę...

– Siostra.

– Ona też czasem dostaje lanie, ale nie tak często. Jest koło ciebie, trochę silniejsza niż ty, trochę mniej poszkodowana... Dzielicie razem pokój. Powiedzmy, że macie po czternaście lat... leżycie na łóżku, a ona cię pociesza. Tulasz się do niej, a ona cię chroni. Kładzie na tobie swoje ręce, które przynoszą ci ulgę... Macie po czternaście lat... leżycie blisko siebie, bezpieczni, i słyszycie, jak ojciec rozbija się po domu... teraz zaczyna dręczyć matkę... domaga się od niej, żeby spełniła swój małżeński obowiązek... Do diabła, Münster!

Münster zakaszła lekko.

– Potem przychodzi noc, a wy jesteście nadzy... macie po czternaście lat, jesteście bratem i siostrą. Właściwie nie ma w tym niczego złego... kto ma prawo oskarżyć ich za to, co się dzieje? Kto oprócz bogów miałby prawo zabronić im robić tego, co robili? Tego, że stali się parą kochanków? Kto, no powiedz, Münster, kto?

– Nie wiem.

– Czy rozumiesz, co ona mu dała? – spytał Van Veeteren i zaczerpnął głęboko powietrza. – Kiedy kobieta pozwala przyjść do siebie mężczyźnie, gdy jest zbity, poniżony i czuje się nikim... Kobieta, którą ktoś kocha... która jest czyjąś matką albo siostrą. Wszystko w jednym. Jaka miłość może być silniejsza? Wyobraź sobie, że kochasz po raz pierwszy i że wszystko, co robisz, robisz po raz pierwszy... jest to miłość i związek, które są tak silne, że potrafią przetrwać wszystko inne, cokolwiek kiedyś przeżyjesz... Do diabła, Münster, czy on w ogóle miał jakąś szansę?

– Jak długo to trwało? – spytał Münster.

– Dwa, trzy lata, nie dłużej. On sam nie jest za bardzo pewien,

kiedy to się zaczęło. Prawdopodobnie dla obojga przez dłuższy czas było to dość silne uczucie. Sądzę, że Evie udało się z tego wyrwać, i to nie dlatego, że tego chciała, tylko wiedziała, że to jest złe... zakazane... że nie da się tego długo ciągnąć.

– Jemu też trudno było z tym skończyć?

– Tak – odparł komisarz, zapalając papierosa. – Ale potem zaczęła go odrzucać. To, co się działo w ich domu... zarówno za życia ojca, jak i później... Nie chcę sobie nawet tego wyobrazić.

– I wtedy pojawił się Paul Bejsen – powiedział Münster.

– Tak. Być może była to z jej strony jakaś próba, bo nie sądzę, żeby się zakochała. Związała się z nim pewnie po to, żeby pokazać bratu, że zerwanie jest nieodwołalne. A wtedy Rolf...

– Nie tracił czasu.

– Można tak powiedzieć. Czekał na okazję, żeby pokazać, że dla niego jest to nadal poważna sprawa... no i taką okazję dostrzegł na imprezie w domku.

– Czekał na nich na wrzosowisku.

– Właśnie. Błąkał się w ciemnościach i czekał na okazję... jak wilk...

– Czy o tym też opowiedział?

– Tak – skinął głową komisarz – ale tylko pokrótce. Przecież to się wydarzyło przed dwudziestu laty. Zbrodnia przedawnia się po dwudziestu jeden latach, to znaczy, że za to też odpowie, jeśli mogę to tak podsumować.

– A Eva kazała mu, żeby się odczepił?

– Tak. Dała mu ultimatum: albo zniknie, albo go wyda... Postaw się teraz w jego sytuacji. Dokonał zabójstwa, i to nie tylko z zazdrości, ale także po to, żeby okazać jej swoją miłość, a ona go odrzuca.

Myślę, że wtedy był bliski odebrania sobie życia, dał mi to do zrozumienia... Tak samo czuł się na początku po wyjeździe z kraju. Być może...

– ...wszystkim wyszłoby to na dobre? – dokończył Münster.

– Czy mamy prawo tak to oceniać? No, mamy?

Münster nie odpowiedział. Spojrzał na zegarek, który wskazywał za kwadrans szóstą.

– O której odlatuje samolot? Wpół do ósmej?

Van Veeteren potwierdził skinieniem głowy.

– Muszę się odprawić godzinę wcześniej.

– Będziemy na miejscu za dwadzieścia minut.

Przez kilka sekund siedzieli w milczeniu, ale Münster poczuł, że musi to omówić do końca.

– A Ellen Caine? – spytał.

– Tak – odparł Van Veeteren. – Wytrzymał przez osiem lat, co mnie trochę dziwi. Ustatkował się, zamieszkał w Toronto, zmieniał pracę, miejsce zamieszkania... aż spotkał kobietę. Twierdzi, że to ona go poderwała, ale chyba było odwrotnie... W każdym razie nie dała mu nawet odrobiny tego, co Eva... Cholera wie, co krąży mu po głowie, jeśli chodzi o seks i kobiety. Żąda od niej rzeczy niemożliwych, bo kiedyś ktoś też mu dał to, co niemożliwe. W końcu zabija Ellen Caine, bo go zawiodła... Nie wiem, czy go rzuciła, nie chciał mi o tym powiedzieć. Może nie sprawdził się jako kochanek, może chodzi tu o jakąś męską zazdrość... w każdym razie zabił ją. Zepchnął ją z mostu wprost pod nadjeżdżającą ciężarówkę i nikt nie podejrzewał, że mogło to być coś innego niż nieszczęśliwy wypadek. Może nawet samobójstwo. Nikt nawet nie wiedział, że on też tam był.

– A dlaczego zmienił nazwisko?

– Sądzę, że zaczął się zastanawiać nad powrotem do Europy, ale z nową tożsamością, już wtedy, w 1980 roku, po historii z Ellen Caine. Po kilku latach dostał amerykańskie obywatelstwo, zmienił nazwisko na Carl Ferger i zaczął prowadzić w miarę normalne życie. Przynajmniej na zewnątrz. Choć jest w tym jakaś zagadka. A dlaczego wraca w styczniu 1986 roku? On sam nie wie.

– Determinanta? – zapytał Münster z lekkim uśmiechem.

– Co?! – zawołał ze zdumieniem Van Veeteren. – Jak widzę, mój aspirant zaczął to i owo rozumieć. No więc facet wraca, szuka Ewy i zaczyna ją prześladować, na wszelkie możliwe sposoby. To, że jest tak blisko niej, staje się dla niego prawie nie do zniesienia, tak przynajmniej twierdzi... Zazdrość z powodu Bergera jest trudna do opanowania, ale najgorsze jest dziecko. To, że Eva ma dziecko z innym... Robi się z tego jedna wielka poruta.

– Zabija dziecko, żeby ją ukarać?

– Tak, tak sądzą. Jego poczucie własnego ja waha się między wszechpotężnym, karzącym Bogiem a zrozpaczonym, pozbawionym tożsamości niedojrzałym chłopcem.

– A co się działo potem?

– Eva znowu go chroni, choć sama prawie traci rozum. Sądzą, że w tym momencie poddaje się, uświadamia sobie, że jej życie nigdy nie będzie normalne. Może nawet dochodzi do wniosku, że łączą ją z nim silniejsze więzi, niż sobie wyobrażała. Także te seksualne... W ciągu tamtych lat kilka razy wracają do swego zabronionego związku. Eva mieszka wtedy we Francji i nie chce, żeby był zbyt blisko niej, ale od czasu do czasu jeździ do niego, w każdym razie on tak twierdzi. Może nawet marzy, że w końcu wszystko się między nimi ułoży, a może to ona rozpala w nim nową nadzieję...

– A tymczasem porzuca go?

– Tak. Przeprowadza się. Nowe rozstanie... Może nawet mu nie mówi, dokąd się przeprowadziła, ale on ją oczywiście odnajduje. Udaje mu się nawet po jakimś czasie znaleźć pracę w tej samej szkole. Musiała przeżyć szok, kiedy dyrektor szkoły przedstawił jej nowego portiera...

– W tym roku?

– Tak, w styczniu. Nowy semestr zaczął się po świętach.

– A wtedy ona, żeby mu coś zademonstrować, wychodzi za Mittera?

– Tak, być może – westchnął Van Veeteren. – Może ona też oszalała, tak jak on. Po rozmowie z Mitterem odniosłem wrażenie, że ich związek... przekraczał jego zdolność rozumienia. Jakby przez cały czas kochali się na śmierć i życie... tak, chyba coś takiego.

– No to dlaczego zabił ją, a nie Mittera?

– To chyba jakieś szaleństwo... pod wpływem chwili. Może była to jakaś próba, żeby skończyć z tym raz na zawsze... W każdym razie doszło do tego przypadkowo. Nie spodziewał się, że jej mąż wypije tyle alkoholu, że aż straci pamięć. Obawiał się, że Mitter w końcu sobie przypomni o jego wieczornej wizycie u nich, ale nie znaleźliśmy nic, co mogłoby wskazywać, że później wrócił i ją zabił. I chyba naprawdę poważnie się zastanawiał, dlaczego nie przyszła po niego policja.

Van Veeteren podrapał się po głowie.

– Sześć trupów. Sądziłem, że będą cztery, może pięć... a tymczasem mamy sześć.

Przerwał na chwilę i spojrzał przez boczną szybę na zewnątrz.

– Jak myślisz? – spytał Münstera. – Co sprawia, że jego matka jest

w stanie z tym żyć? Dlaczego nie odbierze sobie życia? Albo po prostu nie położy się i nie umrze?

Münster zastanawiał się przez chwilę.

– Hamlet? Strach?

– Nie. Przecież ją widziałeś.

– Czy ona jest wierząca?

Van Veeteren wybuchnął śmiechem.

– A jaki bóg by pozwolił, żeby twój współmałżonek cię bił, żeby twoje dzieci dopuszczały się kazirodztwa, żeby twój syn zamordował twoją córkę...

Münster zawahał się.

– Nie wiem, może chce wziąć na siebie całą winę... poprzez to, że będzie żyć?

Van Veeteren odwrócił się i spojrzał na Münstera.

– Wspaniale! – powiedział zdumiony. – Wspaniale! Muszę pamiętać, żeby w przyszłości odnosić się do ciebie z większym uznaniem.

– Dzięki. Zaraz będziemy na miejscu... ale jest jeszcze jedna rzecz...

– Tak?

– Czy mógłby pan wysłać widokówkę? Chodzi o znaczek... mój chłopak zaczął je zbierać...

– Oczywiście – odparł Van Veeteren.

Münster zaparkował i wyjął walizki.

– No to widzimy się w styczniu. Dostałem po Nowym Roku dwa tygodnie wolnego.

– Super! A dokąd się wybierasz?

– Na Malediwy – odparł skromnie Münster.

– To świetnie – powiedział inspektor i podał mu rękę. – Tylko dbaj o formę! Jak wrócę, nie będzie pobłażania!

– Wiem – odparł Münster.

Kobieta chwyciła go za ramię.

Co znowu, do cholery? – pomyślał Ingrun. Przed chwilą usiadł na krześle i zapalił papierosa. Dlaczego nie zostawią go po prostu w spokoju?

– O co chodzi? – spytał, próbując wyrwać się z jej uścisku. Jej paznokcie wbiły mu się w skórę.

– Łukasz 15,11! – syknęła.

– Co?

– Łukasz 15,11. Chciałam poczytać Biblię i znalazłam tam jakieś bazgroły.

Zauważył, że kobieta rzeczywiście trzyma w drugiej ręce Biblię. Pogroziła mu nią i wsadziła do środka swój kościsty palec.

– Pokaż mi!

Kobieta puściła jego ramię. Otworzyła Biblię i mu ją podała. W poprzek jednej ze stron biegły duże, wyraźne litery: Carl Ferger.

– Bóg tego nigdy nie wybaczy! – zawołała rozgorączkowana i zatarła rękę.

Ingrun zawahał się przez chwilę. Potem wyrwał kartkę i wrzucił ją do kosza na śmieci.

– Poczytaj sobie coś innego! – powiedział i zamknął Biblię.